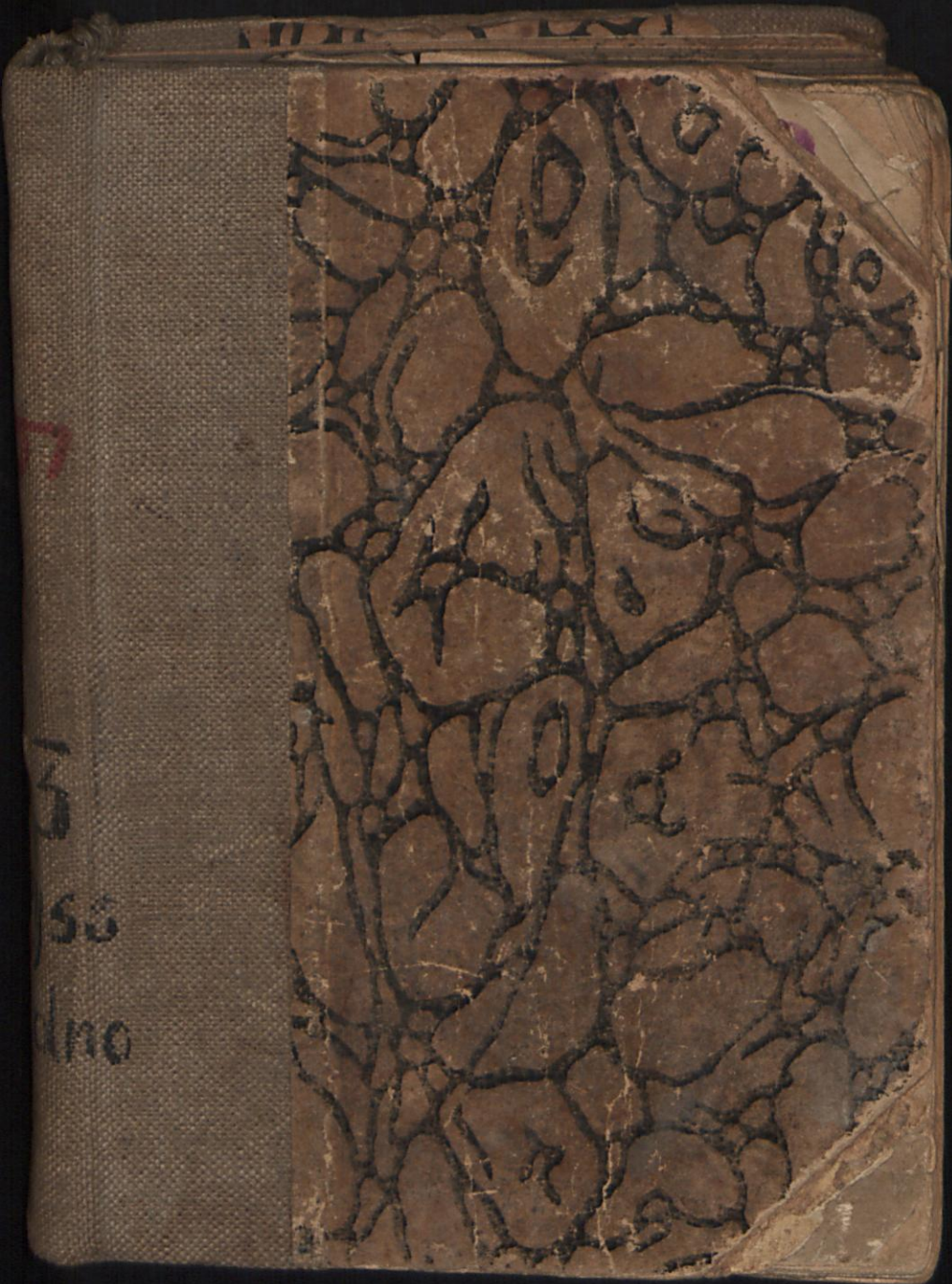
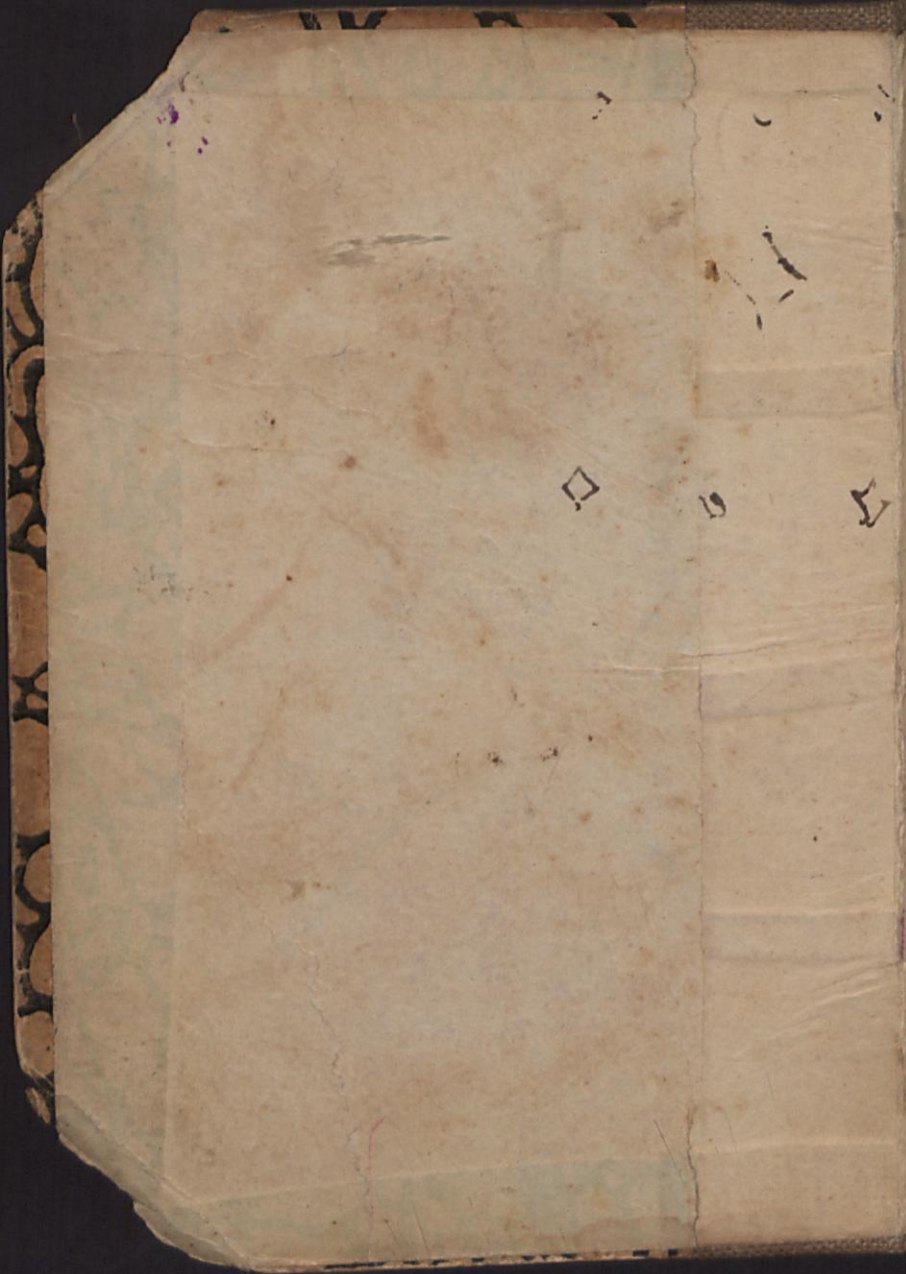
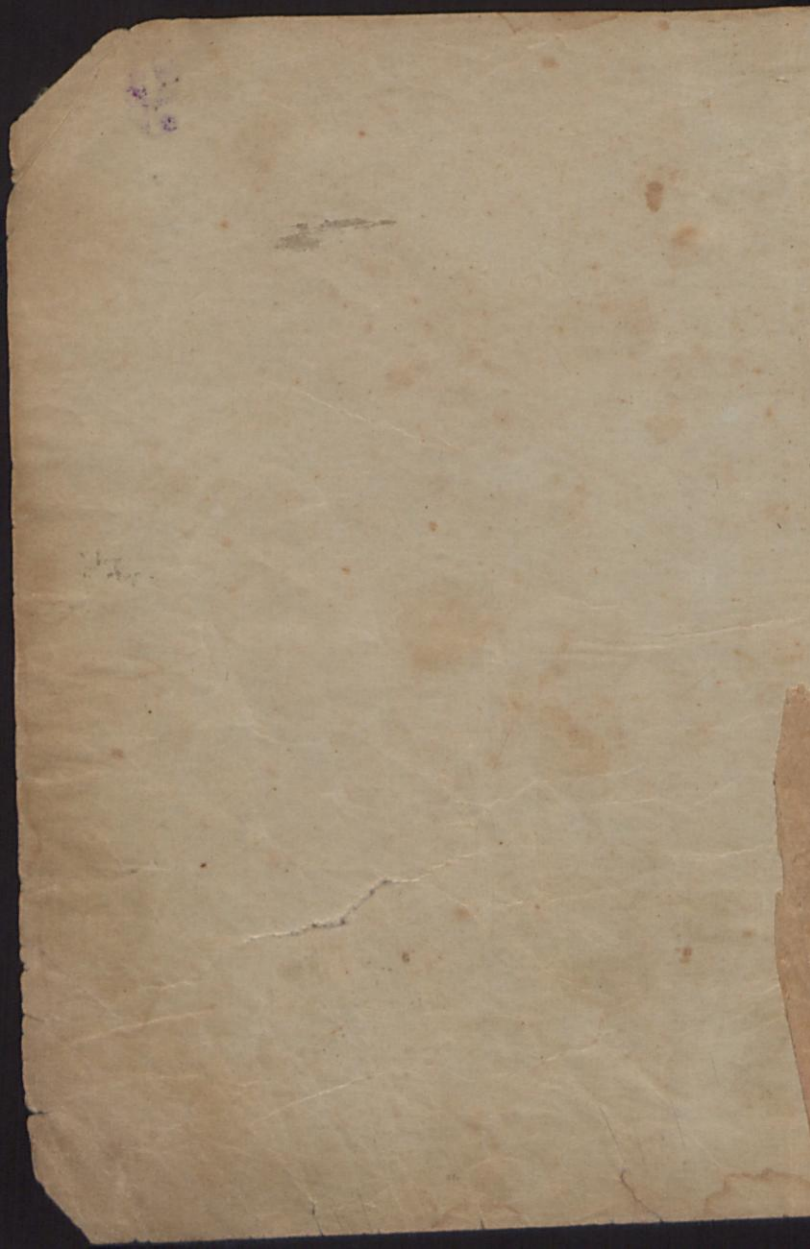






9



CUDNO I ZIEMIA CUDENÍSKA

THE OLD AMERICAN

JÓZEF WEYSSSENHOFF

C U D N O I ZIEMIA CUDEŃSKA

POWIEŚĆ

~~BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JANA PAWŁA II
WARSZAWA~~



WARSZAWA 1921
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLIOTEKA POLSKA”

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Miejskiej Rady Narodowej
w Zamościu

9. 5

884-3

5

Księgozbiór BP



10098317

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

13727/P

I.

Miasto Cudno musiało być niegdyś istotnie piękne, bogate i od cudu brać swoją nazwę, gdyż najstarsze o niem kroniki opowiadają, że budziło pożądliwość najeźdców, było przez nich pustoszone i palone. Legendarne gmachy Cudnianie odbudowywali gorzej, lub częściowo, zwykle zaś pozostawiali w kształcie „zabytków“, na lamigłówkę dla przyszłych pokoleń. W takim na przykład stanie znajduje się dzisiaj ogromna rudera, zawalająca dzielnicę miasta, zwaną zamkiem i podzamczem Kazimierza Wielkiego. O istnieniu tam niegdyś grodu świadczą dostojne szczątki, jak oto: sklepienie piwnice, malowniczo sterczące złomy murów i bruki zbalwanione odwiecznie, może w celu przeszkadzania wrogom przy dostępie do zamczyska. Ale za pamięci ludzkiej rozsiadły się na zamku rzędy kramów żydowskich. Nawet Dr. Maksymiljan Pollack, profesor uniwersytetu w Berlinie i badacz polskich starożytności, dowodzi w dziele

swem „Prolegomena zur Geschichte des jüdischen Urbesitzes in ehemaliger Republik Polen“, że plan t. zw. zamku w Cudnie okazuje wyraźnie pierwotne przeznaczenie tych murów na bazyry handlowe i nosi cechę budownictwa syonistycznego, którego wpływów i pomników dopatruje się uczony profesor na całym obszarze ziem polskich, nie wyłączając i krakowskich Sukiennic. Epokę powstania budowy oznacza, zgodnie z tradycją, na połowę 14-go wieku, lecz stawia śmiałą hipotezę, że władający wówczas na tych obszarach „książę polski Kazimierz, uzyskawszy zezwolenie cesarza niemieckiego, założył w Cudnie wielkie bazyry dla Żydów, których osiadłość i prawa obywatelskie zostały właśnie w owej epoce ostatecznie utwierdzone i uprawnione“. Wywody profesora Pollack'a, wzorujące się oczywiście na szkole historjograficznej berlińskiej, zostały zbite przez polskich pisarzy na piśmie, a nawet na fizjognomji uczonego badacza przez pewnego zagorzałego endeka, który to incydent zarejestrowano w najnowszych czasach, jako 99-ty pogrom Żydów w Polsce.

Miasto i ziemia cudzeńska mogły też otrzymać swą nazwę od cudów, które się regularnie w ich dziejach zdarzały od czasów bajecznych aż do najnowszych. Cuda te rozmaite, dobroczynne i zgubne, rzekomo od świętych Patronów kraju

i od pokutującego w nim wiecznie Licha pochodzące, stanowią treść główną historii tego kraju. Rzec można, że Cudno rządziło się zawsze cudem, oczekując od niego rozwiązania zadań państwowych. Długi szereg tych dziejów nie będzie przedmiotem niniejszego opowiadania. Znajdziemy dosyć cudów w dobie obecnej, aby pokazać, że się w tym kraju dzieje odmiennie, niż w reszcie chrześcijańskiego świata.

Gdyby z ogólnej ludności miasta, leżącego w odwiecznej strefie lechickiej, usunąć ogromną ilość zadawnionych gości obcoplemiennych, czyli Żydów, — pozostałaby tu jeszcze ludność bardzo pstrokata co do właściwości i usposobień społecznych.

Czy rdzenni mieszkańcy Cudna należą do Arjów, czy do Słowian prawiecznych? — Czy powstałi z pomieszania tubylców z najeźdźcami Normanami? O te zamierzhłe początki spierać się nie zamierzamy. Nie będziemy się też rozwozili nad tem, że zauważyć można w ziemi cudeńskiej niektóre przeżytki dawnych klas: panów i chamów, humanistów i obskurantów; niektóre cechy etniczne znamienne, jak np. wspańiałość od niedzieli i święta, a znaczne obniżenie ideałów przez resztę roku; albo ten prześwietny cudeński indywidualizm, który jednostki rozwija do rozmiarów zadziwiających, a całe ich

szeregi i pokolenia pcha na marne, albo i na zgubę. Podkreślimy tylko dwie odmiany Cudnian coraz jaskrawiej występujące na tle epoki: Robów i Popsujów.

Robowie są dużo liczniejsi i od wieków urabiają ziemię cudeńską; majstrują czasem usilnie i owocnie, czasem sobie zasną na czas dłuższy; dlubią w mózgach i sercach współobywateli; dbają o dorobki i tradycje; windują do góry ducha Cudnian zapomocą starych metod: oświaty i dogmatyki narodowej; mają zwyczaj sprawdzania zawartości nowych prądów, przesiewania ziarna przeznaczonego do siewu przez sita krajowego pożytku — jakby w ziemi cudeńskiej nie wolno było plenić się każdemu ziarnu według rodzaju swego! Przy tych operacjach czyszczenia Robowie obchodzą się z przeciwnikami ideowymi gburowato, nazywając ich szkodnikami, za co im ci znowu odrzucają okrutne przezwisko: endecy! Ale Robowie, czy należący, czy nie należący do tego stronnictwa, znoszą przezwisko, byle postawić na swoim.

Bądź co bądź, i pomimo wad od ludzkiego działania nieodłącznych, Robowie stworzyli Cudno, jakie jest i upierają się przy dalszem lepieniu go z rodzimej gliny, choć sporo w niej błota i ostrych kamieni. Mało się nawet różnią od dawnych budowniczych, dzisiaj już nie wzoro-

wych, lecz jeszcze wspominanych w podręcznikach szkolnych, jako twórcy myśli narodowej, założyciele potęgi, przewidywacze upadku — —

Wszystkie te dawne wzory i dzisiejsze konsekwencje niczem są dla Popsujów. Choć dużo mniej liczni od Robów, czują się oni gospodarzami ziemi cudeńskiej; stawiają łatwo każdy jej interes na hazardową kartę; namiętne podkopywanie dzieł Robów, dawnych i nowych, starczy im za widomy program. Jakie zaś wymarzyli sobie w przyszłości idealne Cudno? — Nie daje się to określić w paru dobitnych wyrazach. Myliłby się bowiem, ktoby sądził, że do Popsujów należą tylko „Cepepy“ („Cudeńska partja przewrotowa“), którzy się podobno mają za socjalistów. Są to wprawdzie umiętni wicherzyciele, ale wicherzycielstwo nie było dotychczas jedynym celem socjalizmu. Popsuje szerzej się rozrośli, niż stronnictwo Cepepów. Dużo nowsi od Robów, Popsuje właśnie z nowożytności wyciągają swoją chlubę i rację istnienia. Gdy bryła Robów składa się, jak każda bryła, z trzech wymiarów, a w tym przykładzie: z krwi rodzimej, z miłości ziemi i z woli obrończej, skład bryłowy Popsujów jest problematyczny, uchwytny tylko na gorących uczynkach psucia starego porządku. Można ich nazwać Cudniana-mi czwartego wymiaru. Zagadkowość ich poży-

ku dla sprawy ogólnej możnaby wytłumaczyć przez zależność ich działań od interesów tak zwanych „międzynarodowych“, czyli od spraw ludzi będących między narodem, lecz do narodu nie należących? Ale nie — nie wszyscy Popsuje są Żydami, chociaż niema w ich szeregach antysemitów; nie wszyscy germanofilami chociaż zezują wciąż jeszcze w stronę rozwalonych „mocarstw centralnych“. — — Miewali Popsuje adherentów do swych robót politycznych w arystokracji, w obozach rojalistów i w różnych warstwach o socjalizm niepodejrzanych. — Nie są to zatem na ogół ani socjaliści, ani agenci przez kogokolwiek nasłani; są Popsujami z powołania, z konieczności historycznej, której zgłębienie wymagałoby osobnego i przykrego studjum.

Niektórzy wywodzą Robów od przedwiecznych Słowian, czy Polan, Popsujów zaś mają za produkt pomieszania autochtonów z jedną z ras napływowych — może z Chazarami? — Ale trudno tego dowieść. Więcej prawdopodobieństwa zawiera prosta legenda, że Robów nasłali święci Patronowie cudzeńscy, Popsujów — przekorne Licho.

Gdy wywędrujemy z Cudna na szerokie rozległości wiejskie, znajdziemy tam mieszkańców innego gatunkowego składu. Rozsiane dość gęsto folwarki posiada szlachta dziedziczna, albo do-

robkiewicz z miasta, a nieraz i utrudzony w walce za prawa proletariatu Cepep osiada na działce obszarniczej, aby choć tym sposobem ocalić część ziemi od wyzysku katów ludu. Sterczą tu i ówdzie kominy fabryk, należących przeważnie do Żydów i Niemców. Te więc części składowe wsi cudzeńskiej mają swe odpowiedniki w samem Cudnie. Ale między oazami obszarników i kapitalistów całą ogromną przestrzeń zajmują pólka pasiaste i barwne, jak welniaki, na których wioski rozciągnięte ziarnami różańców z krzyżami, mieszczą roje zacnych, zbożnych chłopków cudzeńskich.

Tak się mówiło w dawnej, sielankowej literaturze. O dzisiejszym chłopie cudzeńskim mówić już nie można z protekcyjnalnem rozrzewnieniem, a niestosowne również byłoby nim się zachwycać, jako wzorem obywatela. Tworzywo to jeszcze surowe, lecz obiecujące lepiej, niż masy miejskie, przedewszystkiem dlatego, że, chociaż dłuhal w niem działacze przeróżnych obozów, nie zdołali go ani ulepić po swojemu, ani zepsuć. Oporny chłop pozostał sobą. O pochodzeniu jego od Piasta, Lecha i od wcześniejszych jeszcze mieszkańców tej ziemi niema wątpliwości. Przez lat tysiąc plenili się samostnie, przy roli, szarzy i niemi, jak ona, bez ambicji do władzy, bez innego celu, jak trwanie

w czystości rasy. Przez lat tysiąc nie przerobiono ich ani na władców, ani na niewolników, a w czasach wczorajszych — ani na Robów, ani na Popsujów. Ale, niestety, przez te długie wieki nie nauczono ich też czytać i pisać. Gdy zaczną władać tą niezbędną sztuką, będzie można dopiero wnosić ile są warci, jako — *cives Cudnenses*. Tymczasem nie warto zbyt forsownie rozwijać ich ambicję, jak to czynią niektórzy zawzięci przyjaciele ludu, — lepiej ich namawiać do nauki, choćby czytania i pisania. Tą drogą dojdą do rządu, dostojęństw i większej gatunkowej wagi w społeczeństwie.

W pokornym niegdyś, potem zadumanym, dzisiaj już wspaniałym chłopku cudeńskim budzą się dopiero instynkty społeczne, a w tem przebudzeniu nie wyglądają odrazu zachwycająco. Chłopski patryjotyzm, jeżeli o takim może być mowa, rozgałęził się nieco od wioski do gminy, od gminy do powiatu, ale nie sięga miast, ani zbyt dalekich obszarów. Trafniej będzie powiedzieć, że rozszerzył się chłopski egoizm klasowy. Szlachta i mieszczenie nazywają to wadą, chłopci poczytują sobie za zaletę. Zważywszy zaś, że chłopci przewyższają liczebnie całą resztę ludności ziemi cudeńskiej, a ta reszta odznacza się patryjotyzmem bardzo kapryśnym, działającym bez ciągłości i konsekwencji, może

kiedys egoistyczny patryjotyzm chłopski prze-
robi się na powszechny i wtedy nazwany zosta-
nie cnotą? Chłopi górują też nad innemi war-
stwami trafnością instynktu zachowawczego ra-
sy. Nikt im nie wmówi działań wyraźnie temu
instynktowi przeciwnych, np. powierzenia Niem-
com odbudowy niepodległego państwa cudzeń-
skiego.

Nie dotykając dawniejszych dziejów ziemi
cudzeńskiej, które napewno wielu czytelników
zna dokładnie, musimy jednak zabrnąć w te
dzieje gorące i jeszcze nie okrzeple, które na-
zywamy polityką doby obecnej. Nie będziemy
nawet próbowali nakreślić ogólnego kierunku
tej polityki. Każdy Cudnianin, zdobywszy eru-
dycję czterech klas gimnazjalnych zaczyna ro-
bić politykę, a często jeszcze słabiej uzbrojony
genjusz rwie się do rozprawy z Ententą, Bol-
szewją, Japonją i tym podobnemi wyspami,
gdyż głównie polityka zagraniczna jest, jeżeli
nie specjalnością, to przynajmniej ulubioną za-
bawą Cudnianina. Niejeden taki amator dostał
się ostatniemi czasy na stanowisko urzędowe.
Obraz tej polityki porównać można do tkaniny
dzierganej nie przez tkacza, lecz przez tłum róż-
nie usposobionych amatorów, pełnej gruzłów,
dziur i pstrokacizny tak zawikłanej, że chyba
malarz-formista zdołałby objaśnić, co to wszyst-
ko, razem wzięte, znaczy...

Postaramy się tylko na zasadzie doświadczeń i wywiadów, wyrozumieć, jakie pojęcia Cudnianie nazywają polityką.

Wyraz „polityka” używany jest przez Cudnian w dwojakim znaczeniu:

1. Gadanie, sejmikowanie, rajcowanie o rzeczach publicznych ze stanowiska szkoły, klasy, lub stronnictwa, z pominięciem stanowiska użyteczności powszechnej, i dla rozkoszy ścierania się zdań, vulgo brania się za lby, który to sport ulubiony ma sobie Cudnianin za „żrenicę wolności”.

2. Grzeczność, dworskość, układność, dobre wychowanie. Naprzykład: „Odprawił swe poselstwo do Turek tak politycznie, że, choć zamierzzonego traktatu nie osiągnął, pozyskał serce sułtana i wielkiego wezyra i olśnił wszystkie sułtanki”.

Darmoby wmawiać typowemu obywatelowi Cudna, że polityka jest sztuką rządzenia państwem na jego bezpośredni pożytek, wyprowadzeniem linii działania z ogółu interesów krajowych, przemysłnem pozyskiwaniem sprzymierzeńców zagranicznych i t. p. Cudnianin zbyt nałogowo przywiązany jest do pojęć wyżej określonych. I rzecz można, że podczas wojny europejskiej stosował politykę w obu tradycyjnych znaczeniach: podczas przymierza Rosji z „marzeniami naszych ojców i dziadów” — po-

litykę swarów; podczas okupacji niemieckiej — politykę grzeczności.

Aby uzasadnić to twierdzenie, trzeba by dowieść go przynajmniej na pobieżnym skrócie dziejów Cudna podczas wojny. Pozwolimy sobie jednak przeskoczyć przez te dzieje, aż do punktu wyjścia naszego opowiadania, które jest tylko gwizdany przyśpiewem do historii.

Parę już lat korzystało Cudno z rządów dobroczynnych najeźdców, którzy zachowywali się... ujmująco. Zamiast poprzestać na Niemczeniu i grabieży, — które to konieczności stosowano całą parą — starali się pozyskać serca ludności zapomocą szeregu łask i dobrodziejstw, nie tyle realnych, ile wyrażonych przez urzędowe nominacje, dowcipne przezwania i manifesty cesarskie. Gazy trujące, przeznaczone do walki frontowej z nieprzyjaciółmi, mogły słusznie być nazwane metodą brutalną i barbarzyńską. Ale Prusak nagroził tamten zohydzony pomysł przez wynalazek gazów rozweselających, użytych do uspiania przyjaciół w Cudnie. Miasto i ziemia cudzeńska ogrodzone zostały pancernym kojcem, nie przepuszczającym wieści szkodliwych dla wychowania nowego pokolenia Cudnian, sprzymierzonych z „mocarstwami centralnemi“, który to eufemizm dyplomatyczny oznaczał: Berlin. Do tego kojca napuszczono sztucznych oparów w rodzaju przyznania Cudnu nie-

zawisłości od nikogo, oprócz od Niemców, urzędów krajowych, którymi kierował niemiecki wielkorządca, generał von der Hölle — i tym podobnych rozweselen.

Wychowywało się państewko cudeńskie bardzo grzecznie pod ferulą profesora Niemca, opasane żelaznym kojcem, który hamował możliwość namiętniejszej działalności i nie dopuszczał do Cudna niebezpiecznych błysków od dalekich pożarów wojennych. Kręciły się kółka maszynki państwowej; ministrowie krzatali się w swoich wydziałach, w ciągłym kontakcie z centralnym telefonem wielkorządcy; potęga militarna krajowa musztrowała się na skwerze przy skrzyżowaniu ulic Zarwańskiej i 5 listopada; ogół mieszkańców przeprowadzał kurację głodową dla uśmierzenia namiętności; Żydzi cieszyli się opieką prawa; politycy jasno patrzyli w przyszłość; Niemcy zadawali się rekwizycją i ściąganiem podatków — wszystko szło, Gott sei Dank, cicho, gładko i pomyślnie. I możeby państewko cudeńskie, zahypnotyzowane przez dobroczynnych najeźdców, używało takiego snu przez długie jeszcze lata, gdyby przez szczeliny pancernego kojca nie przenikały czasem wieści z Zachodu i ze Wschodu tak jaskrawe, że Cudno, przejrzawszy się w ich łunie, zaczynało samo sobie nie podobać się. Tak na przykład wpadła wieść o rewolucji w Petersburgu, abdy-

kacji Mikołaja i ogłoszeniu Rosji rzeczapo-
soli, pełną wolności, swobód i manifestów libe-
ralnych.

Zakotłowało się w Cudnie. Wichor wol-
ności, acz dziki i mroźny, powiał ze wschodu
i przejął serca zapomnianymi marzeniami. Py-
sznili się socjaliści, że ich to program zwycięża;
cieszyli się burżuje, jak dzieci, że niema już kogo
bać się, skoro upadł car, a z nim zapewne i żan-
darmi. Zamyślili się wszyscy nad skutkami
ogromnego przewrotu. Żydzi, podnieceni ner-
wowo, wyciągali nosy ku Wschodowi, wietrząc
tam wielkie, niebywale geszefty.

Jeszcze nie ucichły w sercach elektryczne
dzwonki od tej wieści, gdy wpadła do Cudna
nowa, poprostu nie do wiary: rząd rosyjski ogło-
sił niepodległość całej Polski!...

Powstało wtedy wrzenie umysłów powsze-
chne. Ale tym razem ponad wszystkie inne wy-
górował głos roztropnego burżuja:

— Jakto? Rosja zrzeka się praw do ziem
naszych, więc pocóż dalej mamy z nią walczyć?
I jakież w tem sens łączyć się z jej wrogami?
Rosja nam przyznaje całą niepodległość, a my
co mamy w Cudnie? — stację aprowizacyjną
i werbunkową niemiecką! oszwabkową nieza-
wisłość!

Te niebezpieczne objawy jasnowidzenia sta-
rał się stłumić wielkorządca, tłumacząc swym

wiernym ministrom, a przez nich społeczeństwu, że manifest rosyjski, wydany zresztą przez rząd samozwańczy, jest tylko przekornem naśladownictwem dobrodziejstw i zamiarów cesarza niemieckiego względem Cudna, parodją śmieszną, gdy już wszystkie ziemie polskie oderwane są od Rosji, dzięki Niemcom.

Nie wszystkich przekonał generał; pozyskał jednak aprobatę cudzeńskiego rządu, który tak się przejął instrukcją wielkorządcy, że aż wystósował do rządu petersburskiego pogardliwą odpowiedź. Akt ten pozostanie uroczystem świadectwem wyrobienia politycznego i polotu ówczesnego ministerjum.

Ale w mózgach wielu Cudnian utkwiło wrażenie, że Moskale przez swój manifest przeliczytowali Szwabów i że wszędzie na świecie jest luźniej, wyraźniej, weselej, niż w Cudnie. Tak mniemali burżuje, i Roby i Popsuje, a nawet myśl ta, choć opóźniona, zaczęła świtać w głowach stronnictwa rządowego, ba, nawet w generalnej głowie generała von der Hölle.

Wielkorządca coraz częściej jeździł do Berlina i miewał w Cudnie tajemnicze narady z paru notablami wyższego rzędu. Szeptano powszechnie, że nowa doza łask rozsypie się na kraj niedosycony. Aż po jednym powrocie z Berlina generał powierzył swym zaufanym wieść radosną, która gruchnęła natychmiast po

mieście: Cudno ma być królestwem! Cudno ma otrzymać króla!

Dreszcz rojalistyczny przejął wszystkie sfery i stany. Wyszukiwano kandydatów na króla, spierano się o ich kwalifikacje w salonach, klubach, biurach i piwiarniach. Nikt nie prowadził na tron żadnego pretendenta krajowego. Tylko lekkomyślne niewiasty forytowały paru swych ulubieńców. Wybierano między księżętami krwi niemieckiej, a przypuszczano nawet, że cesarz Wilhelm raczyłby przyjąć tytuł króla na Cudnie po tytułach księcia Pomorza, Bremy i Werdenu. Ale trzebaby go o to prosić gremjalnie; tymczasem odważyło się na ten krok tylko paru amatorów.

Zanim Cudnianie zgodzili się, choćby tylko w sympatjach, na jednego kandydata, zabrzmiał z Berlina powtórny manifest cesarski, niosący jeszcze wspanialsze dary, niż pierwszy. Cudno ogłoszone zostało królestwem, dla notablów wymyślono jeszcze wyższe tytuły, niż dawniejsze, a królem zamianowany został legendarny Ćwieczek, który panował już udzielnie w wielu głowach cudeńskich.

II.

Ziemia cudzeńska zamieniła się w królestwo tak gładko, że, ktoby nie wiedział, nie spostrzegłby tego po ustroju ani po wyglądzie Cudna. Starodawne namaszczenie królów połączone było z pompą i malowniczymi uroczystościami; tutaj królewska maść przybyła z Berlina kurjerem i rozlała się automatycznie na ziemię cudzeńską, która przez to samo stała się królestwem.

Że nie łatwo było w tem się połapać, dowiódł wrażenia pana Edwina Szaropolskiego, młodzieńca obdarzonego inteligencją wyżej niż średnią.

Szaropolski, syn Polaka z Cudna i Angielki, wychowany w Anglii, przedostał się do ojcowskiego miasta pod wieczór królewskiej jego fazy. Był to człowiek dobiegający trzydziestki, z wykształceniem przemysłowo-handlowem, pozytywny, nie skłonny do wiary w cuda, przywiązany zaś instynktowo do rodzinnego miasta. Dawno już pragnął osiedlić się w Cudnie i stworzyć sobie w niem dobry warsztat pracy. Wojna opóźniła ten zamiar i skomplikowała. Gdy jednak dowiedział się, że ziemia cudzeńska stała

się państwem na dorobku, przelamał duże trudności, aby osobiście dotrzeć do Cudna — i do-
tarł.

Odszukał trochę krewnych i znajomych z lat dziecięcych, — bo w Cudnie się urodził — i jał się uczyć mozolnie nowych urządzeń i stosunków panujących, bardzo różnych od angielskich. Usilnie też rozglądał się po mieście i ludziach i wyrabiał sobie własne zdanie.

Dostrzegł, że miasto już zewnętrznie było znacznie biedniejsze, smutniejsze, niż to, które przez mgłę pamiętał, i mniej skore do rozrostu w wielkie centrum europejskie, niż je sobie wyobrażał z opowiadań ojcowskich. Śliskie, je-sienne błoto, rozmazane na brukach, zdawało się wpelzać coraz wyżej na mury poranione i nie leczone, grożąc zapatynowaniem całego miasta na barwę ruiny. Na katedrze dach miedziany nie opalizował w słońcu, jak niegdyś, lecz powleczone był żalobną tekturą. Zamek Kazimierza Wielkiego, górujący nad miastem, zdawał się potwornem gniazdem czarnych, żydowskich termitów.

— To skutki wojny, — myślał Szaropolski — to się da przerobić.

Był bowiem młody, odważny, a im więcej znajdował w swem rodzinnem Cudnie rzeczy do naprawy, tem bardziej rwał się do roboty.

Trudniej mu było zorjentować się w życiu publicznem Cudna, gdyż, pomimo usiłowań, dotąd polityki tutejszej nie mógł zrozumieć. Politykiem wprawdzie nie był, ale miał o zasadach społeczeństw pojęcia wyrobione, proste i jasne, wzorowane na angielskich. Tutaj błakał się i natrafiał ciągle na poważne zagadki.

Raz naprzykład uzyskał audjencję u ministra handlu i przemysłu, którym był podówczas znany Dr. Powidło, rodem z Galicji, namiętny mineralog. Szaropolski przedstawił ministrowi swój projekt wielkiej kooperatywy zbożowej, któraby wyzwoliła handel zbożem z rąk pośredników i przekupniów, a skierowała na właściwe szlaki aprowizacyjne i, w razie nadmiaru produkcji — na eksportowe. Minister nie zganił projektu, ale zakwalifikował go do „muzyki przyszłości“. Obecnie projekt jest niewykonalny z dwóch głównie przyczyn: handel zbożem trzeba by przemocą wyrwać z rąk Żydów, a drażnienia tej części ludności rząd nasz programowo unika; powtóre — zbiory cerealjów rekwirowane są przez sprzymierzone z nami władze niemieckie.

— Pan niedawno w Cudnie? — zakończył minister z dobrotliwym uśmiechem.

— Od tygodnia — odrzekł Szaropolski.

I zabierał się do wyjścia, zawstydzony, że

niedostatecznie przygotował się do konferencji przez zbadanie miejscowych stosunków.

Ale Dr. Powidło zatrzymał petenta, ofiarując mu papierosa. Miał, widać, dzisiaj czas, bo w gabinecie, ani w poczekalni nie było dosłownie nikogo.

— Jakże się panu podoba w Cudnie?

— Powróciłem tu na stałe, aby pracować, panie ministrze. Podoba mi się, że jestem na właściwym terenie pracy.

— To pięknie, młodzieńcze. My tu już od lat paru, tak powoli, stopniowo... budujemy —

— Co? może halle targowe na zastępstwo tych ohydnych kramów pod zamkiem? — zapytał żywo Szaropolski.

— Nie — Powoli, młodzieńcze; to na później. Ja mówię o całokształcie państwa, które przeszło już ogromny etap ewolucyjny od jarzma moskiewskiego aż do formy dzisiejszej, gdy jesteśmy już — królestwem, sprzymierzonym z największą potęgą świata.

Minister wypatrywał na twarzy słuchacza oznak entuzjazmu, ale gdy Szaropolski mrugał tylko kłopotliwie, minister ciągnął dalej:

— Wszystko to przygotowaliśmy, wytargowaliśmy, przewidzieli, posuwamy dalej my, ludzie skromni, lecz nie zasypiający nigdy sprawy, my, aktywiści polscy — — — — —

Szaropolski skłonił się przez grzeczność, ale z nagłego zaniku jego wymowy, dosyć sprawnej w materjach konkretnych, widać było, że wyższej polityki wcale niepojmuje.

Dr. Powidło nauczał go dalej:

— Natrafi tu pan na zdania przeciwne naszemu programowi, zwłaszcza gdy się pan zetknie z endecją. To są ludzie, przed którymi pozwolę sobie pana ostrzec — — — — —

— Dziękuję panu ministrowi za łaskawe dla mnie chęci, ale ja się nie zajmuję polityką. Jestem handlowcem. Możeby mi pan zechciał udzielić wskazówek, w jakim kierunku handel cudzeński ma obecnie szanse rozwoju, abym mógł w nim wziąć pewien, choćby skromny, udział?

Wysoki urzędnik skrzywił się. Szybował już swobodnie w dziedzinie ogólników zasadniczych, a natrętny gość ściągał go do specjalności, którą dr. Powidło uprawiał przygodnie, przez patryjotyzm, ale bez zamięłowania.

— Widzi pan — rzekł ministerjalnie — trwająca dotąd wojna trzyma całe dziedziny życia publicznego i zależności. Z tego powodu i handel cudzeński jest — rzecz można — w zawieszeniu.

Szaropolski zmartwił się, chciał znowu powstać, ale ponieważ otrzymał drugiego papierosa, próbował jeszcze skorzystać z audjencji:

— Może inne jakie ministerjum ma wydział handlowy? Ministerjum wojny?

— Tego ministerjum jeszcze nie posiadamy. Nie odrazu Kraków zbudowano, nie odrazu i Cudno.

— Ministerjum spraw zagranicznych??

— Jest dopiero w formacji.

— Ministerjum spraw wewnętrznych?

— Zapewne... Albo komunikacji. Są tam sprawy handlowe. Z tem radziłbym się jednak udać do generała Edler von der Hölle, który ma swój wydział komercyjny. To bardzo solidny człowiek. Mogę panu dać do niego list polecający.

— Bardzo wdzięczny będę. — — Więc generał jest tu na stanowisku... namiestnika? wicekróla? — —

— A! gdzież tam! — Zasadniczo mamy króla Ćwiczka, który tymczasem jest nieobecny. Są tu jego zastępcy. Możliwy się do nich dostać, ale... to nie droga dla pana. Król i jego zastępcy są raczej dla... dostojności — dla firmy, że tak rzekę. Interesy realne, jak handlowe, kierować należy albo do generała von der Hölle, albo wreszcie i do mnie.

— Skoro jednak pan minister nie ma na razie nic takiego dla mnie...?

— Proszę się do mnie zgłosić za miesiąc —
— albo po nowym roku — — jest nadzieja, że otworzą się wtedy pewne drogi... kolonjalne. Więcej dzisiaj nie mogę panu powiedzieć.

— Moje uszanowanie panu ministrowi.

Szaropolski wychodził z gabinetu prawie przerażony swą własną niezdolnością pojmania pojęć cudzeńskich. Czyżby już tak dalece się wynarodowił?! W zamęcie zasłyszanych powiadomień pływał mu na wierzchu tylko wyraz: „aktywiści polscy“ — —

— The combination is strange indeed — myślał Szaropolski po angielsku.

Noc wilgotna już zamroczyła ulice, oświetlone tak oszczędnie, że pieszy wędrowiec kierował się od latarni do latarni tylko wiarą, że od jednej do drugiej zalega gładki chodnik. Czasami wiara ta zawodziła, gdy w chodniku brakło tafli. Ale Szaropolski był sportowcem i nauczył się już chodzić biegle po cudzeńskich brukach.

Myślał wciąż jeszcze o rozmowie z d-rem Powidlą:

— Może on coś przede mną ukrywał, albo chciał mnie się zręcznie pozbyć? — — Muszę o niego zapytać stryja Joachima. Stryj zna całe Cudno.

Ów Joachim mieszkał na drugim końcu miasta. Szaropolski rozejrzał się za dorożką, przechodził bowiem przez placyk, na którym znał już stację wehikułów publicznych. Tam, przy rogu Zarwańskiej, zdaje się, że stoi kilka...?

Nie, chyba to kupy błota? — — Owszem, dorożki!

Gdy się zbliżył, poznał, że stoi ich trzy, oczywiście bez latarek. Dwie miały konie tak udręczone i głęboko zaspane, że nie budziły nawet wyobraźni w kierunku ruchu. Trzecia zaprzężona była w małe, krępe stworzenie z wielką głową, nieznanego gatunku. Gdy Szaropolski zaczął mu się przyglądać, dorożkarz zaprosił żwawo:

— Niech pan ino siada.

— Cóż to zaprzęgliście? ciele, czy młodego losia?

— Sybirak, panie. Takiego mi przynajmniej Szwabry nie zarekwirują. A pojedzie ojej! — — Gdzie mam jechać?

Edwin podał adres; potworny kuc ruszył z miejsca silnym, nadspodziewanie szybkim kłusem. Szaropolski dodał zaś szczegół do swych pożytecznych spostrzeżeń:

— Masy ludowe nie są sprzymierzone z Niemcami. Zato ich aktywizm jest nieco skuteczniejszy.

Joachim Szaropolski był dalekim krewnym Edwina, ale że nosił to samo nazwisko, należał do swoich, gdyż Szaropolscy trzymali się solidarnie w rodzinie, według tradycji szlacheckiej. Mizerne to już było szlachectwo, bo nie po-

parte przez posiadłości ziemskie; Szaropolscy mieszkali oddawna w mieście, podobno nawet nie wylegitymowani, uprawiając przeróżne kunszty i rzemiosła. Jeden z nich był aktorem, a że często grywał role szlachetne, miał polor i kulturę dla teatru wystarczające. Drugi był siodlarzem, trzeci służył po biurach administracyjnych. Tylko nieżyjący już ojciec Edwina, duch niespokojny, wybiegał poza deptak gminu, zawiązał stosunki z Anglią, posunięte aż tak daleko, że pojął żonę Angielkę, zebrał majątek i starannie wychował syna, najbardziej z żyjących podobnego do szlachcica. Ale właśnie Edwin nie miał zamiłowania do szlachectwa, odziedziczywszy po matce umysł pozytywny i upodobania przemysłowo-handlowe. Był to w każdym razie najpokaźniejszy z Szaropolskich. Gdy powrócił do Cudna, poznał swych krewnych, nie znalazł jednak wiele stycznych ideowych ani z aktorem, ani z siodlarzem, ani z kancliszą. Jedyny Joachim, chociaż stary i zgryźliwy, zainteresował go, jako niezupełnie jeszcze rozsypała ruina ciekawego gatunku człowieka.

Joachim był typowo „zmarnowany“, gdyż żadnego ze swych uzdolnień i przygotowań naukowych nie doprowadził do widomego wyniku. Kierował się niegdyś na pisarza w stylu staro-

żytnym, na kapłana sztuki, nie zaś na wyrobnika pióra. Ale w połowie studjów uniwersyteckich zapragnął zostać księdzem, wpływowym kaznodzieją, reformatorem pojęć i obyczajów, nawoływaczem do krucjat — i wstąpił do akademii duchownej. Wtem świecka ponęta wypłatała mu kapitalnego figla: zakochał się w aktorce, porzucił dla niej swe niezbyt mocne powołanie kapłańskie i ożenił się z nią. Z kolei aktorka porzuciła Joachima ze względu — na opinię. Jak to wygląda, że artystka, grająca wyższe role, jest żoną ex-księdza! Koledzy nie mogli jej tego darować, zwłaszcza że była bardzo ładna. Ona zaś liczyła się głównie z opinią, którą codzień wchłaniała w uszy. Wyszła też niebawem powtórnie zamaż za suflera i jest z nim dotychczas podobno szczęśliwa. Joachim zaś zaczął pracować w redakcji pewnego pisma, w dziale satyryczno-sprawozdawczym. Ale zdarzyło się znowu, że pismo, nazwane „polskiem“, stało się wcale nie polskiem, w ostatnich zaś czasach zupełnie żydowskiem. Joachim przeklął zatem i zawód publicysty. Zajmuje się dzisiaj już tylko tokarstwem i strojeniem fortepianów.

Bliższa przyjaźń między Edwinem a starym krewnym należałaby do wyjątków, gdyż towarzyszami sobie być nie mogli — jeden kończył

stargane życie, drugi zabierał się dopiero do ustalenia swojego — ale po trzech spotkaniach dostrzegli jeden w drugim pokrewieństwo przyjemne: podkład zdrowego sensu w sądach o sprawach i ludziach, który Edwin mógł wziąć po matce Angielce, ale Joachim, Cudnianin bez domieszki krwi obcej, posiadał również, co dowodziło ubocznie, że zdrowy sens znaleźć się może i w Cudnie.

Joachim siadywał dużo w domu, w wielkim fotelu, pośród starożytnej rupieciarni i bibuły, a rozkołysana, siwa czupryna i twarz gorzka przypominały Lelewela, szczególnie z pomocą jednakiego chrzestnego imienia. W tej postaci zastał go Edwin i dzisiaj, ale tym razem nie samego. Po drugiej stronie stołu siedział przywiedły, ale obszerny jeszcze mnich w habicie kapucyńskim, ojciec Prosper, kolega Szaropolskiego ze szkół. Koledzy pociągali sobie węgrzyna. Obrazek był ułożony jak według starej ryciny.

Gdy wszedł Edwin, Joachim ożywił nieco twarz swą niechętną, której nawet wino nie rozweselało dostatecznie:

— Masz przed sobą, ojcze Prosperze, najmłodszego ze Szaropolskich, który przyjechał z Anglii nas tu uczyć rozumu,

Edwin przywitał się grzecznie i usiadł neutralnie między potęgą świecką, a duchowną. Przyjął też zaproponowany kieliszek wina.

— Nie przyjechałem, aby uczyć, ale aby nabrać rozumu; poznać tutejsze potrzeby, urządzenia...

— To go nie namacasz, tutejszego rozumu. Wycofaliśmy go z obiegu, jak złoto. Używamy tylko obcego rozumu i to w fałszywych asygnatach.

— Co też Joachim powiada! — wzniosł kapucyn ręce do góry — mamy w kraju nareszcie jakiś ład, spokój, dzięki Bogu.

— Ojcie Prosperze! bliżej mieszkasz od Pana Boga, niż ja, ale tak samo Go nie rozumiesz. Wytlumacz mi na przykład, że z łaski boskiej mamy rząd obecny. —

— Nie mnie Wam tłumaczyć, drogi kolego. Ale zbieramy owoce: mamy szkoły, sądy własne; nie prześladują Kościoła, zakonom pozwolili powrócić — inaczej nie siedziałbym tu i ja grzeszny — pociągnął wina.

— Czyż nie widzisz, ojcie Prosperze, że te ustępstwa i pozwolenia to tylko podawanie ręki, aby nas wciągnąć w przepaść? Czego może chcieć Prusak, jeżeli nie zagłady Polski? Takim go sam djabeł stworzył. A dlaczego nasi idą na rękę Niemcom i tańczą pod batem generała von

der Hölle? Bo im djabeł rozum odebrał. Trudno, żebym Pana Boga posądzał o całą tę politykę.

— Niezbadane są wyroki boże — odrzekł tylko mnich, ogmatwany przez swadę Joachima.

Urwała się dyskusja. Popijano wino, Joachim kwaśno przelykał, kapucyn siorpał pobożnie, Edwin pił obojętnie. Tu młody Szaropolski przypomniał o zamiarze wyjaśnienia sobie wątpliwości, wynikłych z audjencji u D-ra Powidły i nawiązał do urwanej rozmowy żartobliwy przycinek:

— Czy stryj przypadkiem nie endek, że tak gromi politykę rządową?

— A tobie co do tego, czy ja endek? Skąd nabrałeś tej metody dyskutowania? Musisz tu się obracać w bardzo podłym towarzystwie?

— No, nie koniecznie. Wracam właśnie od ministra handlu i przemysłu.

— Powidło? — to dureń.

— Ależ Joachimie, zastanów się! To zacny człowiek, dobry katolik, no i powaga naukowa — perswadował zgorszony Prosper.

— Wszystko to być może, ale dodać trzeba, że w piętkę goni, sprawując ministrowstwo handlu, skoro jest mineralogiem, i biorąc udział w rządzie, który nie jest rządem.

Edwin zawtórował z radosną energją:

— Wie stryj, że ja wyniosłem bardzo podobne wrażenie z mojej audjencji!

— Tak więc i mów: masz, stryju, słusność — a nie, że stryj jest endekiem.

— No... bo endecja podobno cała w opozycji przeciw rządowi...

— I ma jeszcze raz słusność. — Mój drogi, walka z endecją to nie są tylko partyjne swary. To znamienny szczegół piekielnej machinacji przeciwko Cudnu, kierowanej przez zajadłych wrogów. — —

Zamilkł — zrywał się następnie po parę razy, bez głosu, do jakiejś wielkiej perory, ale nareszcie dał znak skrzywieniem twarzy i machnięciem ręki, że nie warto.

— Dajcie mi już pokój z tą polityką!

Dano mu łatwo pokój, gdyż właściwie on tylko sam zaczynał o niej gadać. Ojciec Prosper poczuł się do obowiązku zbanalizowania rozmowy:

— Szanowny pan na długo zjechał do Cudna?

— Na stałe. Szukam tu warsztatu pracy, mieszkania, no i takich rzeczy.

— Może gniazdeczka?

— Chce ksiądz powiedzieć: żony? Nie szukam — chyba że się zdarzy.

— Nie namawiaj go, Prosperze; ma jeszcze

czas. — Powiedz mi, Edwinie, co tam z twym fortepianem?

— Używa go dotąd ten major Niemiec razem z innymi meblami po moim ojcu. Są na składzie w dwóch pokojach, które zarekwirowano z meblami.

— No, może majora, razem z kolegami, wkrótce diabli wezmą. — Ale mówileś z nim?

— Mówilem. Obiecuje, że meble odda, jeżeli otrzyma translokację, za wyjątkiem właśnie fortepianu.

— A to co znowu? Chce go kupić? Nie radzę; dobry instrument, a Szwab zechce nabyć tanio.

— Chce go zabrać darmo. Mówi, że się do niego przywiązał, grając na nim już długo, że włożył do niego zbyt dużo niemieckiej kultury muzycznej, aby się z nim rozstać.

— No, wiecie co!...

Popłynęły wyrazy oburzenia i narada, jakby na drodze dyplomatycznej odzyskać zagrożony fortepian.

Pożegnawszy stryja i kapucyna, mógł Edwin powrócić na wieczerzę do pensjonatu pani Wilkołackiej, gdzie zamieszkał, ale było tam zimno, głodno i drogo, gdyż właścicielka założyła swój hotelik głównie dla idei. Starala się dobierać lokatorów ze sfer zamożnych, niezaradnych i wy-

rozumiałych, aby ich rozrzewnić do głównej idei instytucji: do odbudowania fortuny Wilkockich. Za zwyczajną opłat mieszkaniowo-kulinarnych lokatorowie otrzymywali korzyści natury moralnej: wyborne towarzystwo, ciepło, serce bliźnich i światło dyskusje po chudych obiadach i wieczerzach. Szaropolski spróbował tych uczt, ale nie mógł się do nich przywiązać. Szukał też energicznie własnego mieszkania — i dzisiaj opuścił wieczerzę w pensjonacie, bo zapragnął innej rozrywki, może w teatrze.

Na ulicy 5 listopada błyszczały tu i ówdzie reklamowe konstellacje. Edwin mijał je bawczo, aż natrafił na budę zatytułowaną „A rebours“ i rzucił okiem na program. Jakiś związek młodych poetów... aktualności... bosa tancerka... To może być zabawne.

Wszedł i zastał, zamiast teatrzyku, jadłodajnię urządzoną niedbale, z estradą, na której tymczasem nic się nie działo. Przy stolikach, pojedynczo, lub po dwie i kilka, siedziały rozmaite osoby, mające jednak wspólny niby styl w przykroju ubrań i nastroju fizjognomji. Poeci?? — wahał się Szaropolski w domysłach. — Kobiet kilka niebrzydkich — jedna zupełnie ładna i usadowiona, jak u siebie w domu. — Dużo Żydów.

Gdy tak przeglądał salę, spotkał się oko w oko ze swym kuzynem, Szaropolskim Rober-

tem, aktorem. Ten, oglądany zdaleka, miał pozór skończonego dżentelmena; zbliższa wyglądał jednak niedokończony, zwłaszcza w szczególe głowy, ile że nie była tutaj, poza sceną, zrobiona na żaden charakter. Zresztą był popularną w Cudnie figurą i zawołanym knajpiarzem. Edwin go nie szukał, ale skoro go spotkał, przysiadł się do niego.

Przy stole był jeszcze jeden pan, nazwiskiem Wurm — pochodzenia niewiadomego, jednak poeta polski. Jako takiego przedstawił go Robert, dodając, że jest dyrektorem kawiarni i „bajecznym kawalarzem“. Wurm był gładki, ubrany z wyszukaniem barw i zarysów, zniwalał kobietę z doraźnymi aspiracjami, uśmiech miał pieprzny, spojrzenie figlarne — wogóle pozór taki, że agent policji, szukający w tłumie sprawcy świeżej zbrodni, na pierwszego Wurma zwróciłby uwagę.

W kawiarni można było dostać i potraw gorących. Szaropolski zamówił sobie coś do jedzenia, a tymczasem na estradę wstąpił p. Promieński, inny poeta polski, w rodzaju satyryczno-naśladowczym. Gdy się ukazał, był wcale niepozorny i do zwykłego gościa podobny. Ale za pomocą paru pociągnięć po głowie, po twarzy i po ubraniu przeistoczył się w moskiewskiego urzędnika, i w monologu, pełnym werwy, przed-

stawiał całą ohydę rządów w Cudnie w epoce przed wyzwoleniem. Od stolików zrywały się wybuchy śmiechu i oklaski młodych kolegów, pobudzające entuzjazm publiczności. Gdy skończył i odchodził, zmuszono go do powiedzenia jeszcze kawalka pod tytułem „Wańka-wstańka“, potem jeszcze słynnej „Ody endeka do knuta“. Publiczność dyktowała rozgłosnie tytuły tych utworów młodemu piewcy, który je uprzejmie wykonywał na zawołanie. Był to specjalista od biczowania Rosji i endecji.

Gdy skończył, Edwin Szaropolski rzekł do kuzyna Roberta:

— Dobrze, ale gdzież tu aktualność, zapowiedziana na afiszu? Tego wszystkiego już od trzech lat niema w Cudnie.

Robert zwlekał z odpowiedzią, więc Wurm posłużył objaśnieniem:

— Pan niedawno w Cudnie i nie wie, ile tu jeszcze zarazy moskiewskiej tkwi w społeczeństwie. My ją wypalamy gorącym szyderstwem.

Edwin pomyślał: może być! — zanotował w pamięci wątpliwość: co to znaczy: my? A odezwał się jeszcze inaczej:

— Czy panowie nie dajecie tu piosenek opających stosunkach i osobach, jak Francuzi w swych kabaretach na Montmartre? Znała-

złoby się coś do przypięcia temu i owemu ministrowi, albo generałowi Edler von...

Nie dokończył. Obaj spółbiesiadnicy przerwali mu spojrzeniami rozpaczliwie ostrzegawczemi.

— Panie Szaropolski — szepnął Wurm, nachylając do Edwina postać ziejącą piżmem i zgrozą — jest stan wojenny. My się musimy z tem liczyć.

— Ach, tak dalece?... — odbaknął Edwin i pograżył się w talerzu, noszącym kotlet z garniturem marchwi i buraków.

Wybuch muzyki przerwał niepożądaną rozmowę i dał Edwinowi czas do namysłu. — Znowu „my“ — a zatem to grono niby poetów? Młode, jednak zatechłe; dowcipkujące, ale smutne i buntownicze przeciw Moskałom nieobecnym, lecz srodze lojalne wobec Niemców, siedzących na karku. — Nie podobala się Edwinowi ta knajpa.

Przyciemniono światło na sali, a na estradę rzucono jaskrawy snop z reflektora. Z za firanki wypłynęła bosa tancerka. Ach, to ta ładna blondynka, co krążyła między stolikami — — Bardzo zgrabna — —

Kobiecy kształt w ruchu, ogólnoludzki, międzypartyjny, wszem miły — podziałal kojaco na zgrzyty moralne. Rozweseliły się oczy i umysły

gości. Robert Szaropolski kołysał się na krześle w takt muzyki, aprobachyjnie, pozując na arbitra wdzięków. Dyrektor Wurm wodził wokół triumfalnymi spojrzeniami: „taką my tylko mamy“. Ale i Edwinowi uczyniło się tak ochocho, że zapragnął szampana. Zapytał towarzyszy, jaką wolą „markę“.

— My pijemy „Deutscher Sekt“ — odpowiedział Wurm — nawet innego tu nie trzymamy.

Chociaż niemiecki szampan ma się do francuskiego jak osioł do konia, można go pić w nędzniejszych epokach życia — miał też wówczas popyt w Cudnie.

To samo wino ukazało się niebawem na wielu stolikach. W rozgrzanej atmosferze zacierały się antypatyczne rysy jednych, tępiał zmysł spostrzegawczy innych, szerzyła się jakaś senna zrazu, potem bardziej przedsiębiorcza pojednawczość różnych płci i przekonań, harmonja na wyżynach artystycznych.

Bo na estradę wstępowali coraz to nowi artyści, mężczyźni i kobiety, w ubraniach domowych, byli tu bowiem u siebie, w domu. Jedni bawili publiczność doborem wyrazów melodyjnych, których pospolitego sensu trudno było się domacać, ale cel był wyraźny: dowieść, że stara poezja, jak i stara Polska, są już dzisiaj na nic. Drudzy w misternych strofach przemycali śmiało

wybryki pornograficzne. Sam Wurm wystąpił z utworem oryginalnym, zatytułowanym „Wolanie przepaści“, wcale nie wesołym, gdyż warczało w nim od piorunów i buchało specyficznym swędem, który stanowił oryginalność poezji Wurma. Rozgłos tego poety sięgał daleko poza granice kawiarni; tylko dla walki o byt raczył tu być dyrektorem. Po kilku minutach szybowania zstąpił z wyżyn estrady i powrócił do niemieckiego szampana.

A w przerwach programu artystycznego raz po raz jakaś para zrywała się do tańca.

Gdy Wurma nie było przy stoliku, Edwin zagadnął Roberta:

— Powiedz mi, czego oni tu chcą? do czego to wszystko zmierza?

— Do czego?... do zabawy — odrzekł zdziwiony Robert.

— Ej nie — to jakieś stowarzyszenie... jakaś robota — — —

— Utop, Edwinku, filozofję w winku — za-improvizował Robert dowcipną odpowiedź.

Edwin zaś przypomniał, że Robert to nie Joachim i że nie warto z nim gadać o głębszym sensie pospolitych objawów życia.

Gdy Wurm powrócił do stolika, jakaś dama młoda i strojna podeszła do niego.

— Hrabina! — szepnął Robert na ucho Edwi-
nowi — prawdziwa hrabina, słowo ci daję.

Owa dama zapraszała Wurma do tańca.

— Jakto? mnie?! — pytał Wurm, wskazując
palcem na swój front barwnie skombinowany,
z wyrazem ogromnego podziwu.

Publiczność śmiała się, gdyż co wieczór zda-
rzała się ta sama scena i codzień Wurm się
dziwił.

Poszedł jednak w tany z hrabiną; wykonał
„one step’a“ pełnego dyskretnej zuchwałości i se-
mickiej elegancji, ku wielkiemu zadowoleniu sali.

Uśmiechnął się i Edwin; w miarę, jak popijał
wina, coraz łatwiej na śmiech mu się zbierało.
Aż uczyniło mu się tak raźnie, że sam zatańczył
z bosą tancerką, teraz już obutą, której wyszko-
lone nóżki, błyskając z pod krótkiej, powiewnej
sukni, dawały śliczne wzory taneczne.

Wdał się następnie z tancerką w konwersację.
Nazywała się po ludzku, nie tak, jak przeważna
część kolegów, bo Marja Malankowska, urodziła
się w Cudnie i nie można jej było nawet posą-
dzić o pochodzenie semickie. Włosy miała bar-
dzo jasne, wyraz twarzy pogodny i szczerzy,
układ niewinny. Dowiedział się Edwin, że
panna Malankowska jest tu zaangażowana tylko
na miesiąc, że pragnęłaby występować na sce-
nach większych i zużytkować inne swoje talenty,

gdyż uprawia i muzykę, a wreszcie — o dziwo! — że ma wstręt do Żydów.

— Jakże więc pani tutaj się znajduje? przecie tu roi się od Żydów. — —

— Niestety!

Na rozwinięcie dramatycznej zagadki, w tej różowej duszyczce spowitej, nie było czasu. Malankowską chwytano raz po raz do tańca, gwar wzrastał, a noc się przybliżała do godziny przepisanej dla zamykania lokali. Jakoż zabrzmiał wkrótce sygnał, któremu trzeba było się poddać. Edwin zapłacił rachunek większy, niż się spodziewał, pożegnał bardzo grzecznie towarzyszkę niewinnej uciechy, a wyszedłszy na świeże powietrze, powrócił natychmiast, sprężynowo, do swego charakteru.

— Knajpa właściwie podła; towarzystwo pod psem. Dziewczynka ładna i może godna lepszego losu, ale to nie moja rzecz wydobywać ją z tej jaskini. Suma wszystkiego: wstęp do kawiarni „A rebours“ Edwinowi Szaropolskiemu wzbroniony.

III.

Gdyby czynny polityk, piszący pamiętniki w Cudnie, zaskoczony został przez śmierć w owym roku 1918-tym, ostatnie wiersze rękopisu brzmiałyby zapewne, jak następuje:

„Wojna europejska zbliża się do przewidzianego przez nas wyniku. Zwycięskie wojska niemieckie opanowały już Wschód po krańce swych zamierzeń, zajęły żyzną Ukrainę i Kijów; od ich tylko woli zależy zajęcie Petersburga i Moskwy. Na Zachodzie walka pozycyjna przeradza się już zaczyna w nową, ostateczną ofensywę na Paryż. Pociski niemieckie z dalekonośnych dział sięgają Paryża, z którego ludność ucieka w popłochu. Niebawem w dziejach pochód na dwa fronty dobiega swego kresu. Od wspaniałomyślności zwycięzców zależą już dzisiaj losy Europy.“

„U nas, w Cudnie, cicho — i robota nad budową nowego królestwa, choć powoli, zmierza do zarysów konkretniejszych. Trzeba się przygotować jeszcze na niektóre ustępstwa dla sprzymierzonego, lecz zwycięskiego narodu, w sprawie granic i zupełności naszych praw suweren-

nych. Ale mamy nieplonną nadzieję, że dostojny naród i wspaniałomyślny monarcha, którzy, zwyciężając, powołują do życia szereg państw ujarzmionych do niedawna przez Moskali, nie zapomną, że wskrzeszenie królestwa cudzeńskiego było najdonioślejszem ich dziełem wyzwoleniczem i pierwszym tytułem do wdzięczności pokoleń“ — — — — —

Tej podobne karty istniały napewno, ale zalega wątpliwość, czy która z nich dochowała się do naszych czasów. Pamiętnikarz bowiem, który dożył do listopada tegoż roku, już te karty podarł i spalił, a elukubracje podobne autorów, których śmierć zmiotła przed listopadem, uległy też niezawodnie zniszczeniu przez spadkobierców, ze względu na absolutną niezdatność tekstu do jakiegokolwiek użytku.

Trzeba wszelako przyznać, że wielu Cudnian baczniejszych nie prorokowało tak kategorycznie, zauważyło bowiem w działaniach Niemców na Zachodzie pewną monotonność znamioną. Szumny zalew niemiecki huczał już tylko w komunikatach, obijał się jednak o jakieś niezłomne skały, rozpryskiwał się o nie w syczącą pianę — i znowu zalegała względna cisza w kłamaniej epopei Wilhelmów i Hindenburgów. Daleka, niezrozumiała walka spienionych fal ze skałami trwała już długo i działała rozmaicie na umysły rozmaitych Cudnian.

— Trzeba jeszcze wysilków i poświęceń — mówili jedni z coraz mniejszem przekonaniem.

— Czyżby skały ruszyły naprzód!? — przypuszczali inni z radosną otuchą.

Zbawczy pochód Foch'a na czele sprzymierzonych potęg podawany był przez Niemców za jakieś usiłowania lokalnych kontrataków. Ale ryk dział zwycięskich, choć nieuchwytny uchem o kilkaset mil, sprawiał jakieś prądy powietrzne, od których drżały ściany opasującego Cudno pancernego kojca. Niemcom i ich stronnikom dzwoniły od tych prądów zęby; innym ludziom powietrze śpiewało pieśń wyzwolenia.

Do tych drugich, oczekujących radośnie, należał Edwin Szaropolski. Że zaś był obywatelem utylitarnym, skupiał wypatrywanie swe na punkcie świetlnym i pożądanym: niech tylko pobiją Niemców! Cokolwiek z tego wyniknie będzie lepsze od dzisiejszego marazmu. Możemy mieć jeszcze ciężkie życie, ale nie będziemy się już gotowali, jak dzisiaj, do lekkiej śmierci.

Od kilku dni symptomy nowe zaczęły objawiać się pośród załogi niemieckiej w Cudnie: zły humor, nie przedsiębiorczy i wyzywający, lecz apatyczny. Mówiono, że rozprzega się dyscyplina, że wojsko zmęczone długą wojną. Generał von der Hölle mieszkał już prawie tylko w wagonie, którym ciągle przejeżdżał do Berlina i napowrót. Jednak wieści urzędowe z frontów

były aż do znudzenia te same, co wczoraj i przedwczoraj: Niemcy urządzali Ukrainę, siedząc w Kijowie, a we Francji trwała ciągle ich wielka, ostateczna ofensywa.

Tylko ciężkie powietrze późnej jesieni tak było nasycone milionami krzyżujących się w niem radjotelegramów, nieuchwytnych w dosłownym sensie, że drżało i śpiewało, niby wiosenne.

Edwin siedł pewnego dnia pod wieczór ulicą 5-go listopada z zamiarem ponownego zażądania mebli ojcowskich od majora niemieckiego, który w nich się dotąd rozsiadał. Szedł pełen dobrego przeczucia nie tylko co do mebli, lecz co do ogólnego zwrotu w zakisłej sytuacji ogólnej. Zacierał ręce i mówił półgłosem do siebie:

— Coś się ruszy nareszcie — —

Jakoż środkiem ulicy, z oddalenia, przypływał do niego ruch i wrzask. Ruch był przyziemny, niby rzuconego po bruku grona piłek, wrzask był dziecięcy.

— Aha — poznał Edwin — wypuszczono z redakcji wieczorny numer „Głosu cudzeńskiego“.

Pośrodku stada chłopców jechał jeden na rowerze, objuczony ciężkimi torbami. Wyprzedzały go piesze chłopaki, rozpędzone aż do nieprzytomności, rzucając na wszystkie strony drukowane płachty i okrzyk spazmatyczny:

— ...cesarza Wil-heel-ma!

— Co tam nowego ze źródła łask wszelkich?
— niecierpliwił się Szaropolski, nie słysząc jeszcze wyraźnie.

— Abdykacja cesarza Wil-heel-ma! — wrzasnął mu nad uchem przedni goniec.

— Dawaj!

Stwierdził oczyma wieść ogromną, spisaną, przepuszczoną przez cenzurę niemiecką, niezawodną. Polskie serce ledwie mu nie wyrzuciło z gardła okrzyku: niech żyje Polska! — ale angielskie wychowanie przemogło. Powiedział tylko:

— All right!

Bo czy to był skutek rewolucji w Berlinie, czy wielkiej klęski we Francji, fakt był niedwuznaczny: ogłaszał przegraną Niemiec.

Szaropolski odetchnął głęboko i poczuł, że powietrze, choć zaprawne stęchłą wonią błota i Żyda, miało naraz smak pożywniejszy. Przyszły mu do głowy pomysły figlarne: pójść do ministra Powidły i zapytać o dalsze horoskopy polityki krajowej. — — Albo: dowiedzieć się o zdrowie generała von der Hölle. — — Albo: zobaczyć, czy się nareszcie rozchmurzył stryj Joachim? — Tymczasem przypomniał sobie zamierzony uprzednio cel: odebrać meble od majora — i skierował się ku jego mieszkaniu.

Po ulicy, niby wielkie płaty brudnego śniegu, wiały nadzwyczajne dodatki dzienników w rękach przechodniów. Edwin dowiedział się niebawem, że nie tylko Wilhelm abdykował i uciekł do Holandji, jak podpalacz z płonącego domu, lecz Niemcy, już przedzierzgnięte w republikę, błagają o pokój.

Inne dzienniki podawały szczegóły druzgocącej akcji Aljantów, prowadzonej przez naczelnego wodza Foch'a.

Szaropolski nie przypuszczał nawet na chwilę, że śni, bo nie śnił nigdy na jawie; wiedział dokładnie, że idzie ulicą do określonego celu, a na przeciw niemu sypią się wypadki historyczne, które przyjść musiały, bo przyszły, według teorii Buckle'a. Tylko dlaczego sypią się wszystkie naraz? — Po ujściu kilkudziesięciu kroków już i na tę wątpliwość miał gotową odpowiedź: Bo okłamywano nas kapitalnie i odgradzano od prawdy. Teraz już i na utrzymanie cenzury nie mają Niemcy czasu, ani siły. Zatem — leżą powaleni na obie łopatki. Jest lepiej, niż możnaby wymarzyć.

Wyroiły się na ulicę tłumy osobliwie usposobione. Nie krzykliwe, ani manifestacyjnie radosne, lecz gorączkowo badawcze. Już nie sprzymierzeńcy, w piketach i pod bronią, pilnowali dobrego usposobienia Cudnian, ale Cudnianie wypatrywali, jak się zachowują sprzy-

mierzeńcy i rychło całkiem z sił opadną. Ulica przedstawiała na każdym kroku obrazki do przysłowia: nosił wilk, ponieśli i wilka. Tu zanosilo się nato, że same owieczki poniosą wilka. Gemajny niemieckie włóczyły się bez broni, oszłamione niby zatrutym napojem; niektórzy taszczyli tobołki i bochenki chleba; ten i ów przypiął już sobie do munduru kawał czerwonej wstążki, afiszując swe przekonania republikańskie, a może tylko okazując swą nieszkodliwość Cudnianom. Oficerów niemieckich nie zdybać było na ulicy. Cała groza okupacji stała się naraż czemś nieobecnem, albo śmiesznem i wstydliwem. Noc rosła, a w niej coraz mrukliwsze pogwary tłumów — i zbierały się jakieś zagadkowe pochody.

Szaropolski dotarł do mieszkania majora i trafił na sam jego wyjazd. W przedpokoju stały zamknięte kufry i ogromna paka, której wydłużony kształt zdradzał zawartość fortepianu spakowanego na wywóz. Przed bramą oczekiwała platforma na kołach. Sam major, przebrany po cywilnemu, natknął się na Szaropolskiego.

— Dostałem translokację — rzekł major — zostawiam panu wszystkie meble, za wyjątkiem fortepianu, jak to było już omówione.

— Ja zaś proszę usilnie pana majora, żeby mi fortepianu nie zabierał. Ta paka pozostanie na miejscu. Jeżeli kto ją ruszy, dam znać na

ulicy, że pan zabiera cudze meble. Nie wiem, czy pan major dobrze na tem wyjdzie?

Szaropolski mówił twardo i przekonująco. Niemiec się zamyślił, spojrział wreszcie nienawistnie na upartego właściciela fortepianu.

— Ustępuję dzisiaj. Ale wkrótce powrócimy do was, inaczej usposobieni.

— Oczekiwać was będziemy, inaczej uzbrojeni.

Rozeszli się. — Fortepian był ocalony.

Natychmiast Edwin udał się, pomimo spóźnionej pory, do rządcy domu i najął dla siebie mieszkanie zajmowane dotąd przez majora. Obejrzał następnie swoje meble — były podniszczone, lecz zdadne do użytku — i powrócił na jeden jeszcze nocleg do pensjonatu, przez ulicę bardzo rojną i coraz burzliwszą. Tu i ówdzie słyszał nawet strzały.

*

*

*

Następny dzień wstał niespokojnie radosny. Coś się nareszcie stało w Cudnie! Przez trzy lata odwykli już byli Cudnianie od tego nastroju. Przez trzy lata działały się rzeczy ogromne gdzieś po świecie, wiadome z legendy, cenzurowanych gazet, ale w Cudnie, jeżeli się coś niby ruszyło, nie było tem, czem się nazywało, po niejakim zaś czasie okazywało się — niczem. Ru-

szały się tylko prywatne interesiki, i te nie sporo, sprawy zaś ogólne były czemś w rodzaju formuł algebraicznych, pod których a, b i niezliczone X-y nikt nie mógł podstawić cyfr i wartości realnych, gdyż formuły były obce i oszukańcze.

Teraz ruszyło się coś potężnie. Nie od miejscowego ośrodka, dotkniętego paraliżem aktywistycznym, lecz od gromów burzy zewnętrznej, od wielkiej Akcji. Każdy to czuł w radości poranka i zabierał się do nowej, żywszej formy życia.

Szaropolski wstał wcześniej i gotował się do przenosin na nowe mieszkanie. Przeczytał „Głos cudeński“ poranny, jeszcze nieśmiały, ale podrygujący już buntowniczo. Niemców gromią okrutnie i pędzą z Francji, Berlin się burzy — takie były depesze zagraniczne. A wiadomości miejscowe były dziś istotnie bieżące, bo Niemcy pędem wynosili się z Cudna.

To wymagało bliższego rozpatrzenia. Edwin przewiózł śpiesznie swe kufry i, odkładając na później rozlokowanie się we własnych meblach, poszedł na zwiady. Udałby się odrazu do stryja Joachima, którego zdrowy sąd o rzeczach cenił, ale Joachim, domator, nie miał zapewne wyjątkowych powiadomień; najwyżej przeczytał „Głos cudeński“, jak i on. Możnaaby wstąpić do której z redakcyj, ale redakcje muszą być dzisiaj mocno zajęte, a Edwin nie miał w nich bliż-

szych znajomych. Pozostawało tymczasem osobiste badanie ze stanowiska ulicznego.

Do podobnego wniosku doszła widocznie wielka liczba Cudnian, bo na ulicę wyległy tłumy niby wielkanocne, chociaż dzień był powszedni. Buchała z tłumu raczej jubilacja, niż groza, a szczególnie można było zauważyć jakowąś zbiorową wolę, ośmieloną przez wypadki.

— Precz z Niemcami! — wykrzyknął tu i ówdzie młodzik niewiadomego powołania, a podchwytywały okrzyk łobuzy, baby i gawiedź.

Ale okrzyk, wpadłszy w zwartą masę publiczności, znajdował poparcie, nie wywoływał nigdzie protestu. Iskrzyły się oczy, zacinały wargi. Nieswojo było rzadkim piechurom niemieckim, bezbronnym, snującym się wśród tłumu, zawsze w kierunku do dworca kolejowego. Spotkał raz Edwin nawet większy oddział gembajnow rozbrojony i prowadzony środkiem ulicy przez wojsko cudeńskie pod bronią. Gwizdki i urągania ścigały wczorajszych panów miasta. Krzatali się tu i ówdzie członkowie nowej straży obywatelskiej z przepaskami na rękawach, niekiedy z karabinami w ręku. Widok był w każdym razie przejmujący, choć improwizowany i nie sztykowny.

Zapatrzonemu Edwinowi wpadł ktoś prawie w objęcia, popchnięty falą tłumu.

- Cuda dzieją się, cuda, panie Szaropolski!
- Ojciec Prosper!

Habit, broda i krymka kapucyna dopełniały obraz uliczny do sceny z polskiego powstania, gdzie zawsze jakiś ksiądz zagrzewa serca, jeżeli nie bierze udziału w walce. Prosper zagrzewał tylko serca.

— Doczekaliśmy się nareszcie, panie Szaropolski!

— Zapewne. A ksiądz co tu robi?

— Patrzę, słucham — czyż nie dosyć?!

— Ja także. Ale pora już na obiad; może ksiądz by ze mną?

— Dokąd?

— Do restauracji.

— Chyba do jakiejś maleńkiej, skromniutkiej? Bo reguła nasza... nie pochwała.

— E! co tam! wojna — zachęcał Edwin, bo spodziewał się zaczerpnąć od mnicha powiadomień.

Weszli do pierwszej napotkanej garkuchni i kazali sobie podać dwa obiady.

— Cuda, cuda! — powtarzał kapucyn.

— No jakie? Ciekawym.

— Rozbrajamy Niemców, panie! Zabieramy im broń, amunicję, tabory, wydzieramy z rąk nakradzione rzeczy...

— To wiem, bo i sam odzyskałem swój fortepian.

— A widzi pan! — — Ale tu idzie ogromna robota: odbieramy Cudno i ziemię cudzeńską!

— No proszę... Jakże się to stało?

— Dzieje się ciągle — i w tej chwili. Generała von der Hölle niema już. —

— Uwięziony?

— Nie, ale uciekł. Z nim razem inni generałowie i urzędnicy niemieccy. Już oficera tu nie spotkać. Spodziewamy się lada dzień przyjazdu naszego króla.

— Jakiego?

— Niewiadomo jeszcze, ale ma napewno przyjechać.

— Zobaczymy. Ale niech-no ksiądz powie, co słyszał o rozbrojeniu. Kto, gdzie, kogo rozbrajał?

— Wszędzie, szanowny panie. Przeszłej nocy szwadron kirasjerów cesarskich został rozbrojony przez kilkunastu uczniów gimnazjalnych i kilka kucharek! Czy nie cud boski?

— Byłby rzeczywiście. Ale kto to widział?

— Jakto?! — stoi w „Przeglądzie Brukowym“, czarno na białem!

— No, no...

— A to zdarzenie na przedmieściu Dudy? Już Niemcy ustawili armaty, które miały bombardować ratusz, kiedy nadbiegło kilku z Cepepu i...

— Z Cepepu? — co to takiego?

— Cudeńska partja przewrotowa — Oho! usłyszysz pan jeszcze o niej! Nadbiegło kilku, lufy zatkali czapkami, kanonierów sprali i związali rzemieniami od portek, armaty zaś zatoczyli do naszego arsenału.

— Mamy już i arsenał?!

— Mamy. Mówię panu: cud!

— Że też tego tak mało widać było na ulicach — żałował Szaropolski — byłem i wczoraj i dzisiaj...

— Działo się głównie po kątach: po kwaterach, po zaułkach, na przedmieściach. Ale rezultat jest chwała Bogu Najwyższemu: odebraliśmy Cudno Niemcom!

— Wie ksiądz co? Chodźmy to wszystko opowiedzieć wspólnemu przyjacielowi, Joachimowi. Przecie raz się ucieszy.

— Któżby się nie cieszył?

— No, księdzu dobrodziejowi podobało się dosyć pod dotychczasowym rządem; pamięta ksiądz?... Kiedyśmy to razem pili węgrzyna?

— Mnie się to podoba, co i Panu Bogu, panie łaskawy. Chciał Pan Bóg, żebyśmy byli pod Niemcami — byliśmy. Uczynił cud, żeśmy się ich pozbyli — niech będzie pochwalone Imię Jego.

— Tak rozumować trudno w polityce.

— Wie pan, że ja nigdy zrozumieć nie mogłem, co znaczył ten nasz aktywizm?

— Ja też nie bardzo. — Chodźmy do stryja Joachima.

Zastali starego dziwaka toczącego na warsztacie jakiś misterny zakrętas.

— To zgroza, panie Joachimie, w taki dzień zajmować się fatalaszkami, gdy w mieście dzieją się rzeczy ogromne, prawdziwe cuda! — wołał od wejścia ojciec Prosper.

— A to dlaczego? Cóż po mnie tam, na ulicy? Tu przynajmniej utoczę piękną nóżkę do mebla.

— Rozbrajamy Niemców! Niema już generała von der Hölle! Co godzina dokonywamy czynów bohaterskich i wszystkie się udają!

— Kogoż tam rozbroiłeś, albo i zamordowałeś, ojcze Prosperze? — zapytał Joachim, nie odrywając się od roboty.

— Ja jestem kapłanem; nie chwytam za miecz Malchusowy. Ale biorę sercem udział w walce. A co do innych — słuchaj tylko — —

Opowiedział o rozbrojeniu kirasjerów przez sztubaków i kucharki, o zdobyciu baterji armat przez Cepepów.

Ani iskry zapалу nie zdołał wykrzesać z Joachima. Aż Edwin się oburzył:

— Trudno stryjowi dogodzić. Biją Niemców od Zachodu i Wschodu, a jeszcze mu źle. Przecie tego stryj pragnął — —

Dopiero teraz Joachim oderwał się od swej zabawy tokarskiej i odpowiedział kategorycznie:

— Pragnąłem — i ziściło się. Mój generał Foch, na czele ludów zachodnich, bije Niemców, aż piszcza, uciekają i błagają o pokój. Ale wy z czego się cieszyacie?

— No, z pogromu Niemców!

— Nie wiem, jak ty, Edwinie, bo nie słyszałem. Ale Prosper cieszy się z tego, że kucharki rozbrajają kirasjerów, a łobuzy biorą armaty. To nie prawda!

— Jakto: nie prawda? — zaperzył się nieomal łagodny kapucyn — pokażę ci gazety, przyprowadzę świadków...

— I będzie twoja prawda, że tak się stało, ale nieprawda prawdziwa, która jest nazywaniem rzeczy po imieniu. Rozbrajamy Niemców?! Nie, ojcze Prosperze. Niemcy uciekają, bo zwalono ich front, bo im się Berlin pali, bo stracili wiarę w siebie i poznali, że ich półbogi to bałwany — jednym słowem: uciekają. A my ich trochę z tyłu szturchamy. Nie przeszkadzam — owszem. Tylko to nie nadzwyczajny czyn bohaterstwa, nie żaden cud. — Nie podziwiamy się zanadto, bośmy po staremu... Et!

— Cóż zatem według ciebie, panie Joachimie, mamy robić? — zapytał strapiony zupełnie kapucyn.

— Ho, ho... co mamy robić? — Dużo.

- Nie rozbrajać Niemców?
- Ależ rozbrajać, rozbrajać, kiedy się dają.
- Więc pochwalasz?
- Pochwalam. — Dajcie mi pokój!

I zabrał się z powrotem do toczenia na warsztacie.

Kapucyn poczuł się dotkniętym, ale ze względu na starą przyjaźń i na zapas wina Joachima — nie obraził się. Edwin zaś wpatrywał się w stryja coraz uważniej. Stary ma przykry charakter, ale to, co mówi, warte zawsze zastanowienia.

Trzeba było wynosić się. Edwin radby pozostał sam na sam z Joachimem, jednak dla proporcji wypadało odejść razem z ojcem Proseperem. Więc tylko przy pożegnaniu Edwin rzekł do stryja:

- Przyjdę jutro, jeżeli stryj pozwoli?
- Przychodź, przychodź — szczególnie, gdy będziesz miał coś lepszego do powiedzenia.

*

*

*

Edwin nie rychło powrócił do Joachima, bo nie znalazł przez parę następnych tygodni nic takiego, coby napewno mogło uradować stryja. Był wprowadzić świadkiem ogromnych przewrotów, lecz te dla niego, prawie jeszcze cudzoziemca w rodzinnem mieście, działały się przeważnie

na bibule dziennikarskiej; nie mógł jeszcze namacać ich pożytku, doniosłości, a szczególnie zdrowego sensu, w którym był rozmiłowany. I wzdrygał się iść po komentarze do stryja, wiecznego malkontenta, z obawy, aby znów nie oberwać ostrej reprimandy z powodu obrotu spraw publicznych, za które nie czuł się bynajmniej odpowiedzialnym.

Dowiedział się naprzykład z niemałym zdziwieniem, że w zakątku ziemi cudzeńskiej Cepepy urządziły sobie zabawę w nowy rząd, nie pytając nikogo o upoważnienie i nawet bez zamachu na króla Ćwieczka, którego cień błakał się jeszcze po Cudnie. Zabawę reżyserowali naczelnicy dwaj majstrowie, Wichrowaty i Bluszczyński. Szaropolski nazwałby ten wybryk skandalicznym, gdyby opinia zgromiła go zgodnie, a jakaś władza zaaresztowała przynajmniej dwóch naczelników majstrów. Ale nic podobnego się nie stało. Zatem Szaropolski pomyślał, że może ci panowie są przez kogoś nieznanego mu upoważnieni? I, ulegając usposobieniu mas ludności, czekał, co z awantury wyniknie.

Dowiedział się następnie, że stronnictwa lewicowe i tym podobne oczekują powrotu do Cudna z niewoli pruskiej słynnego patryjoty, któremu chcą powierzyć naczelne w nowym państwie stanowisko. Szaropolski miał dla niego zasadnicze

uszanowanie, ale dotychczasowa polityka oczekiwanego męża nie składała, według brytańskich pojęć Edwina, konsekwentnego obrazu męża stanu.

Zawilszą jeszcze zagadkę zadał Szaropolskiemu edykt króla Ćwieczka, mianujący przywołanego przez lewicowców męża — namiestnikiem swym w Cudnie! Dlaczego on właśnie, ów bojowiec wolnościowy i partyjny, nie stanął na czele wszystkich Whigh'ów, jakkolwiek oni się w Cudnie nazywają, i nie zrzucił z tronu króla Ćwieczka, lecz właśnie ten król, choć niewielkiego majestatu, lecz przecie... rojalistyczny, przelał swą władzę na republikanina i lewicowca?? Skąd to porozumienie cepepów z rojalistami??

Przez kilkanaście dni parął się Szaropolski tym rebusem i już zaczął się do niego przyzwyczajać, gdy cios ostateczny zagwoździł mu wszelką przenikliwość polityczną: Namiestnik powołał do formowania rządu Bluszczyńskiego, który z Wichrowatym smarzył cepepowską republikę w zakątku ziemi cudeńskiej.

Tego dnia Szaropolski zakazał sobie myśleć o polityce, poczuł bowiem niebezpieczny zamęt w głowie, udzielający mu się od koziołków cudeńskiego przewrotu. Powiedział sobie kategorycznie:

— Jestem przemysłowcem i handlowcem.

Będę się zajmował swoją rzeczą — a przecie moja rzecz mieścić się musi w interesie rzeczypospolitej, choćby tak dziwnie usposobionej.

Poczem Szaropolski wmieszał się w tłum zabiegliwy o sprawy osobiste. I my pójdziemy za nim.

Odpychając od siebie cisnące się zewsząd dokuczliwe kłótnie, ciężkie wątpliwości polityczne, wejdziemy z Edwinem Szaropolskim w tłum, aby obejrzeć ową epokę życia ziemi cudzeńskiej od dołu ku górze, ze stanowiska obdarzonej przez rząd publiczności.

IV.

Na krańcach miasta, przy zbiegu ulic Lubej i Zakątka, działa się rzecz oddawna niesłychana w Cudnie: doprowadzano starą rudę do wzorowego porządku. Kamienica zawierała niegdyś, przed wojną, fabrykę wyrobów gumowych, które wszystkie uległy rekwizycji dla armji niemieckiej, budynek zaś Niemcy przeznaczyli na zakład higieniczny, zwany Entlausungsstelle, teraz opuszczony. Rudę nabył Edwin Szaropolski i przerobił na fabrykę mydła. Przedsiębiorczy młodzieniec kupił ją tanio nazajutrz po ustąpieniu Niemców, gdzieindziej znalazł zdadne aparaty innej fabryki pokrewnej, która zbankrutowała; energiczną wymową i hojną zapłatą skłonił murarzy i monterów do natychmiastowego rozpoczęcia robót — i fabryka w ciągu miesiąca już była gotowa.

Znał się na fabrykacji mydła i zwiedził w Londynie słynne zakłady Atkinsona i Peersa. Miał już i dyrektora, Holendra, który przetrwał okupację niemiecką w Cudnie i z radością zabierał się do wznowienia swej zawodowej pracy.

Edwin zapoznał się z właścicielami innych fabryk mydła w Cudnie i ujął ich szczerem, a fachowem postawieniem kwestji konkurencyjnej. Obrął sobie specjalność mydła antyseptycznego i lekarskiego, którego przepis posiadał; ułożył się z kolegami o wzajemne nieprzeszkadzanie sobie; ci wzamian dali mu niektóre wskazówki co do zakupu surowców: łoju, sody i olei kokosowych.

Brakło jeszcze tylko robotników-mydlarzy. Wkrótce po zakupieniu fabryki Szaropolski podał swą ofertę do biura rozdawnictwa pracy bezrobotnym, pośród których sporo było mydlarzy, ale przez dwa tygodnie biuro nie dało odpowiedzi. Wtedy Szaropolski poznał się osobiście z naczelnikiem owego biura, panem Bursztynem i chciał go przyprzeć do muru.

Bursztyn był źle usposobiony. Roboty było dużo i gadania, bo szturmował nieustannie do lokalu tłum robotników bez pracy, czasem tak natarczywie, że w oknach trzeba było dać żelazne kraty, a przy drzwiach mocne rygle. Jednak ujmująca postać Edwina skłoniła naczelnika do rozpoczęcia pertraktacyj. Odłożył pióro, zapalił pięćdziesiątego chyba papierosa, bo kupa ogarków leżała na stole i na podłodze, popił herbaty, skrzyżował nogi, ubrane w długie buty — i przystąpił do rzeczy:

— Ile pan zamierza płacić pracownikom?
I czy na dniówkę, czy na akord?

— Ile? — to chyba moja rzecz? — zadziwił się Szaropolski.

— Nie, panie — to nasza rzecz. My nie narażamy naszych robotników na humor i łaskę fabrykantów. Bronimy ich praw.

No — pomyślał Szaropolski — instytucja jest lewicowa. Może to zgodne z duchem czasu? I wymienił cyfrę płacy dziennej, używaną dotychczas w Cudnie.

— To za mało, panie. Chleb zdrożał, ubranie, buty...

— Jestem prawie pewien, że trafię do ładu z moimi robotnikami. Udawało mi się to dotychczas w Anglii, gdzie pracowałem i skąd przyjeżdżam.

— W Anglii? — uśmiechnął się Bursztyn pogardliwie. — Anglja to kraj trustów, raj fabrykantów. W Cudnie musi być i będzie inaczej. Mogę nawet pana uprzedzić, że w branży mydlarskiej dojdzie wkrótce do strajku.

— Jakto? czyżby robotnicy-mydlarze postawili już nowe żądania? — Nie słyszałem o tem.

— Ale my słyszeliśmy — odrzekł naczelnik z wyrazem potęgi.

Pomimo angielskiego stoicyzmu Szaropolski zaczynał niecierpliwić się. Kierownik instytucji,

mającej ułatwić otrzymanie pracy robotnikom, okazywał się wrogiem fabrykantów, bez których przecie nie może prosperować robotnik fabryczny. Zwrócił się więc do Bursztyna nieco obcesowo:

— Więc pan nie może mi dostarczyć mydłarzy do mojej fabryki?

— Kto panu to powiedział?

— Wydało mi się z pańskiego sposobu traktowania rzeczy.

— A pan jakby ją chciał traktować?

— Chciałbym dostać zaraz robotników, bo fabrykę mam gotową do puszczenia w ruch.

Bursztyn przeciągnął ramiona, jakby go opuszczała już furja walki za prawa ludu, i rzekł łagodniej:

— Da się to zrobić — mamy w spisach mydlarzy — pociągnie to koszty za pośrednictwo.

— Gotów jestem je ponieść.

Bursztyn stawał się coraz miłszym.

— A jeszcze jedno — rzekł — czy pan w swej fabryce przewiduje udział w zyskach? dywidendę dla pracowników?

— Nie mogę zaprowadzać dywidendy, bo niema tego zwyczaju u moich kolegów, a ja dopiero przystępuję do grona fabrykantów cu-deńskich.

— No tak... rozumiem: nie wie pan jeszcze, jak i co — namyślał się wyrozumiale obrońca ludu — tylko o takich robotników trudniej — masy już są uświadomione o swoich prawach. Ministerstwo tymczasem nie zmusza do dawania pracownikom udziału w zyskach, ale to przyjdzie. Mamy w regestrach robotników, którzy żądają udziału, i takich, którzy poprzestają na zapłacie za ośmiogodzinny dzień pracy. Tę drugą kategorię trzeba wyszukać, może i porozmawiać z każdym z osobna — zwiększy to jeszcze koszty kancelaryjne. — Iluż panu potrzeba?

— Dwudziestu czterech.

Bursztyn zaczął kreślić cyfry po papierze, dodawać, mnożyć, z czego Szaropolski wyciągnął wniosek, że opłatę wypada uiścić zaraz.

— Czy mogę? — zapytał, sięgając po pugilares.

— Może pan — odrzekł naczelnik zupełnie dobrotliwie.

— Ile to wypada?

— Dziewięćset sześćdziesiąt.

Edwin wyjął z kieszeni banknot na tysiąc marek i położył na stole.

Bursztyn zaledwie spojrzał na banknot, pociągnął herbaty i wygłosił zdanie reasumujące rozmowę:

— Tak, panie Szaropolski; zasady nasze są niezachwiane, ale w praktyce zmuszeni jesteśmy robić jeszcze ustępstwa na rzecz niedojrzałości społeczeństwa.

— Kiedyż mogę się spodziewać skutku? — zapytał Szaropolski, unikając rozmowy zasadniczej.

— Niech pan, wyszedłszy ode mnie, wstąpi, we drzwi na kurytarzu, gdzie napis: kancelarja. Tam pana bliżej poinformuje mój zastępca, Poprawny.

— Jak się ten pan nazywa?

— Poprawny; wieczny ambaras z tem nazwiskiem! — ale to człowiek realny.

Niebawem znalazł się Szaropolski wobec odmiennego wcale typu obrońców ludu roboczego. Poprawny niemógł nawet udawać Czecha, według brzmienia nazwiska, bo był Żydem zbyt wyrazistym. Ale, niezwykłym w jego rasie przypadkiem, posiadał figlarny humor. Skoro się dowiedział, że Szaropolski wraca od szefa, który mu obiecał poparcie, okazał wszelką gotowość do ułatwień.

— Nasz kochany szef zawracał panu pewno głowę: a jaka płaca, jaki udział, jakie mieszkanie? — już ja jego widzę! A panu potrzeba prędko robotników — czy nie tak? Ilu?

— Dwudziestu czterech.

— Już są. A nasz kochany szef potrzebuje najprzód klienta zastraszyć, potem jemu zrobić wykład teorii Marxa. My to znamy — no czy nie? Ja jemu zawsze mówię, kiedy my palimy sobie papierosy przy herbacie: kochany panie Ignacy! nasza buda jest na pierwszy ogień założona dlatego, żeby wypchnąć na robotę całe to stado ludzi, co nam w okna zagląda i na ręce patrzy. Co najprędzej wypchnąć, żeby oni nam się nie przyśnili. A jak załatwimy wszystkich, to my możemy w tym samym lokalu założyć uczelnię dla teorii Marxa. No, to on się śmieje. Ale i ja się tylko śmieję, bo pan naczelnik to człowiek ideowy, to wyborowe indywiduum, to jest... the right man on the right place.

Przy ostatnich wyrazach Poprawny przeszedł nagle od tonu jowjalnego do zajadłości, którą mu aż wykrzywiła twarz tragicznie i zaindyczyła grdykę.

A Szaropolski zanotował pobieżnie, że Poprawny ma wcale dobrą angielską wymowę i pojęcia o biurze dostarczania pracy wcale ogólnoludzkie. Pilno mu było dogadać się, kiedy otrzyma robotników i jakie to jeszcze pociągnie za sobą formalności.

— Dwudziestu czterech? samych mydlarzy?
— cmoknął Poprawny — bardzo dużo! No, ale

już ja w tem, że pan ich dostaniesz. — A formalności?... Pan o kosztach mówił z naczelnikiem?

Szaropolski chciał odpowiedzieć: „nawet zapłaciłem“, ale tknięty jakimś przeczuciem, odpowiedział tylko:

— Mówilem.

— Więc tu jest jeszcze opłata kancelaryjna dodatkowa...

Zaczął skrobać piórem po papierze, podobnie do Bursztyna, tylko szybciej, i ogłosił wynik rachunku:

— Czterysta osmdziesiąt.

Szaropolski wyjął banknot na pięćset marek, który, podobnie, jak w gabinecie szefa, pozostał na stole bez reszty i bez kwitu. Nie zgłębiał dalej systemu rachunkowości biura i wyszedł, otrzymawszy solenną obietnicę, że w przeciągu trzech dni robotnicy stawią się w jego fabryce na rogu Lubej i Zakątka.

Jakoż stawili się z kilkudniowym opóźnieniem i w liczbie zmniejszonej do piętnastu. Można było zacząć i z piętnastoma. Byli to robotnicy z fabryki mydła dawno już zamkniętej, z której Edwin zakupił aparaty. Nie obeszło się bez targów, ale Szaropolski dowiódł cyframi, że więcej, niż inni fabrykanci, płacić nie może, i płacy dziennej nie podwyższył. Natomiast wyznaczył nagrody za najszybsze i najdokładniej-

sze wyrobienie sztuki i ofiarował robotnikom swym nadetatowy podwieczorek codzienny. Mydlarze, łagodniejszej zresztą natury, niż groźni metalowcy, lub ponurzy kopacze, zgodzili się na warunki i przystąpili do pracy. Szaropolski dojeżdżał codziennie ze swego mieszkania w śródmieściu do fabryki, obcował ze swymi ludźmi wesoło, choć wymagał pracy sumiennej, i po kilku dniach doszedł do przekonania, że robotnik cudeński nie jest tak straszny, jak go malują, że zdolny jest nawet do życzliwości dla fabryki i jej właściciela.

Pierwszej niedzieli, jaka nadeszła, wydał bankiet na dwanaście osób z powodu inauguracji fabryki. Wieczera odbyła się w restauracji artystycznej „Futura“, w części sali ogrodzonej na ten wieczór oleandrami. Nie bez trudu ściągnął na ucztę stryja Joachima, bardzo łatwo ojca Prospera; zaprosił też Szaropolskich: aktora, siodlarza i kancelistę, dla okazania solidarności rodzinnej, dwóch fabrykantów mydła dla uprzejmości koleżeńskiej, pana ministra handlu, D-ra Powidłę, dla ozdoby stołu, i paru panów raczej lewicowych, dla ducha czasu. Już przy majonezie zaczęły się mowy. Edwin przemówił pierwszy, krótko, prosząc zebranych o życzliwość dla fabryki, której nie podawał bynajmniej za instytucję ideową, lecz za własny interes.

— Szczęśliwy będę — rzekł — jeżeli moje przedsięwzięcie, przynosząc mi korzyść, nie naruszy nigdy pożytku publicznego, a przyczyni się do wygody publiczności i do zadowolenia potrzeb moich pracowników, których zgromadziłem przy wieczerzy, odbywającej się jednocześnie przy fabryce. Połączmy się z nimi w uciechę i wypijmy za ich zdrowie.

— Dlaczego nie jedzą razem z nami? — odezwał się jeden z panów lewicowych.

Nie było odpowiedzi, zwłaszcza że powstał zaraz kapucyn i w podniosłych wyrazach jął przemawiać na cześć pana ministra Powidły, który w porcie ojczystym przetrwał jako słup portowy trzymający na uwięzi ładowne okręty, pomimo zmiany wiatrów i natarczywości bałwanów. Jak ta nawa handlu i przemysłu trwa przywiązana do naczelnego słupa, tak i serca nasze przywizały się nazawsze do dostojnej osoby pana ministra. — — Kaznodzieja sypał dalej panegiryczne kwiaty w tym stylu, aż pan minister kichnął rozgłosnie i życzenia ogólne „na zdrowie!” przerwały potok wymowy kapucyna.

— Dziękuję, dziękuję ojcu Prosperowi i życzliwym przyjaciółom — bronił się dr. Powidło — nie zanadto! nie zanadto! Trwam z obowiązku, siedzę, bo nie widzę wyjścia... Może mnie wkrótce zastąpi kto godniejszy. — —

Skromność ministra wywołała gorące protesty, lecz już nie toastowe, obu starszych fabrykantów mydła, którym dogodny był dr. Powidło, gdyż nie wydawał przynajmniej żadnych zarządzeń dotyczących się wyrobu mydła i wogóle nie przeszkadzał nikomu.

Powstał z kolei Robert Szaropolski i, zanim zaczął mówić, przybierał dość długo pozę, wahając się między typem Romea i Fantazego.

— Bertek mówił — rozległ się nagle młody głos kobiety z poza szpaleru oleandrów i współbiesiadnicy poznali, że są przedmiotem obserwacji licznej publiczności, pośród której siedziało kilku artystów i ładna Malankowska, tancerka bosa.

Uwaga rozszerzonego audytorjum podnieciła aktora i Bertek, czyli Robert, zdecydował się na rodzaj dowcipny, którego nasłuchiwał się w kawiarni „A rebours“. Zaczął pochwałę mydła. Według niego mydło było do niedawna w pogardzie u Cudnian, czego dowodzi legenda o Zabłockim, oraz pogardliwe zastosowania, jak „zamydlić oczy“, lub „mydłek“. Ale w nowszych czasach mydło stało się jedną z podwalin społeczeństwa. Nie mielibyśmy bez niego „arystokracji mydła“, która z powodzeniem zastępuje dawną, zaśniedziałą arystokrację; nie odczuwalibyśmy tak subtelnie wdzięków niewiast cudeń-

skich, czy to podziwianych indywidualnie w zaciszach, czy też przeblyskujących publicznie na scenach w postaciach bosych tancerek. (Głośny wybuch śmiechu za oleandrami i osowiała twarz kapucyna przy stole). Dzisiaj mydło stanowi już potężny czynnik społeczny, zarówno w dziedzinie praktycznej, jak i moralnej (głos mówcy poczał drzeć gromowo, jako że zwracał się teraz do serc i sumień narodu). Zalega pilna potrzeba umycia się z brudów i śniedzi, które na organizmie naszym zbiorowym pozostawiła niewola. Potrzeba czystości, nie tylko na osobach naszych, w domach, na ulicach, w salach i teatrach, ale także czystości serc i rąk w zamiarach kierowników młodej Rzeczypospolitej, na urzędach i odpowiedzialnych stanowiskach. (Poczuł się dotkniętymi panowie z lewicy i najeżyli się złowrogo). A mówca spuścił z tonu i, namydliwszy już tyle, łatwo trafił do gustu fabrykantów mydła, których trzech zasiadało między współbiesiadnikami.

Następne toasty były już pospolitsze, chociaż przemawiał jeszcze raz kapucyn, zachwycony winem, o cudach bożych w Cudnie, i Robert, zachęcony powodzeniem, o niebieskich migdałach w sztuce, które nie wiadomo, czy popierał, czy wygwizdywał? Inni Szaropolscy nie wystąpili z mowami, a Joachim siedział nawet, jak mruk,

raz po raz kiwał głową i krzywił się, jakby chciał splunąć. Gdy go Edwin zapytał na ucho, czy mu nie smakuje wino, odrzekł:

— Owszem, dobre. Ale zostawiłem w domu zaczęta tabakierkę. Lepiejby ją podtoczyć, niż słuchać tych tu bredni.

Nie mówili też nic panowie z lewicy i nie czuli się w swoim towarzystwie.

Gdy podawano słodką potrawę, zagasła nagle elektryczność. Służba przyniosła świece. Domyślano się, że to początek strajku elektrowni, zapowiedzianego jako objaw sympatji dla trwającego strajku telefonów, który ze swej strony ujmował się za żadaniami innych strajkujących robotników miejskich. Ale nie — światło zabłysło napowrót, nieco słabsze, i dozwoliło biesiadnikom dopić czary do dna.

Przy płaceniu rachunku, o który Edwin umówił się z góry, była jednak niespodzianka: 500 marek za oleandry. Gdy Edwin wzdragał się przed tak wysoką zapłatą, gospodarz restauracji dowiedział mu, że policzył tylko cenę kosztu, wygórowaną z powodu strajku ogrodników i posłańców publicznych. Wypożyczono z pobliskiego kościoła oleandry od pogrzebów pierwszej klasy, a do przewiezienia użyto wielkiej ilości dorożek.

Jednak, mimo tych drobnych utrudnień,

uczta udała się, jak to zresztą stwierdzał „Głos cudzeński“ w obszernej wzmiance reklamowej, także słono zapłaconej.

Nazajutrz rano Szaropolski pojechał do fabryki dorożką, gdyż zastrajkowali tramwajarze. Zato w swojej fabryce znalazł pociechę: robotnikom praca paliła się w rękę i dziękowali mu szczerze za wczorajszą ucztę w fabryce, przy której nabrali doskonałego usposobienia dla właściciela i dyrektora. Jeszcze przez dobę odczuwał Edwin dumę nie tylko z tytułu fabrykanta mydła, lecz obywatela, który potrafił w zamęcie ogólnym stworzyć ognisko normalnej pracy, ku zadowoleniu swojemu i robotników.

Nazajutrz zimowe słońce wstało podobno gdzieś za rogatką Cudna, ale przepadło zaraz w nieźnośnej pogodzie, zamorusanej mgłą i błotem, ciemnej już od rana. Szaropolski dojeżdżał do swej fabryki nie ochoczo, przygnębiony złem przeczuciem. W istocie spostrzegł już z odalenia, że fabryka była nieczynna; ani dymu z komina, ani lubego pochrzęstu maszyn i krzątania się robotników. Wszedł śpiesznie do kancelarii i zastał w niej jakiegoś antypatycznego draba, w czapce na głowie, rozwalonego na krzesło, w oczekiwaniu.

— Czego pan tu chce? — spytał szorstko Szaropolski.

— A chcę się rozmówić z właścicielem fabryki — odrzekł nieznajomy, zdejmując niechętnie czapkę, gdy właściciel odkrył już głowę.

— Jestem właścicielem. Słucham.

— A ja jestem delegatem mydlarzy, smarowników i przetworowców — odrzekł intruz ponuro.

— Jestem z moimi robotnikami w najlepszym porozumieniu; ażeby gadać z nimi, nie potrzebuję pośredników.

— Ba! łatwo gadać z tymi, którzy nie znają jeszcze swych praw i nie rozumieją swych interesów. Przeciw takim porozumieniom mamy właśnie związki zawodowe i delegatów.

— Moich robotników wzięłem wszystkich, tydzień temu, z biura rozdawnictwa pracy, zależnego bezpośrednio od ministerjum.

— Gwiżdżę na biura i ministerja. My sami wiemy, czego nam potrzeba.

— Jakto: gwiżdże pan? Mamy przecie własny rząd i zależne od niego organy.

— Ja tam z panem o polityce gadać nie będę. A jeżeli pan nie wie, to powiem, że delegaci robotników są też przez rząd ustanowieni.

Tutaj w powiadomieniach Szaropolskiego znalazła się luka, więc rzekł, hamując wstręt i niecierpliwość.

— Niech się dowiem, co mi pan ma do powiedzenia.

— Dowie się pan zaraz. Robociarze u pana płatni są za mało, ale co do podwyżki płacy nie zapadła jeszcze uchwała...

— Co za uchwała?

— Uchwała, panie, nasza uchwała. Kiedy zapadnie, trzeba ją będzie wykonać. Ale tymczasem jest inna uchwała. Robociarze tutaj zgodzeni pochodzą z fabryki Kleina, którą zamknięto przed dwudziestu miesiącami i to nawet bez strajku. Ci robociarze, gdy na nowo przystąpili do pracy, muszą dostać najprzód swoją płacę za dwadzieścia miesięcy bezrobocia. Tak, panie.

Szaropolskiego tak uderzyła nowość żądania, że zapomniał na chwilę o gniewie, który już go ogarniał. Przypuszczał, że delegat może pijany — ale patrzył on jasno, choć wilczo.

— Czy pan drwi ze mnie!?

— Nie, panie. Ja przynoszę tylko uchwałę związku mydlarzy, smarowników i przetworowców, która się tyczy tej fabryki.

— Ależ to fabryka puszczona od tygodnia! W gmachu tym nigdy nie fabrykowano mydła. Ja dopiero stworzyłem tu nowy warsztat, chyba potrzebny — przyzna pan? — wobec ogromu ludzi pozbawionych pracy.

— Aparaty nabył pan od Kleina.

— Od masy jego upadłości.

— I robociarze są od Kleina. Więc to tylko dalszy ciąg fabryki Kleina, w innym gmachu.

— Co też pan powiada! Fabrykuję tu inne mydło, aparaty są przerobione, interes z gruntu nowy. Jeżeli zaś pan twierdzi, że należy się coś robotnikom z tamtej upadłości, poszukuj pan na Kleinie, nie na mnie, który z nim nie mam nic wspólnego.

— Właściciel, który przejął tamtą fabrykę, odpowiada za należność, której robociarze pozbawieni byli przez więcej niż półtora roku.

Szaropolski stracił cierpliwość.

— To są brednie. Nie mam czasu na dłuższą z panem rozmowę.

— Wyrzuca mnie jaśnie chlebodawca? — syknął delegat — ale to będzie razem z całą kupą pokrzywdzonych towarzyszków. Odejdziemy wszyscy razem — ja im tylko słówko. —

Narzucił czapkę zuchwale i poszedł do fabryki.

Szaropolski czuł, że, będąc silnym boxerem, mógłby tego draba powalić, odebrać mu broń, jeżeli ją ma, i oddać w ręce policji. Ale błysnęły mu przez głowę wątpliwości: czy ma za sobą zupełną słuszość? — jakie tu są prawa i jaka

policja? — A przedewszystkiem: jak przyjęli delegata sami robotnicy?

Idąc do walcowni, natknął się na zrozpaczonego dyrektora, Holendra.

— Niestety, panie szefie! mamy strajk w fabryce!

— Robotnicy postanowili?

— Co oni sami wiedzą! — Ten delegat nakazał. Od świtu się zjawiał i objaśnia im, że mają prawo do zapłaty od nas za dwadzieścia miesięcy bezrobocia w innej fabryce!

— Wiem; był u mnie. — I robotnicy zgodzili się? — nawet stary Mędrzecki, który nam wczoraj tak pięknie dziękował za ucztę inauguracyjną?

— Delegat prawil i wygrażał, a ci kiwają głowami. Niech ich pan szef sam zapyta.

— A ten... galgan jeszcze z nimi? — bo nie chciałbym go już spotkać... pożegnałem go... — mówił Szaropolski głosem rwanym, zacierając mocno dłonie.

— Zdaje się, że poszedł — nie słyhać jego gadania.

Jakoż w walcowni skupieni byli sami tylko robotnicy miejscowi. Wyglądali wcale nie groźnie, zafrasowani, nawet zawstydzeni. Kilku ukloniło się Szaropolskiemu, który przystąpił do Mędrzeckiego:

— Cóż, panie majstrze? Jak odpowiedzieć na propozycje tego tam... Kto to taki?

— Niby... nasz delegat.

— Należycie wszyscy do związku zawodowego? — rzucił Szaropolski zapytanie, rozglądając się po obecnych.

— A należymy. — Tak. — Do tych, co robią w tłuszczach. — A jakże — rozległy się odpowiedzi.

— Więc czegoż odemnie żądacie? Mówcie od siebie.

Zaległo uporczywe milczenie. Nawet wygadany Mędrzecki nic nie mówił. Jeden młody robotnik o twarzy łagodnej, jakby zapatrzonej w wodę, odezwał się nareszcie:

— Należałoby się, panie szefie, za te półtora roku czarnej nędzy, którąśmy przeżyli bez zarobków.

— Odemnie należałoby się? — przecie moja fabryka idzie zaledwie od tygodnia.

— Od właściciela fabryki, jaki teraz jest — tłumaczył inny robotnik.

— Moi bracia — rzekł Szaropolski stanowczo — czy nie rozumiecie, że to żądanie jest niemożliwe do przyjęcia i wogóle niedorzeczne?

Odezwał się robotnik czarniawy, wesół:

— Do rzeczy to ono by tam było. Niechby pan szef sięgnął do kasy i nam wypłacił za prze-

szłą krzywdę, nam byłaby sprawiedliwość i fabryka poszłaby piorunem.

— Dalibyście pokój! — ofuknął Mędrzecki kolegę. — Toć rozumiemy, że panu szefowi przykro płacić za Kleina. Ale to gorzej, że starsi uchwalili taki waronek, a jeżeli nie — to kazali nam zastrajkować.

— A wy co nato? zastrajkujecie? — Bo ja się takim dzikim żądaniom nie poddam.

— Ano, panie szefie, musimy — wyjąkał Mędrzecki.

— To chcecie dalej głód cierpieć i zapłaty nie otrzymywać? Ja znajdę innych robotników, skoro związkowi mają takie pojęcia o sprawiedliwości.

— Może pan i znajdzie — wtrącił się robotnik czarniawy, teraz pochmurniejszy — ale myślę, że im tu w fabryce będzie za gorąco; my się z łamistrajkami nie cackamy!

Jał znowu mitygować go Mędrzecki:

— Dajcie pokój, Marek! Widzicie, że tu nie idzie na udry. Postawiliśmy waronek, pan szef nie może się zgodzić — zastrajkujemy dziś — jutro, jak się patrzy, grzecznie — i pogadamy z naszymi starszymi. Da się może ułożyć — bo też poprawdnie niema racji, żeby pan Szaropolski, nam życzliwy, płacił za żyda Kleina, że tam kiedyś zbańczył.

Padł głos z odległego kąta:

— Podlizuj się burżujowi! Zostaniesz dyrektorem w pustej budzie!

Szaropolski, czując, że mu nie starczy cierpliwości, przerwał konferencję:

— Daję wam czas do namysłu przez dziś i jutro. We czwartek rano dacie mi ostateczną odpowiedź.

*

*

*

We czwartek rano Edwin Szaropolski spotkał się ze swym dyrektorem w fabryce, pustej i zimnej.

Nie zjawił się nikt, nawet Mędrzecki. Nieublagane prawo strajku triumfowało.

— I cóż teraz? — zapytał zmiażdżony Holender.

— Teraz? — — — zajmiemy się handlem. Ma pan nadal miejsce u mnie, panie van der Winder.

V.

Szaropolski poczekał jeszcze kilka dni, a po tygodniu, gdy robotnicy, pomimo zabiegów dyrektora u majstra Mędrzeckiego i innych, nie stanęli do pracy, postanowił czynność fabryki na pewien czas zawiesić, a zapas surowców, zwłaszcza łoju, który mógłby ulec zepsuciu, odprzedać któremu z kolegów fabrykantów. Natrafił jednak na uzasadnione obawy nabywców, czy łoź, pochodzący z fabryki przy ulicy Lubej, ponieważ dotknął aparatów pochodzących od Kleina, nie wpadł przez to samo w kategorię masy, na której robotnicy poszukują swej krzywdy i zapłaty za półtora roku bezrobocia? Fatalna pochodzistość od upadłego Kleina ciążyła przekleństwem na fabryce. Po energicznych staraniach Szaropolski rozprzedał jednak część surowców po niższej cenie. Dodawszy tę stratę do innych, wynikłych z przerwania robót, był w niezbyt świetnym humorze.

Toteż wcale nie gościnnie przyjął pewnego interesenta, który w chwili nieprzyjemnych rozrachunków zjawił się do jego mieszkania.

— Jestem Rosenduft — rzekł otłuszczony osobnik w czarnym chałacie, udającym surduta — pan o mnie nie słyszał?

— Nie, panie.

— Nu, ja kolega — ja także fabrykuję mydło.

Wyciągnął z brudnego rękawa kawał limfatycznego mięsa, który mu służył za rękę. Szaropolski udał, że nie widzi, lecz wskazał mu krzesło i milczał pytająco.

— Pan ma wielkie nieprzyjemności ze swoją fabryką? — odezwał się Rosenduft, przybierając wyraz współczucia.

— Mam fabrykę tymczasem nieczynną — skoro pan wie...

— Ja wiem! Te nasze robociarze to są łajdaki, to są leniwe złodzieje!

— Wcale nie! To są ludzie nie rozumiejący ani wspólnego, ani nawet własnego pożytku.

— Ja i to wiem! Oni słuchają te agitatory, te zawodowcy, te gałgany!

— Ależ panie Rosenduft — poco tu gadać o rzeczach powszechnie znanych? Co pana do mnie sprowadza?

— Ja przyszedłem z takie... kamaraderje, z kondolencje... i z propozycje — —

— Słucham propozycji.

— Pan jest z wychowaniem zagranicznym, pan jest a feiner Mann — ja panu chcę pomóc.

Łzawo cyganiące, przenikliwe spojrzenie do-

broczyńcy spotkało się z suchem, równie badawczem spojrzeniem Edwina.

— Może pan nakłonić robotników do powrotu? — albo dostarczyć mi innych?

— Tego ja tymczasem nie mogę — ale ja mogę z panem wejść do spółki.

— Jákto? — nie znamy się wcale i powiada pan, że ma własną fabrykę?

— Ja mam fabrykę mydła i każdy ją zna — firma bracia Rosenduft — i mydło nazywają przez krótkość Rosenduft. Gdzie jego nie było przed wojną? Paryż — Berlin — Dyneburg — Mińsk Litowski — Homel — Berdyczów — Odesa — wszędzie złote medale!

— Medale z Homla i z Berdyczowa? — wtrącił Szaropolski powątpiewająco.

— Nu, tam nie było wystawy, ale handel szedł.

— Rozumiem: jest pan wielkim fabrykantem mydła. Więc na cóż panu udział w mojej początkującej fabryce?

— Naco? — pan mi się podoba — ja sobie projektuję pomóc panu.

— Bardzo dziękuję, ale sam sobie radzić będę.

— Nu, a co pan robi? — sprzedaje fabrykę?

— Pozwoli pan, że nie będę mu się zwierzał ze swoich zamiarów. Nie wiem nawet, skąd panu przyszedł ten pomysł, żeby, nie znając mnie, proponować mi spółkę?

— To ja panu powiem. Tu niema żaden podstęp, żadne szachrajstwo — tu jest czysty interes. Pan jest z Cudna i pan jest człowiek europejski — ja bardzo chcę być z panem w jednej firmie.

Pomimo wstępu do osoby, Szaropolski spojrzał po raz pierwszy z zaciekawieniem na Rosendufta.

— Nie rozumiem. Proszę mi wytłumaczyć.

— Ja wytłumaczę. My tu, Polacy wyznania mojżeszowego, całkiem stracili reputację. Za co? — że my trzymaliśmy podczas wojny z Niemcami? To i cudeński rząd trzymał przez trzy lata z Niemcami. Co można było wiedzieć? Pan Bóg strzela, a człowiek kule nosi. My nosiliśmy kule, tak jak i oni. A czemu tamtym dają spokój, a nas żydków prześladują, bojkotują?...

— To inna materja — przerwał Szaropolski.

— To jest to samo mydło, co my jego będziemy fabrykować pod firmą „Szaropolski i Rosenduft“!

— Nie tak zaraz — skrzywił się Edwin, lecz nie przerwał, bo chciał dorożumieć się, o co chodzi projektodawcy.

— Może być zaraz! Ja panu mogę dzisiaj wpłacić gotówką połowę wartości i kosztów... nawet z przyzwoitym zarobkiem... nawet może dalej zarządzać fabryką pan Winderwander...

— Van der Winder — poprawił Edwin, ale wzruszył ramionami.

— Nu, jak będzie? — nalegał Rosenduft, mniemając, że Szaropolski słabo się broni.

— Nic z tego nie będzie, proszę pana. Może ja nawet przerzucę się do innej roboty.

— Ja mogę razem z panem przerzucić się — ja mam także inne interesy — i pieniądze — i kredyt. Ja znam się na handlu i moja pomoc będzie panu bardzo... pomocna.

— Może kiedyś z niej skorzystam, ale tymczasem nie widzę sposobności i nie wiem, czemu zawdzięczam tak gorące zajęcie się moimi interesami?

— Skończyła się wojna, panie Szaropolski, i my wszyscy obywatele cudzeńscy musimy żyć w zgodzie i razem pracować.

— Nie przeczę, — ale dlaczego koniecznie pan ze mną?

— Bo pan jest taka osoba co jest prawdziwy Europejczyk, co wie, że obywatel w kraju jest bez różnicy wyznań. Nu — jak jest w Anglii? jak w Holandji?

— Jest trochę inaczej. — Bardzo mi przyjemnie, że się panu podobam, ale dzisiaj nie skorzystam z pana uprzejmości. Namysłam się dopiero, jak pokierować swoje sprawy.

— Nie dziś, to jutro... pojutrze? Ja sobie pozwolę zostawić u pana mój adres.

— Niech pan zostawi.

Po wyjściu Rosendufta Szaropolski pomyślał, że może niewczesne było odtrącanie jego usług w chwili, gdy potrzeba pieniędzy i fachowej pomocy. Edwin zabrał się bowiem już do handlu, nie porzucając nadziei uruchomienia swej mydlarni.

Handel rozumiał en gros i jako jedną z normalnych funkcji organizmu społecznego. Spostrzegłszy już braki i wady w aprowizacji, oraz skłonność niektórych osobników do przetrzymywania i podbijania cen towarowych, wymyślił sobie parę obrotów handlowych na czasie: chciał sprowadzić do Cudna bardzo pożywną czarną fasolę brazylijską i zapas żołnierskiego sukna z Anglii, gdzie rozprzedawano je po niskiej cenie z powodu ukończenia wojny. Obie transakcje już zahaczył, jedną w Holandji za pośrednictwem dyrektora van der Windera, drugą osobiście, dzięki swym stosunkom z intendanturą w Londynie. Na obie jednak potrzeba było dużych sum, a zatem kredytu i ewentualnie wspólników. Szaropolski krzątał się już zabiegliwie po nowych, odkrytych przez siebie ścieżkach.

Mniejsze miał obawy o fasolę, wiedział bowiem, że ją rozchwyci skwapliwie Cudno, ogłodzone z jarzyn i produktów mącznych. Ale suknem było jednej szarej barwy i nadawało się na

mundury, lub ubiory mniej wybrednej klasy; trzeba je było zaproponować raczej jakiemuś urzędowi, niż krawcom. Prowadziło to znowu do zabiegów w ministerjach, do których Edwin, po paru doświadczeniach, nabrał pewnych przesądów. Przemyślał jakby najdalej ominąć urzędy, aby snadź nie opóźnić zamierzonych obrotów. Bo gdyby brazylijska fasola miała trafić na rynek dopiero w lecie i współzawodniczyć ze świeżą cudeńską, a grube sukno zjawilo się też podczas upałów, mogliby djabli wziąć interes.

Rozpisał listy, zamówił próby i zwiedzał grunt miejscowy. Na tym gruncie znał dopiero nieco drózek, które udeptał; wstępował teraz na mniej znane, handlowe. Przyszło mu do głowy wyzyskać doświadczenie kuzyna swego, Józefa Szaropolskiego, który miał sklep siodlarski.

Edwin był raz, czy dwa w mieszkaniu Józefa, ale nigdy dotąd w jego sklepie, zdawał też sobie sprawę, że Józef jest odroślą Szaropolskich najmniej wybujałą, zagrzechłą prawie w proletarjat. Edwin zaś nie miał dla proletariatu tego kultu, który od pewnego czasu zapanował w Cudnie; był przyjacielem ludu, ale nie ciemnoty i nędzy; przyznawał proletarjatowi wszelkie prawa obywatelskie i ułatwienia do przejścia na wyższe szczeble drabiny społecznej. Sądził nawet, że istniejący typ proletariatu powinien dążyć do zaniku, przerodzić się w klasę obywateli pracu-

jących. Ale z tem zdaniem nie odzywał się w Cudnie, gdzie proletarjat uchodził za klasę najcenniejszą, jeżeli nie panującą, to używaną do panowania. Razily też Edwina maniery cudeńskiego proletarjatu, nazbyt już despotyczne na opak, buntowniczo pogardliwe dla całej reszty społeczeństwa. Józef Szaropolski, nie wypierając się rodowitego szlachectwa, nabrał tych manier proletarjackich, które nie ujmowały bynajmniej Edwina.

Pierwszy raz znalazł się Edwin w sklepie siodlarza i zauważył, że jest tu dość brudno i pusto. Gdy się rozglądał, Józef odezwał się szyderczo:

— Śmierdzi Edwinkowi interes siodlarski? — mydelko pachnie mu lepiej? — cóż, kiedy sta-
nęło.

— Nie przychodzę spierać się z tobą; chcę cię owszem prosić o radę. Zaczynam trudnić się handlem...

— Ho, ho! z tygodnia na tydzień zmiana dekoracji. Pod koniec zimy założysz może knajpkę z damskim koncertem?

— Słuchaj, Józefie: ja nie mam czasu na takie gadanie. Chcesz mi dać informacje, których potrzebuję, czy nie chcesz?

— Widzicie go, jaki hrabia! obraża się. No, słucham.

Edwin przedstawił swoje projekty co do fasoli i sukna otwarcie, gdyż wiedział, że Józef, choć nieprzyjemny kompan, jest człowiekiem sumiennym, a w każdym razie nie zdrażliwym. Poprosił następnie o radę, komuby zaproponować towary, o które już poczynił zabiegi.

Siodlarz spoważniał, ale nie pozbył się gburowatego tonu:

— Komu? jak to: komu? — trzeba mieć sklep własny.

— Albo znać sklepy odpowiednie.

— Ja tam nie trzymam sztamy z kolonjalnymi, ani z krawcami. Masz ich na każdej ulicy.

— A czy nie możesz mi nazwać takich, którzy skupują na większą skalę? engrosistów? — zapytał jeszcze Edwin.

— To chcesz się udać do Żydów?

— Dlaczego do Żydów?

— Bo innych niema w Cudnie. Jeszcze w mojej branży można dostać skór od garbarzy, chrześcijan. Ale fasola, sukno — to wszystko w rękę Żydów. Taki na przykład Rosenduft...

— Rosenduft?!

— A co? znasz go?

— Znam jednego. Ale to fabrykant mydła.

— Jaki on tam fabrykant! Dla niego fabrykują inni, a on skupuje i chowa co najpotrzebniejsze dla ludności i śrubuje ceny do góry. Ma mydło i towary łokciowe i lichy go tam wie, co

u siebie trzyma. To herszt cudeńskich paskarzy.

— Taki... gruby? — pytał jeszcze Edwin dla ustalenia tożsamości.

— No gruby, gruby... Jeden tylko jest, którego znać możesz, bo ty się przecie obracasz w wyższem towarzystwie.

Edwin pomiął sarkazm i rzekł serdecznie:

— No widzisz, toś mi dał parę pożytecznych informacji. Dziękuję ci.

— Niema za co. A tyś już pewno z Rosenduftem coś rozpoczął?

— Na szczęście — nie. Ale zabiłeś mi klina w moje projekty z engrosistami. — Musiałbym zatem proponować moje towary jakimś... urzędem. — —

— Niech cię Bóg broni od urzędów! Połowę towaru zabiorą dla siebie, a reszta zgnije gdzieś, czekając na wagony.

— Co ty mówisz?!

— Mówię, co wiem. Nasze urzędy są od grabienia i od zaprzepaszczania. Z nimi nie radzę zaczynać. Jeżeli chcesz się trudnić handlem na większą skalę, nie obejdiesz się bez Żydów. Oni płacą pieniądze... im i wagony chodzą. — —

— Komuż ja zatem sprzedam moją fasolę i sukno? — zawołał Edwin, bliski rozpacz.

— Toteż mówię: trzeba mieć swój sklep. Ja na przykład... no ja trochę co innego; jestem na pół rzemieślnikiem, na pół kupcem. Kupuję ma-

terjał miejscowy, przerabiam u siebie — a komu sprzedam na ulicę, księdzu, czy Żydowi — to mnie już nie obchodzi.

— Ja jednak nie mogę mieć sklepu z suknem i fasolą!

— Miej dwa sklepy.

— No, zobaczymy... Niepodobieństwo, żeby się nie znalazł sposób sprzedania w Cudnie artykułów najpilniejszej potrzeby uczciwie, z umiarkowanym zyskiem, a z pominięciem rabusiów i paskarzy.

— Próbuje — od tego jesteś młody.

— Właśnie; dobrze powiedział.

* * *

— To są przesady — mówił nazajutrz dyrektor van der Winder, konferując ze swym szefem — zdarzyły się tu i ówdzie nadużycia w urzędach i opieszałość w transportach, gnieździ się w Cudnie parodja handlu, zwana tu paskarstwem, ale takie generalizowanie nazwać wypada zdrożnem, gdyż onieśmiela inicjatywę prywatną i łamie energję. Sam widziałem wczoraj na stacji towarowej wagon sardynek, który przybył z Portugalji i wędrował tylko dni dwie. To na dzisiejsze warunki jest wcale znośne.

— A czy transport nie należał przypadkiem do Żyda? — wtrącił Szaropolski.

Holender otworzył szerzej oczy:

— Nie wiem. Do tutejszego kupca, bo go ktoś odbierał za frachtem.

— No, wszystko jedno — zatarł Edwin wrażenie — więc pan jest zdania, że należy, bądź co bądź, zadatkować i sprowadzić fasolę?

— Bezwarunkowo. Jak tylko przyjdzie, pojedę sam do Gdańska i przeładuję na wagony. Zdaje mi się, że mogę zato ręczyć, bo dużo analogicznych operacyj przeprowadzałem przed wojną. A skoro fasola ukaże się na tutejszym rynku, niema wątpliwości, że ją zaraz nabędzie każdy kupiec, lub konsument spragniony dobrego towaru i pożywnej strawy. My właśnie dopilnujemy, aby się nie dostała do rąk paskarzy. Puścimy w gazetach artykuły reklamowe. Jest to produkt wyborowy; zawiera azotu części...

— To już wiem, panie van der Winder. Zatem poco czekać? — zaczynamy.

— Zadatek umówiony w jednej trzeciej wartości loco Amsterdam moglibyśmy przesłać telegraficznie?

— Na to jestem przygotowany.

Zahaczono tedy za pomocą telegrafu brazylijską fasolę, która zaczęła płynąć po morzach obiecująco w kierunku Cudna i miała nawet niezbyt długą drogę do przebycia, gdyż van der Winder dowiedział się o dużym ładunku dawniej już przesłanym z Ameryki do Holandji i uchwyt-

cil część tegoż w drodze, loco Amsterdam. Falsola powinna była stamtąd przepłynąć do Gdańska za dni kilka.

Trudniejsza sprawa była z suknem. Zabiegi o nie prowadził Szaropolski osobiście przez znajomych swych w Londynie i zdążył już otrzymać dwa powiadomienia ostudzające zapal do interesu. Intendantura angielska rozprzedawała sukno tylko wielkimi partjami po 100 tysięcy yardów i nie dawała kredytu. Te utrudnienia można było przezwyciężyć, lecz wypadło koniecznie sprzedać owe 100,000 yardów komuś zasobnemu w Cudnie, któryby je zapłacił zgóry, bo prywatne zasoby Szaropolskiego nie starczyły na taką operację. W tem był sęk, gdyż handel suknem opanowany był rzeczywiście przez Rosendufta i jego współwyznawców, jak słusznie twierdził Józef Szaropolski, siodlarz. Oddanie wynalezionej w Anglii sukna w takie ręce wydało się Edwinowi niepodobieństwem; jego antysemityzm nie był bynajmniej zdecydowany, ale Szaropolski chciał właśnie przysporzyć współobywatelom szybko ciepłej i taniej odzieży, nie zaś — popierać paskarstwo. Poszukiwał tedy innego potężnego nabywcy ze sfer filantropijnych, a wreszcie i z urzędowych, jeżeli nie będzie można zrobić inaczej. Oskarżenia kuzyna, siodlarza, były gołosłowne, przesadne i zbyt już generalne, jak tego dowodził dyrektor van der

Winder. — Jakoż natrafił wkrótce na ogłoszenie, które mogło zadowolić jego aspiracje społeczne i osobisty interes: ministerjum wojny poszukiwało sukna na nowe płaszcze dla żołnierzy.

Było to jedyne ministerjum, dla którego Szaropolski nabierał zaufania, pomimo, że uległo ono zrazu ogólnym zasadom twórczym rządzącego stronnictwa. Gabinet ministrów musiał być antymilitarystyczny ze swego cepepowskiego obowiązku; nie kwapił się więc do formowania regularnej armji, która mogłaby cudeńską partję przewrotową kiedyś doprowadzić siłą do starożytnego porządku. Tworzył natomiast „czerwoną straż“, przeznaczoną jedynie do obrony proletarjackiego porządku wewnątrz kraju. Pobór do tej straży nie był bynajmniej generalny; dopuszczano do niej tylko uświadomionych proletariuszów, wymusztrowanych do użycia browninga w przygodnych walkach za prawa ludu, lub wypuszczone z więzień ofiary dawnych rządów i sądów burżuazyjnych. W przyszłości nie miało być żadnej wojny międzynarodowej; tworzone oddziały zbrojne dla zbawczej, reformacyjnej wojny domowej.

Jednak obok czerwonej straży, problematycznego użytku, wyrastało jakimś zakłębieniem prawdziwe wojsko. Coraz to wytryskał na ulicę Cudna zawiązek nowego pułku: jakaś zwarta kolumna piechoty dziarskiej, rozśpiewanej przy-

jemnie, nie zaś wyjącej nienawiścią; jakiś szwadron konnicy doskonale malowanej ze starych wzorów — aż się zdawało, że po śnie stuletnim ocknęły się szwoleżery z pod Sommosierry, czwartaki i białe ulany z pod Grochowa, artylerja z pod Stoczka. Nieraz Szaropolski, pośród swych poziomych krzątań za mydłem, suknem i fasolą zatrzymywał się na ulicy i błyszczącemi oczyma przeprowadzał mijający szyk i tentent ulanów.

— Idzie to, rwie w przyszłość. Jeszcze dobrze będzie! — mruzczał półgłosem, a serce mu biło w takt marszu.

Wprawdzie nie Wichrowaty z towarzyszami, lecz sam Namiestnik, wielki amator wojenki, prowadził te sprawy wojenne, jedyne radosne pośród harmideru przebudowywania państwa.

Szaropolski, pochłonięty przez zabiegi prywatne, słabo zdawał sobie sprawę ze sprężyn i machinacyj politycznych; stwierdzał tylko wyniki, które podpadały mu pod oczy i dotykały skóry. W polityce wewnętrznej najlepiej mu się podobało rosnące piękne wojsko. To go skłoniło ostatecznie do uczynienia oferty sukna ministerjum wojny.

Ponieważ nie miał dostępu do generalicji, dowiedział się od kuzyna Roberta, który i z wyższymi oficerami się kumał przy swych występach restauracyjnych, że ofertę należy skierować

do intendantury (ulica Kilińskiego Nr. 6) do majora Bohdana Grzmot-Pofikalskiego.

Edwin obliczył swą propozycję jak najskrupulatniej. Sukno kosztowało w Londynie 5 marek i 20 fenigów za yard, koszt transportu do Cudna miał kosztować markę od yarda; ofiarowywał sukno po 7 marek, z bardzo umiarkowanym zarobkiem. Cena była bajecznie niska, gdyż sukno podobnego gatunku w Cudnie dochodziło już do ceny 40 marek. Nie wątpił, że zostanie przyjęty w intendanturze z otwartymi rękami.

Jakoż pan major przyjął Edwina bardzo dobrze i okazał nawet wesoły humor. Z sąsiedniego pokoju dochodziły gwarne, młode rżenia i brzęk szkła. Wcale to nie zgorszyło Szaropolskiego, który sam nie stronił od wina i przyznawał stanowi wojskowemu prawo do uczty w czasie zawieszenia broni. Przedstawił majorowi próbkę sukna i spisana ofertę.

Major, piękny, muskularny mężczyzna, uosobienie dojrzałej siły, ujął wydłużoną próbkę sukna w obie dłonie, okręcił na palcach, a potem roztargnął ją gwałtownie na obie strony — raz i drugi. Szmata nie puściła.

— Ależ to skóra, panie, nie sukno! Pierwszy raz mi się zdarza, żebym nie mógł rozedrzeć głupiego lachmana. Już i podkowy łamałem.

— Bo pan major, z przeproszeniem, źle ujął sukno. O, proszę mi pozwolić — rzekł Szaropolski, rozbawiony tym sportowym eksperymentem.

Wziął sukno oburącz, napiął jeden kraj silniej, niż drugi i targnąwszy potężnie, przepołowił próbkę.

Major był prawie niezadowolony, jednak obejrzał z ciekawością Szaropolskiego i sukno.

— Jak pan to zrobił?

Edwin objaśnił, a major, poznawszy sposób, spróbował po raz drugi i rozdarł połowę szmaty na dwie ćwiartki.

— Codzień można się czegoś nauczyć — rzekł rozpromieniony — raz od profesora strategii, drugi raz od fabrykanta sukna.

— Poprawdzie — uśmiechnął się Edwin — pierwszy raz w życiu zajmuję się suknem.

— Ach tak? to pan nie specjalista?

— Nie, panie majorze. Zabieram się dopiero do przemysłu i handlu, który studjowałem w Anglii. To sukno pochodzi też z Anglii.

Toteż mi się zdawało, że pan ma w sobie coś angielskiego.

— Matkę mam Angielkę i całą młodość spędziłem w Anglii, ale urodzony jestem w Cudnie i niedawno powróciłem do ojczyzny.

Major Grzmot-Pofikalski kiwał głową aprobacyjnie.

— Więc oferta pańska jest raczej... ideowa? Nigdy nie kupiliśmy tak dobrego i taniego sukna.

— Miło mi będzie przysłużyć się naszej świetnej armji; ale i ja na tem nie tracę.

Major wpatrzył się w Szaropolskiego uważnie i przydługo, poczem zapytał ochotczo:

— A pan konno jeździ?

— Jeździłem nawet na klasowych steeple-chase'ach.

— Umie pan robić szablą?

— Nie koniecznie. Ale uprawiałem różne pokrewne sporty; umiem bić się na szpady.

— Wie pan co, panie Szaropolski? Pluń pan na to sukno i wstąp do naszego pułku.

— Przychodziło mi to do głowy, panie majorze. Musiałbym jednak najprzód wprowadzić w ruch, albo zwinąć interesy rozpoczęte, w których tkwi cały mój majątek.

— To się pan urządź i przychodź do nas — choćby do intendatury — zużytkuje pan swe fachowe wiadomości, a gdyby przyszła potrzeba, to na koń i w pole!

— Notuję sobie łaskawe zaproszenie. Ale tymczasem... to sukno.

— No, sukno jest dobre, wyborne. Podaj pan zaraz tę ofertę do komisji umundurowania; zrobię nadpis...

Napisał zamasyście na podaniu kilka słów gorąco polecających i oddał papier Edwinowi.

— Bardzo dziękuję. Pan major zechce mnie może powiadomić, czy sukno wolne jest od cla wwozowego?

— No... chyba? Dostawa dla armji. Zresztą powiedzą panu to wszystko w komisji umundurowania.

— A wolno jeszcze zapytać, gdzie się ta komisja mieści?

— Przy ulicy Żalósnej — to jest przedłużenie Lubej.

— Ach tak? — już wiem.

Pożegnawszy serdecznie uprzejmego majora, Szaropolski przeniósł się tramwajem, który tego dnia był w dobrym usposobieniu i kursował, na ulicę Żalósą, w pobliże swej nieczynnej fabryki. Ani widok fabryki, ani nazwa ulicy nie zdołały zatrzeć w umyśle Szaropolskiego pogodnego wrażenia, które otrzymał od zetknięcia się z armją. To też wchodził do lokalu komisji umundurowania z zupełną otuchą.

Zaraz na wstępie ujrzał oficera rażąco podobnego do księcia Józefa Poniatowskiego. Brunet, włos falisty, baczki przycięte do pół policzka — widoczny był zamiar skopjowania postaci narodowego bohatera. Szaropolski podszedł do

tego zucha z zaufaniem i zapytał, czy może mu wręczyć ofertę na sukno mundurowe.

— Sukno? — jakie sukno? — odparł oficer zgryźliwie, a gdy spojrział i przemówił, rozwił w jednej chwili złudzenie.

Szaropolski zadziwił się niepomalu, miał bowiem przed sobą Żyda przebranego za księcia Józefa! Ale upewniwszy się, że ten właśnie podporucznik zajmuje się umundurowaniem, wręczył mu papier.

Gdy oficer czytał ofertę, Edwin rzucił okiem po sali. Siedziało w niej dwóch jeszcze funkcjonariuszów w mundurach, z większą, lub mniejszą noszonych fantazją. Ci, jeżeli już mieli naśladować jaki typ wojskowy z przeszłości, to chyba Berka Joselowicza.

Tymczasem pseudo-Poniatowski przestał czytać i rzekł, przybierając minę sędziego śledczego:

— Pan się podejmuje dostarczyć to sukno po 7 marek za yard?

— Wyraziłem to w piśmiennej deklaracji bez wszelkiej wątpliwości.

— I to sukno będzie całe takie, jak dołączona próbka?

— Polegam na sumienności moich przyjaciół w Londynie. A zresztą, gdy transport przyjdzie do Gdańska, może go który z panów obejrzy przed odbiorem.

— Tak, to my zrobimy. — A zresztą nie stawia pan żadnych innych warunków?

— Połowę zapłaty trzeba uiścić zaraz, a drugą przy odbiorze w Gdańsku, według projektu, który także objaśniłem w mojem podaniu.

— Widzę. Ale oprócz tego, co napisane, nie ma pan nic do powiedzenia?

— Nic. — — Zapytuję, czy komisja przyjmuje moją ofertę?

— To jeszcze musi pójść pod rozważę i na sesję.

— Jednak pan major Grzmot przyjął moją propozycję bardzo przychylnie — powiem nawet z zapalem.

— Opinia pana majora jest dla nas wielce miarodajna, ale pozwoli nam pan zachować wszelkie przepisane formalności — rzekł podporucznik z odcieniem ironji, który przejął Szaropolskiego złem przeczuciem.

— Kiedyż zatem mogę zgłosić się po odpowiedź. Uprzedzam, że na stanowcze zamówienie oczekują w Londynie, a zwłoka mogłaby nas pozbawić towaru, na który dużo jest amatorów.

— Postaramy się w najbliższych dniach. Proszę zostawić nam swój adres.

Szaropolski oddał bilet wizytowy z adresem i numerem telefonu.

— A, ma pan i telefon? — to najlepiej; wkrótce do pana zadrutuję.

Elegancki funkcjonariusz wyprostował całą swą rycerską figurę i brzęknął ostrogami na znak zakończenia konferencji.

Szaropolski pomyślał, odchodząc, że przyjęcie w intendancji było dużo przyjemniejsze, niż w tej komisji, sprawiającej wrażenie obcego konsulatu. Ale armja, która tak pięknie kwitnie i rośnie, potrzebuje, widać, Żydów do niektórych działów wymagających uzdolnienia handlowego? — — Mogłaby przynajmniej tych agentów odmiennie ubierać. — —

Gdy już puścił w ruch oba zamierzone interesy, Edwin poczuł się znużonym, jak każdy człowiek czynny, któremu nagle zabraknie zajęcia. Fasola jeszcze nie dopłynęła... na decyzję komisji umundurowania trzeba poczekać... uruchomienie fabryki trzeba odłożyć aż do lepszego humoru delegatów robotniczych. Zaczynać jeszcze coś nowego, dla samej przyjemności majstrowania, byłoby bez pożytku. Najprzód przeprowadzić sprawy rozpoczęte i tak już zakreślone na wielką skalę.

Poszedłby do Joachima, którego w ostatnich czasach zaniedbał. — — Ale i to wypada odłożyć do czasu, gdy coś przynajmniej się uda. Dzisiaj stary zrzęda zasypałby go dowcipnymi może,

ale niepożądanymi przycinkami do mydła, fasoli i sukna. Wogóle Joachimowi trudno dogodzić; Edwin nie widział go jeszcze jasno uśmiechniętego do jakiejś sprawy publicznej, czy prywatnej. Chyba żeby mu się udała fenomenalna tabakierka? — — Niech ją sobie dłubie.

Poszedłby gdzie, z kimś zabawić się. Znał już sporo ludzi swojego wieku, ale, chociaż z przyrodzenia był towarzyski, nie upatrzył dotąd ani jednego brata-kompana. Ludzie tutejsi bawią się, jak więźniowie, którzy uciekli z pod klucza: albo ponuro, albo po pijacku.

— Zostanę w domu i przeczytam gazety. Od dawna nie wiem, co się na świecie dzieje — a dzieją się przecie wielkie rzeczy.

Polubił już swoje mieszkanie w śródmieściu, chociaż urządzone niedostatecznie. Położone na czwartem piętrze, miało dużo światła i widok, jak na Cudno, wspaniały. Zato winda osobowa rzadko była czynna z powodu zamykania, lub zanikania prądu elektrycznego. Ale Edwin miał dobre nogi. Łazienka istniała, jednak woda nie dochodziła tak wysoko i żadna siła ludzka nie mogła jej pchnąć aż do czwartego piętra, jak zapewniali zgodnie właściciel i rządca domu. Zatem Edwin kąpał się na niższym piętrze, w mieszkaniu uprzedniego lekarza. Ale ojcowskie meble były wygodne i okazałe; brak centralnego ogrze-

wania sprawiał, że można było nagrzać piece do pożądaney temperatury; w głównym pokoju był nawet kominek.

Edwin zapalił na kominku i rzekł sam do siebie:

— Skończyłem już lat trzydzieści; jestem starym kawalerem.

Różnaitych odcieni dzienniki, których naku-pił, przynosiły stos wiadomości nie bylejakich. W Paryżu pracował wielki kongres pokojowy, który miał uśmierzyć srodze jeszcze rozkołysane fale światowej burzy, pokarać zbójców Europy, nagrodzić odwieczne i wczorajsze krzywdy wyrządzone „małym narodom“.

— Dziwaczny, nienowożytny podział na wielkie i małe narody — zauważył Edwin. Lepiejby rozróżnić: szczęśliwe i nieszczęśliwe. Odstąpić trochę szczęścia jednych dla drugich — podzielić się szczęściem.

Zdawało mu się bowiem niekonsekwencją i obłudą, że w koncercie wielkich mocarstw, stojących właśnie na estradzie, każdy przedstawiciel grał swój hymn narodowy, których zespół miał stworzyć opus muzyczne, zwane Ligą Narodów, a był po staremu targowiskiem o hegemonię i stekiem zgrzytów.

— Może mi się tylko tak wydaje zdaleka? —

Śledził pilnie przebieg sprawy cudzeńskiej na wielkim trybunale. Bronił jej tam silny Rob z nieugiętą mocą, walcząc o równe dla Cudna prawa, o granice odwieczne i porty. Ale przedstawiciel Cudna na kongresie był, niestety, endekiem i to arcy-endekiem! Ta wada organiczna nie przeszkadzała mu w Paryżu, lecz w kraju rodzinnym burzyła przeciw niemu umysły partji, stojącej obecnie u steru rządu i innych gatunków Cudnian, pomagających uprzejmię tej robocie. Rob pracował jednak w Paryżu wytrwale i osiągał powodzenia na złość swym przeciwnikom politycznym, pomimo, że głos jego trudno przebił rozgwar ogromnego targowiska. Musiały najprzód być nasycone „wielkie narody“.

— Goddam! ta „małość!“ — szeptał Edwin — a przecie, na mój niepolityczny rozum, sprawa cudzeńska jest samem jądrem sprawy ogólnoeuropejskiej, jeżeli kongres chce naprawdę związać Niemców i uniemożliwić powtórny ich napad na Europę. Ale do tego dążyć zdaje się tylko Francja?... moja Anglja jakoś mi się psuje...

Czytał, kombinował, wysnuwał wnioski, gadając sam z gazetami, przy własnym kominie.

Dochodził także do spostrzeżenia, że dzienniki cudzeńskie ze skrajnie przeciwnych punktów oświetlają to, co się dzieje, a spierają się inaczej, niż angielskie. Naprzykład „Odwet“, organ Ce-

pepów, zbywał prace kongresu summarycznymi sprawozdaniami, a działalność przedstawiciela Cudna — pogardliwym milczeniem. Natomiast fulminował na endecję przy każdej zdarzonej i niezdarzonej sposobności, gromił ją za sprzymierzanie się z Francją, za nawoływanie do pracy, za demaskowanie zdradzieckiej akcji Żydów. — — To było ostatecznie zrozumiałe, gdyż „Odwet” popierał przymierze z Niemcami, strajki w najszerszym zastosowaniu, i szedł ręką w rękę z Żydami. Ale dlaczego grupy i jednostki, wcale nie zainteresowane w robocie Cepepów, popierały nagonkę „Odwetu” przeciw endecji i utożsamiały nawet jej nazwę z pogardliwym przezwiskiem? — to się nie mieściło w racjonalistycznej głowie Szaropolskiego.

— Muszę ja się kiedyś dowiedzieć — obiecywał sobie, w czym ta endecja właściwie krajowi zaszkodziła, bo jakoś nie wyraźnego nie słyszałem. W nienawiści, która ją ściga z różnych stron, jest pierwiastek tajemniczego podszucia. — — —

Organ endecki „Sprawa” rzadko i niedbale oganiał się od napaści „Odwetu”. Niby niedźwiedź, opadnięty przez osy i trutnie, machnął czasem tylko łapą i mruczał dalej swe nieprzyjemne teorie. Do użerania się z przeciwnikami miała „Sprawa” psa policyjnego, zwanego

„Dniówka“, którego powołaniem było tropienie Popsujów w ich kryjówkach i pod przebraniami.

— Komu tu wierzyć, na Boga? — zawołał Szaropolski po przeczytaniu rzędem kilku poważniejszych z sobą dzienników.

Ale zaraz się uspokoił, gdy wziął do ręki „Głos Cudeński“. Oratorska waselina tego pisma goiła wszelkie rozdarcia opinji. Dobrze było na Wschodzie i na Zachodzie a nawet nie-żle w Cudnie, chociaż co do niektórych szczegółów redakcja zawieszala swój wyrok do czasu. Redakcja powątpiewała o zdolnościach osób rządzących, nie pozwalała sobie jednak na otwarte przeciw nim występowanie. Pomijała szczegóły drażliwe, jak stanowisko Anglii w sprawie cudzeńskiej; rzucała natomiast gromy na niewiadomych winowajców zawalenia się mostu na Cudence. Były o tem artykuły: Nasze przewidywania katastrofy—Krach—Po katastrofie i Echa katastrofy. Ponieważ wypadala tego dnia rocznica zamordowania Przemysława Wielkopolskiego przez margrabiów brandenburskich, „Głos“ dawał o tym fackie z r. 1296 piękny artykuł pióra profesora Pacanowskiego, nie bez aluzji aktualnych; jednak nie dotyczył rezydującego w Cudnie, ku zdumieniu ogółu, posła niemieckiego. Serce redakcji rosło z powodu różnych po-

cieszących objawów i przerastało ogłoszeniami. — Sensację dzisiejszego numeru stanowiła żałobna wieść, że zmarł bl. p. Kazimierz Goldherz, prezes, dyrektor etc., oplakany po siedemkroć przez gminę izraelską, towarzyszków pracy, podwładnych, rodzinę i t. d. na trzech całych stronach pisma.

Gdy to Szaropolski przeczytał, po uprzednim najedzeniu się kaszy okolicznościowo-patriotycznej, zasnął przedwcześnie w fotelu przy kominku.

VI.

Byłoby jeszcze znośnie w Cudnie, gdyby rząd Wichrowatego pomyślał, choć raz na tydzień, o aspiracjach i potrzebach innych warstw ludności, niż proletarjat i operujące nim Popsuje. Nie można rzec, aby rząd więził lub mordował swych przeciwników politycznych, jak to czynił rząd ideowo pokrewny, lecz radykalniejszy, w Petersburgu i w Moskwie. Rząd cudeński nie chciał śmierci burżuja, tylko żeby oddał wszystko, co posiada, siedział cicho — i żył. Zaprowadzał tedy takie porządki, że żaden człowiek porządny (w znaczeniu starożytnem) nie mógł być pewien wykonania najprostszych zamiarów, ani zapewnienia sobie minimalnych wygod, ani wogóle jutra. Niektórzy burżuje, przyciśnięci tym systemem rządzenia, zaczęli już narzekać głośno:

— Lepiej było za króla Ćwiczka!

Tylko rozpacz może wywołać takie westchnienie.

Edwin Szaropolski, jako człowiek silny i zrównoważony, nie był skłonny do rozpacz, ale i on

mało się nie wściekł w ciągu kilku dni feralnych, które przeżył w pierwszej połowie grudnia. Dni te przetkane były jednak wątkiem niby romantycznym.

Od pewnego czasu siadywał w domu uparcie, oczekując, rychło wypali który z rozpoczętych interesów. Nie chciał opuścić potrzebnej wizyty, albo telefonu. Czytał, myślał i powściągał swą niecierpliwość działania.

Pewnego dnia, już o zmroku, usłyszał dzwonek od drzwi wchodowych, jakiś obiecujący. Poszedł sam otworzyć, gdyż kucharka czuła się wolną obywatelką poza godzinami podawania do stołu i funkcjonowała na zewnątrz domu w charakterze publicystki.

W drzwiach stała postać niewieścia otulona futrami, niewyraźna z powodu ciemności przedpokoju, ale, sądząc z zarysów i zapachu, napewno młoda i ładna.

— Pan mnie nie poznaje?

Edwin zapalił szybko światło w przedpokoju.

— A jakże! — panna Malankowska; — bardzo proszę pani.

Wskazywał otwarte drzwi do gabinetu. Ona zajrzała najprzód łasiczym ruchem, zatrzymując się na progu, potem weszła szybko i skocznie, jak na scenę. Ruchy te, w plastycznej wymowie

tańca, znaczą: boję się — ciekawam — niech się dzieje, co chce.

— Jak tu ładnie! — — —

Palilo się na kominku w zamroczonym już pokoju. Edwin przystąpił do wyłącznika, aby zapalić światło elektryczne. Urwane „ach“ wydobyło się ze zwojów futer i woalki: Szaropolski zapytał:

— Nie zapalać?

— Nie... owszem... jak pan woli, jakie pan ma przyzwyczajenia. — —

— Mam takie i owakie, do wyboru pani.

Ton Szaropolskiego, grzeczny, ale zimny, wpłynął na decyzję damy.

— Proszę zapalić. Nawet lepiej, bo ja nie mam żadnych dyplomatycznych zamiarów. — —
Ale czy można usiąść przy kominku?

Edwin przysunął szybko drugi fotel do ognia i usadowili się oboje. Nie zaczynał jednak rozmowy, tylko pogodnym wyrazem twarzy zapytywał o przyczynę wizyty. Nie obraził się przecie! — Żaden mężczyzna do wieku lat... X, nie obraża się na ładną kobietę, że go niespodziewanie nachodzi o zmroku. Ale zdając sobie sprawę ze śliskości sytuacji, wołał ją najprzód lepiej rozpoznać.

— Pan mi wybaczy, że sama i pierwsza przychodzę, korzystając z bardzo małej niteczki

znajomości... Strzeliło mi do głowy poskarżyć się panu. — —

— Słucham z przejęciem.

— Porzuciłam tę budę „A rebours“. Jest nie do wytrzymania! Tam trzebaby być jakąś taką... istotą wyzyskiwaną przez cały klub tych żydowskich pajaców... wyzyskiwaną pod każdym względem.

— Sądziłem już wtedy, gdyśmy rozmawiali, że to nie dla pani miejsce.

— Właśnie — pan mi okazał dużo życzliwości i to mnie ośmieliło. Ale od czasu, jak stamtąd wyszłam, pech mnie się uczepił — same niepowodzenia — o! nie w dziedzinie sztuki, ale niepowodzenia praktyczne...

— Znalazła się pani w kłopotach pieniężnych?

— Ach, nie! czy pan sądzi, że jabym do pana?...

— Nie sądzę wcale — zgaduję — widzę, że nietrafnie.

— Nie, panie Szaropolski. Mam nawet trochę pieniędzy, biżuterji. — A, broń Boże!...

Zapomniała nagle o tonie godnym i przeszła bezpośrednio do przymilnego. Główka jej, grająca odcieniami w czerwonych, kapryśnych przeblaskach kominkowego ognia, była bardzo ładna.

— Uknułam jednak na pana zamach prawie... praktyczny.

— Ciekawym.

— Trochę później, aż się rozgrzeję — przysunęła do ogniska nóżki i ręce, także, psiakrew, ładne — mówmy tymczasem o czem innym.

Edwin zachowywał ciągle postawę wyczekującą.

— Od czasu naszej rozmowy porobił pan duże afery, założył fabrykę.

— Niestety jest nieczynna z powodu strajku robotników.

— Jak można strajkować w fabryce mydła!

— Skoro strajkują nawet posługacze szpitalni i grabarze, nic nas już nie może zadziwiać.

— Okropne czasy! — westchnęła panna Malankowska.

— Czyżby modniarki ogłosiły bezrobocie? — uśmiechnął się Edwin po raz pierwszy żartobliwie.

Tancerka uchwyciła z zadowoleniem ten ponik dobrego humoru:

— Jeszcze nie, chwała Bogu! Odnieśli mi nawet dzisiaj suknię, którą pierwszy raz mam na sobie.

Roztworzyła szeroko poły futrzanego płaszcza i ukazała całe kłocze dorodnego kwiatu, umiejętnie okutane w jedwabne opony.

— Bardzo ładna suknia — rzekł Edwin spokojnie.

Zatem piękna pani opuściła ręce i jęła dalej skarżyć się, jak to zapowiedziała:

— Cóż, kiedy nie mam się gdzie podziąć! Zarekwirowano mi mieszkanie!

— Kto taki?

— Jakiś urząd... partycypacyjny, o ile dobrze pamiętam.

— Nieznośna partycypacja! — rozśmiał się Szaropolski.

— Łatwo panu śmiać się, bo ma śliczne mieszkanie, ale biedną Marusię wyrzucają na ulicę...

— Radbym pani pomógł* do znalezienia lokalu, ale...

— O, jabym nigdy nie śmiała fatygować pana, zabierać mu drogiego czasu. — — Jest inny sposób — pan mi może odnająć jaki kącik?

Szaropolski zdumiał na chwilę. Czy żart, czy propozycja realna? — Czy może namiętność? Czy omyłka?

— Pani się zapewne myli? Nie jestem właścicielem kamienicy; najmuje tu trzy pokoje dla siebie i służącej. — —

— Toteż ja o czem innem myślałam. — — Niech się pan nie gniewa — — o fabryce przy ulicy Lubej. Przecie ona stoi pustkami?

Teraz Edwin zrozumiał i ochłonął z podziwu, ale bez przyjemności. Małankowska chciała mu się sprowadzić do fabryki. Zatem to nie na-

miętność — i projekt niedorzeczny. Chciał ją zniechęcić.

— Zapewne pani sobie nie zdaje sprawy, jak wygląda fabryka mydła? To jest budynek pełen maszyn, walców i urządzeń specjalnych.

— Owszem. Byłam tam dzisiaj.

— Była pani?!

— Proszę mi wybaczyć! — wyciągnęła rękę do Edwina i mocno uściśnęła mu dłoń — przecie to tylko projekt, bardzo lojalny. Byłam. Powiedziałam stróżowi, że jestem dobrą znajomą właściciela — skompromitowałam pana. Stróż mnie wpuścił i obejrzałam. Jest tam taka kancelaryjka — i obok pokoik — i dalej nawet kuchenka.

— Ależ to, proszę pani, wszystko nam potrzebne, gdy fabryka jest w ruchu. A może być z dnia na dzień uruchomiona.

— A mnie mówiono, że nie... Tylko jeżeli pan uważa to za niemożliwe...

Przybrała wyraz dziecka, które chce się rozpłakać. Edwin jął perswadować przyjaźnie:

— Niech się pani zastanowi, panno Marusiu. Fabryka jest na krańcach miasta, w dzielnicy robotniczej. I nawet kiedy nieczynna, dla pani na mieszkanie niestosowna. A kiedy pójdzie, wszystko będzie napowrót szczelnie zajęte.

— Drugiego pokoju i kuchni nikt nie używał — są puściuteńkie. A w kancelarji tylko biurko

i kilka stolików; te mogłyby pozostać — snuła Malankowska swe marzenia zuchwalej, czując się już rozrzewniającą.

— Jakto? więc pani sądziła, że mogłaby tam mieszkać nawet, gdyby fabryka szła?

— Gdyby pan zechciał, mogłabym. Dość mam cygańskiego życia. Chcę pracować. Mogłabym być przy fabryce buchalterką.

Szaropolski przypomniał, że nawet takiej poszukiwał, gdy fabryka była czynna. Spoważniał a zarazem ożywił się — wpadł w swe naturalne, przemysłowo-handlowe usposobienie.

— To zupełnie inna materja. O tem można pomyśleć. Może wkrótce otworzę biuro handlowe w mieście. Wtedy poprosiłbym panią.

— Ale mnie tymczasem wyrzucają na ulicę!

— No, czyż nie mają pani rodziny? krewnych? na tymczasowe pomieszkanie?

— Z rodziną... nie jestem w dobrych stosunkach.

— Wreszcie hotel, albo pensjonat?

— A moje meble?

— Ach! ma pani meble. — —

— Mam. Zmieściłyby się w tamtych pokojach. Brałam miarę.

Wobec tak stanowczo uknutego zamachu Szaropolski zachwiał się. Powstał i przeszedł się w milczeniu po pokoju. Dłaczego właściwie

nie pomóc ładnej bliźniej w tych tarapatach? Na skład mebli znajdzie się zawsze miejsce przy fabryce.

— Jeżeli pani nie ma gdzie umieścić mebli, to proszę je przenieść do tego drugiego pokoju przy kancelarji i do kuchni. Dam odpowiednie rozporządzenie.

Malankowska powstała i wyciągnęła do Edwina obie swe wypieszczone dłonie:

— Ale mnie pan wcale nie chce? ani na lokatorkę ani na buchalterkę? — na nic? Tylko meble?...

Prąd elektryczny, płynący przez uścisk zacisniętych dłoni, był jednak silny.

— Jakże pani można... nie chcieć? Ale żeby dać pani stosowne zajęcie, trzeba pomyśleć — lepiej się poznać. — —

— Niech mnie pan pozna. Jam nie żaden Sfinks. Urodziłam się w ziemi cudzeńskiej, jestem szlachcianką, umiem tyle, co inne, znam francuski język. — —

— I angielski?

— Nie; po angielsku nie umiem, ale łatwo nauczę się, bo mam zdolność do języków.

— Przedewszystkiem jednak trzeba, abym ja wiedział, jaki mam warsztat pracy otwarty, bo inaczej nie mógłbym dać pani miejsca — rzekł Szaropolski poważnie, przerywając konwersację

niebezpiecznie figlarną i zapraszając ładną panią, aby usiadła.

— Niech się pan nie targuje i odnajmie mi te pokoje — nalegała Malankowska, już pewniejsza siebie.

— Odnająć nie mogę; mogę je dać pani tymczasem do użytku. Ale muszę się porozumieć najprzód z moim dyrektorem. Pani pozwoli?

Zatelefonował. Van der Winder był w domu. Szaropolski zapytał, czy nie zjawił się Mędrzecki i czy robotnicy nie skłaniają się do porozumienia. Nic podobnego — owszem na jutro zapowiada się strajk we wszystkich mydlarniach. Coraz lepiej! A o fasoli, o suknie niema wiadomości? — Niema. Dowidzenia panie van der Winder.

— Wiadomości są o tyle sprzyjające pani projektom, że fabryka nie będzie zapewne uruchomiona przed nowym rokiem. Ale z posadą wypadnie też poczekać — mówił rzeczowo, prawie chmurnie, niby ze zwykłym interesantem.

Malankowska wodziła za przechadzającym się po pokoju Edwinem swem mocnem, niebieskiem spojrzeniem, ale pan szef nie odpowiadał oczyma. Odezwała się więc nieśmiało:

— Zatem na jakich warunkach odstępuje mi pan to mieszkanie?

— Na żadnych. Pokoje są mi tymczasem niepotrzebne. Gdybym ich potrzebował, zawiadomię panią na kilka dni naprzód. Meble mogą znaleźć pomieszczenie i na całą zimę.

— To jednak dużo dla mnie warte, w mojem położeniu. — Ale przyjmuję, bo... bo to od pana — i serdecznie wdzięczna mu jestem.

— Bardzo proszę.

Spróbowała jeszcze rozgrzać rozmowę:

— Marusia otrzymała jałmużnę — i już sobie pójdzie.

— Ach, pani! — prosta uprzejmość, wynikająca ze zbiegu okoliczności.

Rendez-vous kończyło się najpospolitszą prozą przedpokojową. Szukanie lustra, zapinanie rękawiczek, parę frazesów, niegodnych wspomnienia. — — —

Gdy wyszła, Szaropolski rzekł głośno, uderzając się w czoło:

— Zdaje mi się, że palnałem głupstwo. — —

A potem dopiero, gdy pociągnął nozdrzami blakającego się w pokoju milego zapachu futer i dobrych mydeł, mruknął przez zęby:

— Smaczna dziewczynka.

*

*

*

W 48 godzin później, w tej samej ramie i o tej samej mniej więcej godzinie zadzwonił telefon. Szaropolski zgadywał, że to od panny Malankowskiej, i poczuł jakby wzmożoną sprężystość w nogach.

— Jestem. Szaropolski. — —

— Z komisji umundurowania.

— Aha — bardzo proszę — słucham.

— Nie możemy reflektować na sukno, które pan nam zaofiarował.

Edwin odskoczył nerwowo od aparatu i do piero po chwili zapytał:

— Czy mogę wiedzieć dlaczego?

— Sprawa została załatwiona w ministerstwie bez udziału naszej komisji.

— To może pomyłka? może da się naprawić? Wątpię, żeby ktokolwiek mógł zaofiarować lepsze i tańsze sukno.

— Nie da się naprawić, bo kupiono już inne sukno. Spóźnił się pan. Ma pan pecha, panie Szaropolski.

— A można wiedzieć, od kogo i po czemu panowie nabyli to inne sukno?

— To już nasza rzecz.

— Nie, panie, to publiczna rzecz.

— Nie będzie nas pan uczył...

— Dla mojej nauki pragnąłbym mieć odpowiedź na piśmie i otrzymać ją razem z mojem

podaniem, nadpisanem przez pana majora Grzmota.

— Niech się pan uda do komisji obrachunkowej.

Trzask — zamknęto telefon.

Szaropolski nie pamiętał, aby kiedy w życiu był tak wzburzony i tak niezdolny do wymierzenia sobie sprawiedliwości. Pójść natychmiast do owej budy przy Żalosnej i rozmówić się osobiście z podporucznikiem przebrany za księcia Józefa? — — Ale czy to on telefonował? Głos wydawał się innym, choć tej samej gardlanej tonacji. — Gdzie znowu ta zapilowana komisja obrachunkowa? I która godzina? — już po szóstej, biura będą zamknięte. — Jutro trzeba koniecznie dojść do wyjaśnienia sprawy, ale dzisiaj cóż pozostaje? — — dać w pysk telefonowi?

Wykrzywił się jak na mękach, bo mu się na śmiech zbierało zbyt gorzki. Chwycił płaszcz i kapelusz, aby wyjść na ulicę, ale nie miał postanowienia, dokąd ma iść i do kogo. Zdarzyło mu się to bodaj pierwszy raz w życiu. Nie pilno mu było nawet opowiedzieć swemu Holendrowi, jak się udała sprawa sukna. — — Oby przynajmniej fasola dopisała! — — Nie pożałował ani krewnych, ani znajomych, ani teatru; szukał tylko pomsty na tej przeklętej komisji umundurowania.

Ale idąc przez zimną i ciemną ulicę, ostudził w sobie zbyt ni ferwor. Dowieść im, że są nie-

dołęgami, albo czemś gorszem jeszcze — dowiedzie. I cóż z tego? Będzie miał tak zwaną „moralną satysfakcję“, która mu nie przywróci interesu z suknem, skoro kupili inne. —

Aa! gdyby zdołał wymieść z budy tych karykaturalnych Poniatowskich i Joselowiczów, stanąć sam na czele i poprowadzić, jak się patrzy. To byłaby rozkosz! — i pożytek — coś dla siebie i dla społeczeństwa. Mógłby użyć poparcia uprzejmego majora, który go przecie zapraszał. — Ale gdzie tam! Major Grzmot-Pofikalski pije zapewne dalej z kolegami, a tymczasem jemu, Szaropolskiemu, nowy jaki Żyd nogę postawi. —

— Zdaje mi się, że trzeba będzie wykreślić handel suknem angielskiem z listy moich przedsięwzięć. Sam nie mogę ani kupić w takiej ilości, ani rozprzedać kawalkami; całego stock'u niepodobna w Cudnie sprzedać komuś uczciwemu. — Tak — puszczam sukno w trąbę.

Sprawdził raz jeszcze tę kalkulację; nie znalazł w niej omyłki, ani wyrzutu sumienia: do handlu suknem nie był przecie specjalnie powołany, ani obowiązany. Dojdzie jednak, jak to było z jego ofertą, która, przyjęta w dwóch instancjach, po tygodniu okazała się — spóźnioną.

Uspokoił się trochę. Napił się herbaty w dużej kawiarni, która przepelniona była i wspa-

niale gwarna, chociaż dzień był srodze powszedni. Strzelił mu do głowy projekt wesoly:

— A gdybym pojechał do fabryki i zobaczył jak się rozlokowała w kancelarji panna Malankowska?

Natychmiast jednak zakazał sobie tej wybieczki, którą upozorować i wykonać było łatwo, ale niestosowność zawierała się w przeciwieństwie do przyjętej taktyki.

— Ona coś do mnie cierpi, jak to mówią. A ja do niej?... No, dlaczegożby nie? — — tylko to nie jest interes ani sercowy, ani handlowy — wogóle żaden interes.

Powracał tedy do domu, znowu do gazet, znowu do kominka, a miał jeszcze rozpoczęte jedno wyliczenie kosztu biura komisowo-handlowego, które chciał dzisiaj doprowadzić do końca.

Na chrobot klucza w zamku od mieszkania zjawiała się natychmiast kucharka, Florentyna, z oczyma zapuchłemi od płaczu.

— Co się Florentynie stało?

— Wszystkim nam się stało: i panu, i mnie, i właścicielowi i rządcy. — —

— Okradli nas?!

— Tak jakby. Mieszkanie nam zabierają, proszę pana!

Szaropolski zacisnął pięści.

— Co to znowu?!

— A przyszedli tu, proszę pana, było po szóstej, co tylko pan wyszedł; przyszło dwóch z czerwonej straży — jeden to miał wąsy, jak djabeł...

— Co mi tam wąsy! proszę gadać do rzeczy.

— Gadam, jak umiem — odparła kucharka urażona. — Przyszli, zapytali: czy pan jest? Mówię: niema. A czy pan jest w Cudnie? Mówię: jest. Nie wiem, czy dobrze powiedziałam, ale bałam się inaczej.

— No, dalej.

— Więc powiedzieli, żeby panu powiedzieć, żeby pan się zabierał do przeprowadzki, bo tu pojutrze o południu wprowadzi się kto inny. —

Florentyna przerwała, aby panu dać czas na okrzyk zgrozy, lub nienawiści, ale Szaropolski spojrzeniem utkwionem w posadzkę mierzył tylko przepaść, która mu się otwierała pod nogami. Ciągnęła dalej:

— Poszli potem do rządcy, a ja z nimi. Rządca to jest bardzo panu życzliwy; bronił, aż się zaindyczył, że to jest mieszkanie pańskie ojcowskie, bo i meble nieboszczyka tu stały; że to tera catralne — mówił — biuro dla pana interesów, jako ich pan ma dużo na mieście. A oni swoje: mieszkanie jest ich, bo tu trzy lata mieszkał Niemiec a po Niemcach bierze rząd — i tyle.

Szaropolski zapytał, czy rządca jest u siebie?

— Pewnie, że jest. — A tu te strażniki zostawiły dla pana papier.

Leżał rzeczywiście na biurku. Edwin chwycił go skwapliwie.

Ministerstwo Rewindykacji. Komisja Partycypacyjna...

— Aha, ta sama. Śmiałem się z niej temi dniami.

Na mocy rozporządzenia Ministerstwa za Nr.... zawiadamia się Szaropolskiego Edw...arda...

— To może nie ja? — — Ale gdzie tam! ulica — dom — numer mieszkania — te same.

...że lokal przez niego zajmowany, a zdawna przeznaczony dla użytku rządowego, ma być opróżniony do dnia... godziny...

Niemilosierny papier streszczał urzędownie to, co przydługo opowiedziała kucharka. Nie pora była spierać się, wytykać omyłki — trzeba było się wynosić. Szaropolski, który miał wpojone poszanowanie dla laseczki angielskiego constable'a, wiedział, że rząd nie może się mylić. Można go tylko obalić; ale nato tembardziej nie było czasu do pojutra.

Rzekł więc stoicznie do kucharki:

— Jutro od świtu zaczniemy pakować.

Sam jednak nie wiedział jeszcze, dokąd ma się przenieść i rozmyślał o tem do późnej nocy. Do pensjonatu pani Wilkołackiej? — otrząsał się ze wstrętu, a przytem nie załatwiał to sprawy mebli. Ten sam wzgląd przemawiał przeciw uloko-

waniu się w innym pensjonacie, lub hotelu... Krewni jego i bliżsi znajomi nie mieli do ustąpienia pokoiów, a wogóle Cudno było przepelnione i komisja „partycypacyjna“ grasowała, jak epidemja bez środków zaradczych.

Uderzyła go odrazu analogja jego losów z losami panny Malankowskiej, której przed paru dniami oddał mieszkanie przy fabryce. Ten paralelizm byłby zabawny, gdyby od tej chwili nie stawał się dramatycznym; naturalnym bowiem dla Edwina projektem byłoby przeniesienie się na czas jakiś do fabryki, gdyby jedyne tam mieszkanie nie było zajęte przez uroczą lokatorkę. Aby tam zamieszkać, trzeba ją było wyprosić od jutra, co się nawet sprzeciwiało warunkowi umowy, że w razie potrzeby Edwin wymówi mieszkanie na kilka dni naprzód. Tak chwilowe rozczulenie nad losem bezdomej bliżniej opłacało się okrutnie ofiarodawcy.

Przebierając w konjunkturach, około północy doszedł nagle do wniosku, że równoległość losów z panną Malankowską należy popchnąć aż do ostatniej konsekwencji — zamieszkać z nią razem w fabryce. Miał wrażenie, że jej to nie spłoszy, a sprawę będzie można urządzić przyzwyczajcie, chociaż z odcieniem komizmu. Dobył z biurka plan fabryki dokładny, z wymiarami. Obok walcowni był spory pokój, zwany zawijalnią, gdzie ubierano nowonarodzone mydło.

w ozdobne powijaki. Pokój - ten pachnął trochę ostro, ale można go było przewietrzyć. Nie był wygodny na stałe mieszkanie, ale możliwy na kilka noclegów; resztę mebli umieści się w kancelarji, lub gdzieindziej w pustej fabryce. Będzie to prowizorium krótkotrwałe, zależne od znalezienia nowego mieszkania w śródmieściu i od tego, jak się zachowa panna Malankowska wobec zmiany okoliczności. Może zechce się wynieść wkrótce? — W każdym razie jakoś się to urządzi.

Perspektywa coraz mniej przstraszała Edwina; znajdował nawet w niej pewną słodycz jak człowiek wychodzący z katastrofy kolejowej, który usiadzie, choćby w polu, lecz na bezpiecznem miejscu. Zapewne gdyby mu kto powiedział tydzień temu, że będzie mieszkał z panną Malankowską, odrzekłby: to mnie nie znasz! Ale gdy dzisiaj zmusza go konieczność, nie warto od niej uciekać, a nawet im prościej i jawniej wykona swój projekt, tem łatwiej przebaczy mu go całe grono wścibskich bliźnich. Sama zaś przez się rzecz nie jest bynajmniej wstydliva.

Gdy to ustalił, zasnął spokojnie, obudził się o świcie, ogłosił kucharce system pakowania rzeczy, zamówił furgon przewozowy, a o 9-tej zatelefonował do fabryki. Prawie bez zwłoki odpowiedziało niewieście „allo“ misternie modulowa-

ne. A więc już, gospodaruje tam, i od samego rana.

— Mówi Szaropolski.

— Ach, jakże mi miło!

— Dzień dobry pani — muszę zaraz z nią się zobaczyć.

— Mam przyjechać do pana?

— Nie; ja zaraz zjawię się u pani.

— Oczekuję z niecierpliwością.

Wsiadł w dorózkę i przejechał na ulicę Lubą.

Miał jeszcze w kieszeni klucz od kancelarji, więc przeniknął do niej bez niczyjej pomocy. Z sąsiedniego pokoju zamkniętego ozwał się głos wesoło podniecony:

— Zaraz, za sekundę będę gotowa.

Rozglądał się tymczasem po kancelarji, której nie poznawał. Drzwi i okna ozdabiały kotary „bleu électrique”; oprócz biurka, którego nie ruszono z miejsca, igrały po pokoju mebelki i graty wielobarwne; zapach politory i tytuniu, który tu dawniej panował, wygnany został przez perfumy Marusi.

Wkrótce i ona sama ukazała się w pseudo-chitonie, używanym zapewne na scenie do klasycznych tańców, który teraz służył wspaniale za szlafrok. Włosy jej bardzo jasne, przetkane metalicznymi płomieniami, niby palący się len, przystrajały ciężkim hełmem główkę radosną.

Szaropolski już chciał coś serdecznego rzec na pochwałę zjawiska, gdy uprzytomnił sobie swą kłopotliwą misję.

— Wie pani, że w ostatnich dniach zdarzyło mi się parę przykrych rzeczy?

— Jakie?! Proszę powiedzieć swojej bardzo życzliwej... lokatorce.

Trzymała go jeszcze za dłoń, podaną przy powitaniu.

— Odebrano mi mieszkanie — — kazano się wynosić razem z meblami. — Komisja partycypacyjna!

— Tak samo jak mnie! — to niesłychane!

Malankowska wzniosła ręce, jakby chciała klasnąć w dłonie, lecz zawiesiła ten ruch, wpatrując się uważnie w Szaropolskiego. Nie wyglądał zbyt tragicznie.

— Nic mi nie pozostaje, jak przewieźć meble do fabryki, a samemu...

— Rozumiem — wtrąciła szybko i niespokojnie — ja muszę stąd się wynieść? —

— Sądzę, że to nie konieczne — odrzekł Edwin flegmatycznie.

— Więc moglibyśmy tu pozostać oboje?!

— Zależy to od pani. Ja się rozlokuję obok walcowni, w zawijalni.

— Ależ to ślicznie! to idealnie! Nie rozumie pan nawet, jak mu jestem wdzięczna. — — —

Edwin rozumiał owszem, że panna Marusia tak bardzo się do niego przysuwa, tak chwytą go za ręce, iż wypadaloby jakimś odruchem czynnym odpowiedzieć na ten zapal. Ale zakazał sobie takiego obrotu sprawy, który uprzednio już przewidział, więc zakończył rozrzewnienia ceremonjalnym pocałunkiem w rączkę.

Pannie Marusi zaś roztańczyły się myśli i słowa:

— Ja panu proponuję tak: to będzie nasz wspólny salon. Usuniemy rzeczy niepotrzebne, a przy tej ścianie postawimy fortepian. To pański fortepian, który widziałam?

— Mój i nawet bardzo dobry. Ledwie go wydarłem z łap Niemca, który go przez trzy lata używał i chciał zabrać.

— Więc właśnie. Tu mu będzie dobrze, klawiaturą do światła. Zamiast tego biurka dębowego postawimy to, co u pana stoi, mahoniowe. Na miejsce mojej szyfonierki, którą wyrzucę, albo sprzedam, postawimy pański ładny zegar w szafce. Mogą stanąć i fotele skórzane — salon będzie bardziej męski. — Ale te kotary mogą nie pasować? — Zdejmujemy je i powiesimy tamte... Jakie są u pana, bo nie pamiętam?

— Takie... niby gobelinowe i tylko przy oknach. Ale pozwolę sobie być odmiennego zdania. Ja się przeniosę całkowicie do zawijalni, a może zajmę jeszcze inny pokój. Tu wniósłbym

tylko fortepian, bo to gmach i tamby się nie zmieścił.

— Jak pan każe; jestem posłuszna. Ale radzę nie pogardzać moją pomocą. Ja się panu przydam — mam czasem szczęśliwe pomysły. Znam się też na gospodarstwie kobiecem, o którym wy wszyscy nie macie pojęcia.

— Myślałby kto, panno Marusiu, że zakładamy wielki dom na długie lata. A to tylko prowiźoryczne, zanim nie znajdziemy czego lepszego.

Różowa gadulka przycichła i zadumała się:

— A przecie tu tak ładnie! — bzy kwitną. —

— Jakie bzy? gdzie je pani widziała?

— Te krzaki na podwórzu to bzy! Opowiadał mi stróż, że kwitną ogromnymi bukietami.

— Może być; nie znam jeszcze swojej niefortunnej posesji w maju. Tylko teraz grudzień i buda ponura, bo nie spełnia zadania, do którego jest przeznaczona. Dopiero pani wniosła tu nutę weselszą.

— Ach, jak jabym ją rozśpiewała!

Ponieważ Szaropolski nie odpowiedział, panna Malankowska przyczepiła do poprzedniego wykrzyknika zapytanie:

— Pan lubi muzykę?

— Bardzo; ale zaledwie rzepole na fortepianie.

— Ja gram nieźle, jak powiadają. Czy wolno mi będzie czasem zagrać? to panu nie przeszkadza?

— Owszem, sprawi mi przyjemność. Ale ja prawie cały dzień zmuszony jestem być poza domem. I teraz uciekam, bo czeka mnie przewóz mebli.

Wyniósł z tej porannej konferencji uczucie ulgi. Interesy finansowe szły źle, oczywiście, lecz dalekie były od katastrofy. Sprawę sukna porzucił bez strat pieniężnych, zmarnował tylko nieco zabiegów. Zlikwidował jedno mieszkanie, streścił się w drugim, we własnej posesji. Na tej posesji przy zbiegu ulicy Lubej i Zakątka zapisał wprawdzie cudzy serwitut, który mógł się kiedyś skomplikować, ale tymczasem był bardzo znośny. Jest przynajmniej do kogo się odezwać w godzinie życia, kiedy się poczuje, że biada człowiekowi samemu. Panna Marusia zapewne czuła to samo, gdy przyszła do mnie poskarżyć się. Trzeba tylko te zwierzenia i skargi trzymać na wodzy, a szczególnie nie dać nad sobą zapanować kobiecie... Znam takie przypadki. Mój przyjaciel Tom Dipstone zakochał się na śmierć w swojej Florry i od tego czasu przestał być człowiekiem czynu. Píše tylko wiersze. To nie dla mnie.

VII.

Grudniowe słońce, dawno nie widziane, wybrało się tego poranka na wędrowkę po Cudnie w paradnej szacie skrzacej brylantami, w puszystej szubie ze świeżego śniegu. Olśniło najprzód okna fabryki wyzierające na ulicę Zakątek; przekradało się już ukośnymi promieniami z Zakątka na Lubą, barwiąc tęczą palmy zamrozu na oknach zawijalni, w której spoczywał Edwin Szaropolski snem zrezygnowanego. Pryzmatyczny, jaskrawy promień padł mu na oczy i otworzył powieki.

Rozśmiał się — po części do wesołego poranka, po części z samego siebie, czuł się bowiem złożonym w fabryce współrzędnie do nieczynnych maszyn, a śnił właśnie przed chwilą, że mydlarnia szła całą parą pod naczelnem kierownictwem panny Marusi.

Zadzwonil i oczekiwał stróża fabrycznego, który przyoblekł nowy charakter kamerdynera. Ale zamiast ciężkiego chodu Marcina usłyszał za drzwiami truchcik trzewików kobiecych i dys-

kretnie zapukanie. — Co znowu?! — poruszył się żywo i przyglądał włosy rękami.

— Kto tam? — zapytał głośno.

— Pani kazała przynieść panu dzień dobry i kawę.

— Aha... panna Lodzia. Dziękuję. Proszę postawić tam kawę za drzwiami.

— Kiedy tu niema na czem.

— To proszę wejść. Chowam się pod koldrę.

Uchyliły się drzwi i fertyczna panna służąca weszła z tacą, postawiła ją na stole, poczem znikła pędem, prowokującym do pogoni. Edwin narzucił poranne ubranie i zabrał się do kawy, która okazała się wyborną, ze śmietanką, z masłem i ze świeżymi bułeczkami. Wkrótce zjawił się Marcin, niosąc dwa dzbany wody, zimnej i ciepłej.

— Czy Marcin już gdzieś komuś usługiwał?

— Ej nie. To pani tak mi wczoraj przykazała.

— Bardzo dobrze — tego właśnie potrzeba. A teraz niech mi kto wyczyści buty. Z ubranie sam sobie poradzę.

— Pani kazała zanieść wszystko do siebie. Panna Lodzia umie pucować na glanc.

— Niech i tak będzie.

Poczuł się wziętym w regularną opiekę. Śmiesznie byłoby od niej się bronić narazie, wypadło tylko w przyszłości zagwarantować swą

niezależność. Ubrał się metodycznie, następnie zasiadł do napisania paru listów.

Słońce tymczasem zaglądało coraz śmielej w szyby okienne, topiło na nich zamróz i odsłaniało widoki na Lubą, zasłaną dzisiaj świeżą bielizną śniegu, błękitniejszą w cieniach, a w świetle zaróżowioną delikatnym rumieńcem. Widać, że ulica została przezwana tak miłośnicie w jasny dzień zimowy, który ją przystrajał we wdzięki jędrnej, polarnej kochanki. Aż do pokoju dochodziło skrzypienie śniegu pod butami, ozwał się czasem głos ludzki ochoczy, lub szczekanie psa rozweselone. Edwin pisał szybko i składnie, czuł w sobie wartką zdolność do czynu, pomimo że chuchał w palce w niedogrzanym pokoju.

Wtem usłyszał kroki w kurytarzu, potem głos gderliwy pod samemi drzwiami:

— Gdzież nareszcie? — Tutaj? — także pomysł...

Bez uprzedniego pukania otworzyły się drzwi, przez które Marcin wprowadził stryja, Joachima, odzianego w szubę z poźółkłych szopów. Pierwszym odruchem Edwina było zadowolenie z odwiedzin; drugim — rodzaj obawy, ażeby coś niepotrzebnego nie wpadło w oko staremu mantyce. Zdejmując oszronione futro z chudych ramion Joachima, zlustrował swój pokój okólnem spojrzeniem:

— Tak daleko i w taki mróz! Trzeba było mi dać znać, a sam przyszedłbym do stryja.

— Chciałem przecie raz być u ciebie z rewizytą. A co do oddalenia — mieszkamy teraz bliżej od siebie — tramwajem numer 3 tylko 10 minut. I wolę tutaj — znienawidziłem środek miasta z siedzibami jego urzędów.

Edwin dawał się Joachimowi wydyszeć i nie przerywał mu, pragnąc wyrozumieć najprzód cel jego odwiedzin.

— Wygnali cię z tamtego mieszkania?

— Musiałem ustąpić.

— I fabryka stoi?

— Jak stryj widzi.

— I całą resztę djabli wzięli?

— Oprócz mnie, stryju. Mnie tak łatwo djabli nie wezmą.

— Wiem, żeś twardy. Jednak interesy poszły źle?

— Zawikłały się. — Widzę, że stryj zebrał o mnie informacje, bo już dawno nie widzieliśmy się, a stryj...

— No, był u mnie wczoraj Robert i opowiadał.

— Prawda! spotkałem Roberta podczas mojej przeprowadzki.

— Więc mi opowiedział — zaciął Joachim zęby na chwilę, a potem rzucił pytanie, bystro spo-

glądając w oczy Edwinowi: I podobno żenisz się?

— Ja?! — to już Robert wyssał z palca!

— Czasem tam on skomponuje, jak to wogóle w szlachetnym zawodzie aktorskim. Im się zdaje, że życie to rola; kiedy w niem czego nie wiedzą, albo zapomną, — dolżą. Ale wymienił mi Robert nazwisko. — No, jeżeli nie chcesz mówić, nie nalegam.

— Owszem, opowiem. Stryj mi jest najbliższy. Tylko to nie projekty małżeńskie, ale prawie operetka.

Opowiedział, jak się zlitował nad nieznajomą prawie, ale sympatyczną panną Malankowską, która z powodu rekwizycji mieszkania znalazła się na bruku; jak w parę dni później spotkał go los podobny i sprowadził pod jeden dach z tą panią.

Joachim nie brał rzeczy tragicznie, puszczał ją mimo uszu, nawet uśmiechnął się parę razy krzywo, swoim zwyczajem. Zaczął rozglądać się po pokoju.

— Ale mieszkasz niezbyt wygodnie — i nie umieściłeś tu chyba wszystkich mebli? — gdzież fortepian?

— Wstawiłem go tymczasem do kancelarii. Wszystko jest tymczasowe, stryju; potrwa to do nowego roku, kiedy ta pani się wyprowadzi, albo ja znajdę inne mieszkanie, albo, najlepiej —

sprzykrzy się robotnikom bezrobocie i fabryka ruszy.

Tymczasem Joachim przyglądał się pozostawionym na tacy rumianym bułeczkom. Poma-
cał jedną i wziął do ręki.

— Może stryj pozwoli kawy? Każę zaraz przygrzać.

— Dziękuję ci, pilem — ja tylko tę bułkę...

Skosztował raz i drugi.

— Skądże to dostajesz tak wyborne pieczywo w tej marnej dzielnicy?

— Właśnie przysłała mi je moja uprzejma lo-
katorka.

— No, no... A czy to ładna osoba?

— Dość nawet sławna piękność. Może ją stryj obejrzeć, jeżeli zechce. Pójdźmy do niej; będzie uradowana.

— I ty to wiesz z góry, że będzie uradowana? Zatem znasz ją nieźle?

— Bardzo mało. Ale jedno wiem, że ona chce mnie... jak to powiedzieć?... skaptować. Zauważyłem ten zamiar od pierwszego spotkania, a mówię stryjowi poprostu, jak mi się zdaje.

— Mniej mnie to wzrusza, czego ona chce, a dużo bardziej interesuje mnie pytanie, jak ty się zapatrujesz na przyszłość tej dziwacznej sytuacji?

— Zapatruję się... odpornie.

— To mi wystarczy. Wiem, że prawdę mówisz, i że nie jesteś lekkomyślny. Wiem również, że rady w materjach cudzych uczuć i zmysłów — to stracone gadanie. — Ja o czem innem chciałem się z tobą rozmówić.

— Słucham stryja — rzekł Edwin, zadowolony, że stary zapatruje się pogodnie na problematyczną sprawę współmieszkania z panną Marią.

— Słyszałem od Roberta, że wszystkie twoje przedsięwzięcia i interesy poszły krzywo?

— Co tam Robert wie! Ale tym razem zgadł poczęści, że parę interesów nie udało się w ostatnich dniach. Wina w tem nie moja, tylko fatalnego funkcjonowania urzędów.

— Przecie żeś to spostrzegł! — zawołał Joachim triumfalnie.

— Doświadczyłem na swojej skórze. Fabryka nie idzie, bo rząd, zamiast przeciwdziałać strajkom, usilnie je popiera, a w moim interesie z suknem żołnierskiem pewna instytucja rządowa zrobiła mi poprostu świństwo.

— I zrobią ci to samo na każdym kroku, póki będzie ten rząd Popsujów.

— Jest nadzieja, że wkrótce ustąpią.

— Z pewnością; bo to jest antyteza rządu, nierząd, postawiony chyba w celu dowiedzenia ad absurdum, jakim rządowi państwa być nie

wolno. Ale niewiadomo, jaki będzie rząd następny.

— No, wie stryju, żeby tak czekać z założonymi rękami aż póki rząd będzie idealny...

— Nie do tego namawiam, tylko ostrzegam, że, upierając się przy operacjach przemysłowo-handlowych pod takim rządem, jaki mamy, można zaprzepaścić fortunę.

— To może być dobrą przestrogą, ale nie dla mnie. Ja mojego majątku nie uszczupliłem.

— Więc nie poniosłeś strat poważniejszych w tej fabryce i z tem suknem?

— Nie, stryju. Nie mam dochodów od pewnego czasu, ale fabryka odnowiona i zmontowana warta sporo więcej nawet na doraźną odprzedaż, niż cena mojego kosztu. A sukna nie kupiłem, straciłem zatem tylko trochę czasu na zabiegi i na korespondencję.

— To się bardzo cieszę, Edwinku. I tem bardziej utwierdzam się w projekcie, który mam ci do przedstawienia.

— Ciekawym.

— Musisz sobie stworzyć warsztat pracy najmniej zależny od teorji i humorów dzisiejszego i jutrzejszego rządu.

Edwin słuchał rzeczywiście z zaciekawieniem.

— Sprzedaj fabrykę, włóż kapitał, jaki masz, w jedyny warsztat pewny, w jedyną wartość niezmienną: kup ziemię.

Zawodowy aferzysta spodziewał się innego pomysłu:

— Ej, stryju, to nie dla mnie. Agronomem nie jestem, nie lubię powolnego ciulania grosza ze straganu pełnego produktów spożywczych. A i tam przecie są strajki rolne, przypadki atmosferyczne, fluktuacja cen ogromna i prawie nie do przewidzenia...

— To załóż gospodarstwo przemysłowo-rolne — bronił Joachim swego projektu nieustępliwie — zbuduj fabrykę odpowiednią do produkcji roli — — Możesz nawet wyrabiać mydło z własnego łoju...

— Wpadłbym znowu w generalny strajk mydlarzy.

— Wymyśl przetwórnę, gdzieby pracowały same kobiety, mniej skłonne do strajków. Produkuj tytuń i wyroby tytuniowe... Już ty tam potrafisz, boś obrotny chłopiec.

— Widzę, że stryj przestudjował różne wzory roboty dla mnie. Ale jest i wzgląd inny: nie lubię wsi, chyba na krótkie przejażdżki w lecie. Całe życie spędziłem w miastach.

— A przecie spokojność wiejska, jak była pierwotnem, będzie też ostatecznem przeznaczeniem ludzkości — jak kolebka i grób. Daj mnie kawał ziemi własnej do uprawy, a odżyję jeszcze na lat kilka. — — Nie lubisz wsi? to nie-

podobieństwo! Nie znasz jej chyba? — — A są inne jeszcze względy, dla których można wieś pokochać — gdy to naprzykład jest wieś rodzinna... rodowa... gniazdo, z którego rozleciały się ptaki na szeroki świat — głos Joachima nabierał tonów Edwinowi nieznanych. — Mam wiadomość, że jest na sprzedaż Znojno, które należało do twego pradziada Stanisława Szaropolskiego.

— Znojno? — — tak, słyszałem o tej legendzie od mego ojca — zadumał się Edwin.

A Joachim, sądząc, że przebił nareszcie pan-cerz, otaczający serce młodego krewniaka, perswadował zapalczywie:

— Majątek jest już znacznie okrojony i w średniej kulturze. Dwór w niezupełnie dobrym stanie, ale jeszcze z owych czasów. Budynki folwarczne wystarczające. Właściciel, stary już i schorowany, chce się przenieść do miasta i nie będzie żądał ceny wygórowanej. Ziemia zaś kapitałna, lekka glina, gdzieśniedzie nawet z marglem. Proszę cię, na tej ziemi sieją naprzykład mak bez nawozu....

Tu wtargnął do pokoju, bez pytania, stróż Marcin.

— Pan dyrektor chce się widzieć z panem... szefem. Ma pilny interes.

— A niechże go! — zachnął się Joachim nerwowo.

— Co? czy stryj go zna i nie lubi? To mój pomocnik, van der Winder, Holender, człowiek zaufany.

— Wiem! rozumiem! wołaj go, wołaj!

— Będziemy mieli czas na dokończenie rozmowy. Ja się z nim prędko rozprawię.

— Poproście tego pana! — zawołał niecierpliwie sam Joachim.

Wszedł van der Winder spokojny, ukladny, wygolony. Edwin uprzedził go odrazu, że może mówić swobodnie w obecności stryja Joachima Szaropolskiego.

Holender skłonił się grzecznie Joachimowi, poczem ogłosił:

— Panie szefie — fasola przyjechała.

— To dobrze — uśmiechnął się Edwin.

— Niezupełnie dobrze, bo tutejsze władze nie chcą jej puścić ze stacji pogranicznej, gdzie zatrzymano wagony.

— A to co znowu? czy mamy płacić cło wwozowe?

— Nie; fasola wogóle wolna jest od cła. Ale robią inne utrudnienia; mówią, że czarna fasola to aliment nieznany i może być szkodliwy.

— Co to za czarna fasola? — zainteresował się Joachim, który dotąd milczał nadąsany.

— Czarna fasola brazylijska, stryju. Spro-

wadziliśmy jej spory ładunek z Amsterdamu, via Gdańsk.

— I Gdańsk przepuścił ją transito do Cudna, tymczasem na pierwszej stacji cudzeńskiej — formalny areszt — dodał van der Winder.

— Cóż to za drwiny? Brazylijska fasola znana jest ze swych zalet — zawołał porywczo Joachim.

— Produkt wyborny, szanowny panie. Zawiera azotu części...

— Wiemy już, wiemy, panie van der Winder. Ale trzeba im było w tej... komisji, czy jak tam? — dać próbkę fasoli, którą posiadamy; niech ją wypróbują na królikach, albo na sobie, czy jest trująca.

— Uczynilem propozycję podobną, panie szefie. Ale otrzymałem odpowiedź... dziwną. Czy mogę mówić z całą otwartością?

— Ależ nie inaczej!

— Zażądali, abym im oddał dziesięć centnarów — wyraźnie: dziesięć, dla wypróbowania tego alimentu na szerszych masach ludności. To mi się wydało uciążliwem ze względu, że taka ilość stanowi już namacalny procent całego transportu — i wogóle, że się tak wyrażę — niezrozumiałem.

— Ależ to są bandyckie drwiny! — zawołał Joachim.

— Ja tego nie powiedziałem, szanowny panie
Mówię tylko...

— Nie dam im ani ziarnka i doprowadzę mo-
ją fasolę na rynek cudeński — rzekł Edwin, por-
wawszy się z miejsca — żebym miał iść do sa-
meo Namiestnika!

Joachim już także zapalał chęcią pogneńbienia
lupieżców:

— Poczekajcie! Może ja zdołam wam po-
móc. Znam dobrze Dra Baleję, profesora chemji
przy uniwersytecie. To jest nawet lewicowiec,
ale człowiek uczciwy i powaga naukowa. Niech
on zaświadczy, z całym fakultetem, że fasola bra-
zylijska, której próbkę dołączymy, jest alimen-
tem zdrowym i wielce potrzebnym dla ogłodzo-
nego Cudna. Zadamy tym panom bobu z pie-
przem. Dajcie mi tę próbkę.

— Pozwolę sobie zauważyć — rzekł van der
Winder — że pomysł szanownego pana jest do-
skonale, gdyż pokieruje sprawę na drogę oświa-
tową; nauczy tych panów botaniki i chemji orga-
nicznej.

— Ale kraść oduczą się dopiero w więzieniu
— odmruknął Joachim, zadowolony jednak
z aprobaty Holendra.

— Jeżeli więc stryj tak łaskaw — rzekł Edwin
— niech zaraz nas zaproteguje do profesora Ba-
lei, bo fasola gotowa nam zapleśnieć, albo i wy-

sypać się z wagonów. Wszystkiego można się spodziewać po tutejszych porządkach.

— Już to porządki są... niewyraźne — odezwał się znowu dyrektor. Mam jeszcze świeży dowód. Polecił mi pan szef zbadać, jakim prawem nasza oferta angielskiego sukna została odrzucona po formalnem jej przyjęciu.

— Otóż właśnie. Dowiedział się pan?

— Jakim prawem — dotychczas nie mogłem dociec. Ale mam stwierdzone fakty. Komisja umundurowania nabyła sukno niemieckie po 15 marek za metr od cudeńskiego kupca pana Rosendufta.

— Piętnaście marek! Rosenduft! — ależ to pierwszorzędny skandal! — oburzał się Edwin.

Joachim poprosił znowu o bliższe objaśnienia, więc opowiedziano mu szczegóły sprawy: sukno angielskie, wyborowe, zaofiarowane zostało po 7 marek za yard, przyjęte przez wyższego urzędnika intendantury, a w pięć dni potem zakupiono sukno niemieckie, zapewne gorsze, po 15 marek za metr, czyli dwa razy drożej, i to od Rosendufta, osławionego paskarza.

— Tak — orzekł Joachim spokojnie — to jest jeszcze jeden kryminał urzędowy. Czy panów to dziwi?

— Trzeba opublikować! interpelować u ministra! — twierdził Edwin zapalczywie.

— Można, ale na nic się nie zda; kruk krukowi oka nie wykole. Masz tylko nowy dowód, że dawałem dobrą radę względem tego... cośmy tu mówili.

Grzeczny Holender, skoro tylko zmiarkował, że Szaropolscy chcą mieć jakieś porozumienie na osobności, zapytał Joachima, gdzie ma przesłać próbkę fasoli i powstał, zamierzając już się pożegnać.

— Niech mi pan da tego garść — wystarczy — profesor Baleja nie zażąda dla siebie ani kwarty.

— Nie wątpię, szanowny panie.

I po zanotowaniu adresu Joachima, oddalił się.

— Wygląda na porządnego człowieka ten twój Holender — zauważył Joachim.

— Fachowiec, silny pracownik i nieskazitelnej uczciwości; znam go jeszcze z Londynu.

Natychmiast powrócił Joachim do przerwanej rozmowy o Znojnie. Zachwalał gatunek ziemi, położenie bliskie od kolei żelaznej, urok pewnego gajku na wzgórzu, łatwość nabycia folwarku z powodu długu Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i paru innych, które mogą pozostać na hipotece. Przyznał się, że był tam parę razy w życiu, lecz nie zajeżdżał do dworu, tylko krążył zdaleka, oglądając tę siedzibę i zadając sobie pytanie, czy też który z Szaropolskich odzyska

kiedy stare gniazdo? Dla siebie go nie mógł po-
żądać, bo całe życie szło mu jak po grudzie i nie
zaznał nigdy błogości zadowolonego spokoju...

Edwin nie znał stryja takim lirycznym, ani
przemawiającym tak jakoś błagalnie. Zwykle
narzucał on swe zdania i rady despotycznie,
a gdy kto go nie słuchał, okazywał opornemu
wzgardę, albo i wyrzucał go za drzwi. Może
stary ma w tym projekcie i cel uboczny osobi-
sty? Może się spodziewa, że w Znojnie, naby-
tem przez krewniaka, znajdzie nareszcie pomiesz-
czenie dla siebie, według swych upodobań. Wcale
to nie oburzało Edwina, godziłoby się nawet
z jego zamiarami w razie, gdyby się zdecydował
osiąść na posiadłości wiejskiej. Ale wcale nie
był przekonany do projektu, tak mało zastoso-
wanego do jego usposobienia i do studjów.

— W każdym razie to projekt nie na dzisiaj,
kochany stryju. Trzeba najprzód zwyciężyć
trudności, z którymi zaczęło się walczyć. A tak
przerzucać się? — — iść po linji najslabszego
oporu?

— Piękne zasady, ale tymczasem folwark kupi
kto obcy.

— Znajdzie się inny folwark.

— Ale nie Znojno.

— Zapewne. — — Wie stryj, że ja nie jestem
tak przyrośnięty do roli i jej tradycji, jak wy tu

wszyscy. Nie mówię jednak, abym uważał projekt za niemożliwy. Wezmę go pod rozwagę. Tymczasem mamy na dzisiaj inny, drobny projekt.

— Ach, ta fasola! — pośpieszę.

— Nie; jeszcze stryj nie ma próbki; van der Winder przyśle ją zapewne około południa. Ale tutaj — obok — czy stryj nie zechce poznać tej, którą Robert już ogłosił za moją narzeczoną?

Joachim już dawno przestał być szarmantem — i propozycja nie zelektryzowała go. Jednak przez wzgląd na synowca zapytał z udanem zajęciem:

— Powiedz mi najprzód trochę, kto to jest? czem się zajmuje?

— To Robert stryjowi nie powiedział?

— Nie. Nazwał ją tylko — panna Malankowska, o ile pamiętam. Przerwałem tę rozmowę, bom chciał od ciebie samego usłyszeć.

— Panna Malańkowska jest tancerką bosą.

— Co takiego?? — skrzywił się Joachim po swojemu, zgryźliwie i wyzywająco.

— No, czyż stryj nie słyszał o niej, albo o innych, których sporo jest na afiszach i w gazetach? — o takiej Izadorze Duncan? — o tych reformatorkach tańca, który przez rytm i wymowę ruchów może wyrazić bardzo subtelne serje uczuć? — Taniec po czasach greckich jest

sztuką zagrzebaną, zwyrodniałą; te panie starają się ją podnieść znowu do wysokiego artystycznego poziomu.

Joachim słuchał z rosnącą zgrozą:

— A tobie co do takich sztuk łamanych? Tobie, który świata nie widzisz poza przemysłem i handlem?

— Mnie to mało zajmuje; i tę koryfejkę poznałem przypadkiem i przypadkiem z nią zamieszkałem, jak to stryj już wie. Ale sądziłem, że właśnie stryj, mając dużo wspólnego z literaturą i sztuką...

— Nie podrzywaj ze mnie. Mogłem ja się zajmować tylko drobiazgami literatury i sztuki, ale mieć w sobie... coś więcej — i dobrze różniać rzeczy wielkie od małych.

— Ani mi w głowie powstały drwiny; tylko nie rozumiem, dlaczego stryj nie uznaje powołania tancerki artystycznej, która musi być i bardzo muzykalna — co stryj ceni — i pięknie narysowana — co stryj zapewne też chętnie kobiecie wybacza?

— Mówmy rzeczowo, bo widzę, że wpadasz w ferwor. Czy sądzisz, że taka panna, która pokazuje na scenie swe linje dla miłości sztuki, może być kandydatką na żonę?

— Na czyjaś żonę — zapewne; ale nie na moją, jak już o tem stryja zapewniłem.

— Dobrze. A czy myślisz, że ta sama panna może być dobrą przyjaciółką bez sakramentu?

— Dlaczegożby nie? Zależy to od indywidualności kobiety; żadna nie rodzi się tancerką, ani aktorką, tylko nią zostaje z przeróżnych przyczyn. Naprzykład panna Malankowska jest ładna, uprzejma, dużo ma kobiecego wdzięku — i chociaż nie zamierzam do niej się zalecać, mogę sobie wyobrazić, że byłaby z niej towarzyszka przyjemna.

— A ja ci mówię, że z każdą kobietą, która zaznała sceny, a szczególnie z taką, która osiągnęła już na niej powodzenia i hołdy, nie warto się wiązać jakimkolwiek uczuciem. Mam pod tym względem smutne doświadczenia.

Dopiero teraz Edwin przypomniał o niefortunnym małżeństwie stryja i zrozumiał jego uprzedzenia do aktorek. Przycichł tak wyraziście, że Joachim zgadł jego myśl i na nią odpowiedział:

— Sądzisz, że wyprowadzam morał z mojej własnej historii? Nie z tej jednej. Przez kilka lat, niestety, siedziałem w kulisach, w gotowaniach i w aktorskich knajpach. Mężczyźni w teatrze psują się także; nabierają sztuczności, a zatem i nieszczerości w manierach, w uczuciach, w sposobie myślenia. Ale czasem który potrafi jeszcze ocalić swą indywidualność. Ko-

biety — glina delikatniejsza, lecz miększa — psują się wszystkie. Niekoniecznie pod względem obyczajów — zdarzają się aktorki wierne mężom lub kochankom — tylko podleje w nich krużec przyrodzony. Udawanie i naśladownictwo, które jest tworzywem ich sztuki, przechodzi w nałóg. Stają się nieszczeremi względem innych, względem samych siebie, względem całego życia. Chorobliwie czule na oklaski, na recenzje, na opinie ciasnego koła, w którym depcą, zapominają, co to jest właściwie godność ludzka, zadowolenie z życia i pożytek życia. Wiecznie się mają za niedocenione; pomaga im to poniekąd, jako bodziec, do postępów w technice i w karierze aktorskiej, ale czyni je niezdolnemi do wszelkich innych powołań kobiecych. Aktorka poświęci bez wahania męża, kochanka, nawet dziecko „dla sztuki“. Możliwy to podziwiać, gdyby hasło „dla sztuki“ było szczerem. Ale to znaczy w języku sprawiedliwym: niech sobie giną z zawiadzioną miłością, lub z nędzy, bylebym ja była piękna i oklaskiwana. Wolno każdej istocie ludzkiej być samolubną, ale wolno też oświeconemu mężczyźnie strzec się zadurzenia w aktorce.

Edwin zasłuchał się w prelekcję stryja; gdy się ta urwała, rzekł dopiero:

— Musi to stryj wiedzieć i cenę jego zdanie. Ale panna Malankowska nie wydaje mi się taką.

Uprawia sztukę bardzo specjalną, przytem muzykę — gra podobno koncertowo...

— Każda, która stanęła przed rampą, w przebraniu, choćby w roli trzeciej dziewczyny z tłumu, jest już aktorką. — Nie mówię o talencie, lecz o zakażeniu psychiki adeptki. Każda, która poczuje tak zwane „powołanie sceniczne“, jest już dla życia normalnego stracona.

— Stryj chyba mówi żartem?

— Takim żartem, że jest w nim nie połowa, lecz dziewięć dziesiątych prawdy.

— To już stryj dla zawodu aktorskiego nie-miłosierny.

— A ty byś chciał, żebym przyklasnął twoim zamiarom względem panny Malankowskiej?

— Żadnych zamiarów nie mam, jak już powiedziałem. Prowadziłem dyskusję tylko akademicką.

Przerwała się rozmowa bez zadowolenia obu stron. Joachim przekonał się, że Edwin słucha jego rad i namów zaledwie z uszanowaniem, lecz nie da sobą kierować; Edwin doszedł do spostrzeżenia, że stryj ma trochę za starożytne pojęcia o życiu i ludziach. Obaj jednak nie chcieli osłabić swych przyjaznych stosunków, pożegnali się więc uprzejmie, nie potracając już o punkty sporne. Joachim przyrzekł zająć się natychmiast

sprawą fasoli, Edwin obiecał odwiedzić stryja w dniach najbliższych.

Przez okno, które już opłynęło z zamrozu, widział Edwin część swego podwórza i zobaczył przechodzącego tam stryja w poślizgniętych szopach i wyświechtanej czapce, z twarzą zbolalą od długiego niedosytu pragnień, przebierał stary dość mozolnie nogami po oślizgłym bruku. Już chciał Edwin dogonić go i odprowadzić choćby do stacji tramwaju, ale przypomniał, że stryj nie lubi, żeby mu pomagano, jak niedołądze, i zapewnia, że sam dobrze jeszcze daje sobie radę.

Wartoby staremu zapewnić jakieś lepsze mieszkanie i osłodzić resztę życia — pomyślał Edwin — ale nie idzie za tem, żebym kupował Znojno i uwięził w niem cały swój kapitał. — Co zaś do panny Marusi — darmo stryj tracił swą wymowę. Aktorka, czy nie aktorka, żadna kobieta nie zapanuje nade mną. Dostateczną nauką jest mi mój przyjaciel, Tom Dipstone.

Zajrzał tylko na chwilę do swej lokatorki, wychodząc na miasto, podziękował jej za wyborną kawę i oświadczył, że cały dzień spędzi poza domem, dla ważnych interesów.

VIII.

Teraz już Szaropolskiemu, z jego rozległych przedsiębiorstw pozostała sama tylko czarna fasola. Obronił ją dzielnie i skutecznie. Ukazał się niebawem w dziennikach artykuł profesora Balei, zachwalający ten produkt, a do komisji skombinowanej (transportowo-celno-kwalifikacyjnej), która zatrzymała wagony, zaniósł van der Winder formalne świadectwo fakultetu o niewinności i zacności czarnej fasoli, poczem sam udał się na stację pograniczną, wydebil przepustkę dla wagonów od urzędników, którzy obrzucili przekleństwami Holendra i fasolę, przyczyniającą tyle hałasu. Gdy transport ukazał się już na rynku w Cudnie, niektóre dzienniki lewicowe umieściły w „dziale ekonomicznym” ostrzeżenia, że czarna fasola, chociaż jadalna, zdatna jest tylko na paszę dla bydła i dla burżujów. Pomimo to rozchwytywał fasolę nawet proletarjat, a paru wybitnych jego obrońców porobiło sobie z niej znaczne zapasy na zimę.

Naogół bitwa o fasolę została przez Szaro-

polskiego wygrana. Ale reszta jego przedsięwzięć utknęła z przyczyn już znanych i nie można było marzyć o rychłym wznowieniu, lub o rozpoczęciu czegoś nowego, gdyż zbliżał się tak zwany „okres świąteczny“.

Zwyczaj, namiętność i prawo świętowania należą do najcenniejszych swobód obywatelskich w Cudnie, ugruntowanych tak mocno, że ich żaden z przemijających kalejdoskopowo rządów nie próbował nawet ruszyć z miejsca. Rząd Wichrowatego, acz bynajmniej nie katolicki, uszanował obserwację wszystkich świąt kościelnych, z „drugimi“ i „trzecimi“ dniami i świąt państwowych, jak dzień świętego Lenisława, św. Jacka z pierogami, świętego Wita z tańcem, oraz popierał obchodzenie przez ucztę i bezrobocie wesółych obrzędów pogańskich: Kolady, Śmigusa, Wianków i t. d.; dodał jeszcze do tabeli świąt dzień 1 maja i dzień obrzezania Karola Marxa.

Ale wielki okres świąt na przelomie starego z nowym rokiem przechodził wszystkie inne świetnością rozleniwienia społeczeństwa. Już od dziesiątego grudnia umysły były zelektryzowane przygotowaniem prowiantów na wigilję i podarunków gwiazdkowych, a ręce, jeżeli które rażyły coś robić, odkładały cięższą część roboty na czas nieokreślony, na „po świętach“. Biura

urzędów skracaly stopniowo dzien pracy do sześciu, czterech, aż do trzech godzin i pełne były gawędy o „frajdach“, „wsuwaniach“, „rybkach“ i wypitkach, projektowanych na święta. Na poczcie i telegrafie pracowite panny przyjmowały nerwowo, prawie z oburzeniem, listy i depesze od publiczności, przerywające im czytanie listów do nich adresowanych, a mogących sprowadzić doniosłe przewroty egzystencji podczas świąt. Cudno drżało agitacją bachiczną i buntowniczą. Błyszczało na ulicach od zagadkowo wyiskrzonych oczu.

Szaropolski, oglądając po raz pierwszy męskimi oczyma nastrój świąteczny w rodzinnem mieście, podejrzewał zrazu, czy nie zanosi się w niem na strajk powszechny? Nie mógł bowiem doprowadzić do skutku niektórych zamiarów, które przywykł uważać za tak łatwe, jak nakręcenie zegarka. — Zamówił u szewca parę trzewików, zastosowanych do cudeńskiego klimatu i stanu bruków; miały być gotowe 20 grudnia. Na ten sam dzień obiecano mu założenie drugiego telefonu w fabryce, w zawijalni. Ale w dniu terminowym dowiedział się, że na oba wyniki trzeba będzie poczekać jeszcze długo, gdyż zarówno szewcy, jak monterzy już świętują, powrócą zaś do warsztatów po Trzech Królach. — Otrzymał list z Anglii, który wędro-

wał trzy tygodnie, a ponieważ wymagał szybkiej odpowiedzi, Szaropolski posłał Marcina po południu z depeszą do urzędu telegraficznego. Jednak Marcin nie mógł wysłać depeszy, bo telegrafisci otrzymali tego dnia ulgę w pracy od południa „na zakupy przedświąteczne“.

Po tych doświadczeniach Szaropolski odczuł cały rygor przykazania „pamiętaj, abys dzień święty święcił“, rozszerzonego w Cudnie na okres dwóch do trzech tygodni.

Gdy spotykał na swej drodze ciężkie zapory, Edwin miał zwyczaj zatrzymywać się badawczo i śledzić, przez jaką lukę te zawalidrogi mogłyby przepuścić jego zamiary. Taki był dotychczas jego stosunek do istniejącego w Cudnie rządu. Tutaj się jednak w swych kalkulacjach przeliczył — rząd cudeński był zawalidrogą prawie nieprzepuszczalną. Teraz, wobec wybuchu epidemii świętowania, Szaropolski uznał, że nic mu nie pozostaje do czynienia w dziedzinie praktycznej; zapragnął więc użyć przymusowy okres świąteczny na korzyść swych zasobów intelektualnych, na pomnożenie swego „oczytania“.

Jak nie zapomniał na obczyźnie ojczystej mowy, której stale używał w rozmowach z ojcem i studjował teoretycznie, tak też i literaturę krajową znał nieźle, zwłaszcza w jej arcydziełach. Ale zaledwie była mu znana literatura naj-

nowsza, rosnąca, jutrzejsza. Przed paru miesiącami, gdy tu przyjechał, trafił do klubu młodych poetów, których nie znał ani z nazwiska, ani z utworów, a to, co usłyszał — wprawdzie tylko żartobliwe piosenki — wydało mu się ciekawem do zbadania, nie tyle jako literatura, lecz jako tendencja.

Widywał po wystawach księgarskich tomiki, wierszem i prozą, panów: Wurma, Promieńskiego (właściwe nazwisko Hinterstrahl), Ludomira Burzy (właściwe Pawła Bzdury), hrabiego Zawiszy i Franciszka Dzionka (dwa ostatnie przypadkiem prawdziwe nazwiska). Żadnego z tych autorów nie czytał, a każdy napisał po kilka i kilkanaście tomów; odczytanie tego wszystkiego i wielu innych książek, o których Edwin nic nie słyszał, przekraczało jego zapas czasu i odwagi. Prosiłby kogoś o wybór, ale jedynym z jego bliskich, który mógłby to uczynić, był Joachim, a on jak zacznie wszystko chłostać językiem i nicować według swoich kanonów — skończy się na tem, że doradzi tylko odczytanie starożytnych autorów. —

Tak przewidywał Edwin. Poszedł więc prosto po radę i po książki do największej księgarni cudzeńskiej Wołka i Modlińskiego. — Ale właściciele byli niewidzialni, dla wielu prawie legendarni, zamknięci w „splendid isolation“

gabinetu szefów. Szaropolski długo przebijał się przez tłum nabywców książek „gwiazdkowych”, dybiąc na pracownika księgarni, którego fizjonomja roztropna i uprzejma wzbudzała zaufanie. Nareszcie pracownik, ocierając pot z czoła, zwrócił się sam do Szaropolskiego:

— Czem możemy panu służyć?

Edwin rozpoczął od wylegitymowania się:

— Proszę pana, jestem Cudnianinem, powracającym do ojczyzny po ćwierci wieku przebytej zagranicą — i nie znam najnowszej naszej literatury.

— Jest nato rada, rozłożona na stole, przy którym stoimy — zatoczył księgarz szeroki gest nad ladą, upstrzoną stosami nowych wydawnictw.

— Możeby mi pan jednak poradził, co wybrać?

— Z beletrystyki? — Są nowe rzeczy Zawiszy, Wurma, Ady z Domosławic!

— Co to za autorka? — nie słyszałem.

— Pseudonim pani Fajgenwurcel — nie nasze wydawnictwo — ale dużo tego żądają. To są... dość śmiało erotyki.

— O, nie! dziękuję. — Czy nie macie panowie jakiego nowego, systematycznego przeglądu najnowszych autorów, z nawiązaniem ich twórczości do dawniejszej? — jakiegoś dzieła, któreby mi oświetlilo nowe prądy?

— W tym rodzaju mogę polecić panu dzieło najświeższe, szeroko omawiane w prasie. To jest tom profesora Wahadłowskiego p. t. „Przeblyski“.

— Zechce mi pan zatem zapakować te „Przeblyski“ i po jednym przynajmniej typowym utworze najnowszych autorów.

Ze sporą paczką książek powrócił Szaropolski do swego mieszkania przy Lubej, ale zanim zabrał się do czytania, umyślił sobie porozmawiać z panną Malankowską właśnie o tych młodych pisarzach, których ona sporo znać musi. Temat neutralny i zachowanie przynajmniej grzeczności sąsiedzkiej.

Zastał pannę Marusię w towarzystwie Roberta Szaropolskiego, co go bynajmniej nie zdziwiło, bo i wtedy, w kawiarni „A rebours“, gdy poznał artystkę, zauważył, że obcowала z „Bertkiem“ po koleżeńsku. Ale zawahał się, czy zacząć mówić o zamierzonym temacie, gdyż zdania Roberta nie bardzo był ciekaw. Ponieważ jednak sąd panny Marusi o literaturze i sztuce był także dla niego zagadką, — zdecydował się wnieść tę kwestję na forum, jakie się zdarzyło. Pozna przynajmniej, jak się zapatruje na te produkcje przeciętna publiczność.

Rozwinał zatem paczkę i rzekł:

— Kupilem sobie samemu podarunek na gwiazdkę.

Tancerka i aktor zaczęli pokolei chwycić tomy i oglądać tytuły.

— To znam; wybitna książka.

— To mi się mniej podoba.

— Jakto, pani? — było przecie drukowane w „Głosie cudeńskim“.

— Zapewne... ale...

— Oto jest dobra rzecz: cała kwintesencja Wurma.

— I Zawisza, chociaż hrabia, ma talent.

— Udaje — wtrącił złośliwie Robert.

— A to jest śliczna książka! — zawołała Marusia — „Moje zanadrze“ Ludomira Burzy. Mam ją z podpisem autora.

Gdy doszło do studjum „Przeblyski“, panna Malankowska odezwała się, zmierzyszy grubość tomu ruchem, jakim się trzaska talją kart do gry:

— Ach, to są te „Przeblyski“? Dużo o nich mówią.

— Miałem ten tom w ręku — dodał znacząco Robert.

Z obu orzeczeń Edwin wywnioskował, że oboje o dziele profesora Wahadłowskiego nie mają pojęcia. Ale resztę, jak widać, czytali;

chciał zatem wywołać obszerniejsze omówienie ich wrażeń:

— Ja zaś nie mam pojęcia o żadnej z tych książek.

— Jednak wybór jest trafny.

— Uczynił go dla mnie starszy pomocnik firmy „Wółk i Modliński“.

— Znam go; bardzo inteligentny człowiek — zapewnił Robert.

— Cóż zatem państwo możecie powiedzieć o całej tej grupie młodych?

— Ach, to są tak różne indywidualności; — odpowiedziała Marusia.

— To dobrze, bo nie mieliby talentu, gdyby byli jeden do drugiego zupełnie podobni, a przynajmniej jeden z nich tylko mógłby mieć talent. Ale wogóle, czy są to zwolennicy jakiejś dawniejszej szkoły, czy przewrotowcy? Czy znaczą coś, razem wzięci?

— Panie Edwinie... cóż ja mogę panu powiedzieć? Są młodszy, żywsi, bardziej zastosowani do nowożytnych potrzeb...

— Już zatem czegoś się od pani dowiedziałem. — A ty, Robercie, co o nich sądzisz?

Robert od chwili przybierał pozę oratorską. Teraz odezwał się, wyłamując ozdobnie dłoń prawej ręki, opartej łokciem o kolano:

— Widzisz, Edwinku, o nowych prądach w literaturze i sztuce nie można dziś mówić ze stanowiska szkolnego. Niema już szkół, są tylko potrzeby wypowiedzenia się takich a takich indywidualności artystycznych. Naprzykład Wurm śmieje się i szydzi przez lzy...

— Tego znam trochę przypadkiem — wtrącił Edwin — nigdzie tej „lzy“ nie zauważyłem; widziałem tylko chęć popisu.

— A nie, Edwinku. On płacze. Już ja go znam lepiej. On boleje nad nędzą i głupstwem ludzkim. Cała jego działalność, to bunt. — —

— Ale bunt przez *t*, czy Bund przez *d*?

— Także stanowisko! wstydz się, Edwinku. Nie o to chodzi, czy on tam z Żydów, czy nie z Żydów, tylko: jak się wypowiada i czy daje nowożytnemu człowiekowi materiał do czucia i do myślenia...

— Dużo daje do myślenia, nie przeczę.

Robert cmoknął niecierpliwie, jak nauczyciel wobec niesforne go ucznia.

— No, już nie będę ci przerywał — rzekł Edwin — mów dalej; chcę poznać twoje zapatrywania.

— Więc dalej. Taka naprzykład Ada z Domoślawic. Powiesz znowu: Żydówka. — Otóż właśnie, że nie. Wyszła za Fajgenwurcla, ale z domu jakaś... ska, ze starej szlachty — i oby-

watelka ziemską. Pani Ada jest, jak wszyscy zgodnie orzekli — sensualistką religijną. — —

— Cóż to za gatunek?

— A święta Teresa?! — —

— No, dobrze. Mniej mnie obchodzi ta pani Ada, bo właśnie jej książki nie wziąłem.

— Szkoda. — — Więc kogo tam masz? — Na przykład Ludomir Burza, którego panna Marusia tak lubi, to rzeczywiście tytan ludowy. Ten już nie Żyd, bo nazywa się Paweł Bzdura i jest synem robotnika fabrycznego. Porównaj go z Zawiszą — ogień i woda! Naturalnie rolę wody będzie tu grał hrabia Zawisza, który pisze samą kulturą, kiedy Burza pisze samym temperamentem. To już jest ustalone przez naszych krytyków.

— Przeczytam obu. — Jednak słyszę od ciebie pochwały, lub zastrzeżenia, a nie objaśniasz mi rzeczy dla mnie najciekawszej. Czy ta grupa młodych jest poprostu czeredą, czy ściślejszą spójnią? — może spiskiem? Czy oni czegoś razem chcą, albo nie chcą? Czy dążą do ewolucji, czy do przewrotu?

— Nie, oni niczego nie chcą w sensie, jak ty to rozumiesz — odrzekł Robert z uśmiechem wyrozumiałym, jakby mówił do dziecka — każdy z nich snuje swoją treść wewnętrzną dla rozkoszy tworzenia, dlatego że musi — jak pszczoła robi swój miód.

— Albo jak pająk snuje swe sieci.

— Jak kto woli, nie chodzi mi o porównanie.

— A mnie właśnie chodzi. Ja wolę miód, bo to produkt słodki i pożywny. A pajęczyna dobra tylko do łapania much i trzeba ją wymiatać.

Robert, jako skończony dżentelmen, nie chciał się kłócić; zadowolił się głęboko odczuta wyższością swych poglądów. Spojrzał na zegarek i zerwał się z krzesła:

— Już siódma. Za pół godziny podnoszą kurtynę, a ja tu o milę od teatru!

— Grasz dzisiaj? — jaką rolę? — zapytał Edwin.

— Don Juana!

I przybrał pozę odpowiednią, zwracając się głównie do Marusi, jako krewnej po duszy, gdyż krewny rzeczywisty słabo go rozumiał.

— Oj, Bertek, Bertek! — zawołała panna Marusia figlarnie i zagadkowo, na zakończenie dysputy.

Gdy Robert wyszedł, zwróciła się do Edwina:

— Niech pan nie odchodzi! Może pan ze mną chociaż raz wypić herbatę. — —

— Nie mogę, droga pani. Oczekuję najprzód u siebie dyrektora, a następnie mam jeszcze pewną robotę przygotowawczą na „po świętach“, skoro podczas świąt nic się w Cudnie nie robi.

— Ależ z pana jest książę niezłomny!

— Książę??

— Tak pan wygląda.

— Raczej Bertek takby wyglądał, gdyby dzisiaj grał księcia. Ja jestem poprostu sobą.

— Właśnie dlatego pan mi się podoba. Ma pan wybitną indywidualność.

— Niczem Ludomir Burza! — zażartował Edwin.

— A nie! — zupełnie co innego. Tamten dobry do czytania, a pan... No, niech pan nie grymasi i poświęci mi dzisiaj część swego wieczoru.

— Żałuję bardzo, że dzisiaj nie mogę. Może tymi dniami, jeżeli pani nie przeszkodzi.

— Pan — mnie?! ja zawsze mam czas dla pana.

Edwin wymyślił sobie Holendra i jakieś „prace przygotowawcze“, aby grzecznie wykręcić się od spędzenia wieczoru sam na sam z panną Malankowską; takich okazji unikał tembardziej, że Marusia coraz wyraźniej okazywała zamiary syrenie. W innych okolicznościach Edwin nie broniłby się zapewne, ale tutaj fakt współmieszkania był groźny, bo brakło mu jednego tylko pocałunku, aby się zamienić na regularne stadelko. Tego zaś Szaropolski zabronił sobie stanowczo.

Gdy zasiadł w swym pokoju, zabrał się odrazu do dzieła profesora Wahadłowskiego p. t. „Przebłycki“. Ten mu zapewne wytłumaczy narzeczcie charakter tej plejady twórców, od których i o których tak mu było trudno dotąd czegoś wyraźnego się dowiedzieć. Zagłębiał się w przedmowę, napisaną przez autora dla dyskretnego okazania swej własnej postaci w laurach, otoczonej stosem przeczytanych ksiąg i gronem słynnych przyjaciół, którym składał należne dzięki za dostarczone materiały i wskazówki.

Ale nadchodziła pora wieczery. Szaropolski jadał obiady w restauracji, rano zaś i wieczór, gdy był w domu, nie mógł się obejść, chcąc, czy nie chcąc, bez pomocy swej uprzejmej lokatorki. Stróż Marcin był nazbyt surowym chłopem, aby mu było można powierzyć przygotowanie choćby najskromniejszej uczyty. — Zadzwoił — zjawiła się natychmiast służąca panny Malankowskiej, Łodzia, znacznie już ośmielona przez tygodniowe usługi.

Była to zgrabna brunetka, dobrze ubrana i pachnąca temi samemi perfumami, co jej pani; tylko na śniadej skórze Łodzi wonie te nabierały odmiennej, pieprznej tonacji.

— Chcę dzisiaj poprosić Łodzie o specjalną przysługę.

— Bardzo proszę — odrzekła i aż zadrżała z ochoty.

Gdy śmiała się, uśmiech okalał jej świeże usta kształtem nawiasu z dwóch przyjemnych fałdów złożonego.

— Prosiłbym o herbatę na dwie osoby.

— Tylko tyle?! — naturalnie przyniosę.
— A mogłabym wiedzieć, dla kogo ta druga? — dodała, patrząc figlarnie i przenikliwie.

— Właśnie, że sam będę — i tu jest przysługa, o którą Łodzię proszę.

Dziewczyna wyrabiała twarzą i palcami ruchy oznaczające, że... nie rozumie.

— Powiedziałem pani, że przyjdzie do mnie dyrektor. — Tak mi się wyrwało. A dyrektor wcale nie ma przyjść, tylko ja mam pilną robotę — i musiałem odmówić pani, która mnie zapraszała na herbatę.

— Więc jak mam zrobić? — powiedzieć pani, że siedzi tu pan dyrektor?

— Niepotrzeba. Powiedzieć tylko, że proszę o herbatę na dwie osoby. Pani przypomni sobie, dlaczego. Jeżeli potem zapyta, czy był dyrektor... — zamyślił się Szaropolski.

— Powiedzieć — pojęła Łodzia w lot — że sama nie wiem, że miał przyjść. —

— O, to to właśnie.

— A jak to pan umie oszukiwać kobiety! — pokiwała Lodzia głową, z komicznym wyrazem zgorzsenia.

— Wcale nie. Tak czasem wypada powiedzieć, żeby nie zrobić komuś przykrości. Tylko niech Lodzia mnie nie zdradzi — nie powtórzy naszej rozmowy?

— Ja tam nie jestem zdradliwa — a jeszcze, kiedy kogo lubię...

Frunęła za drzwi. Szaropolski zaś pomyślał, że Lodzia widocznie bardziej lubi jego, niż swoją panią, jeżeli w tym spisku staje po jego stronie.

— Ja sam nie wiem, czy nie wolę Łodzi od Marusi? Pyszny okaz cudeńskiej rasy ta czarnuszka — — a tamta... także, tylko osiągnięcie jej łask wymaga nieuchronnie — uroczystości.

Machnął ręką i zaczął znowu czytać. Profesor dowodził w pierwszym rozdziale o przewadze wpływów Słowackiego na twórczość młodego pokolenia pisarzy. O to właśnie Szaropolskiemu chodziło: jaka jest ich filjacja z dawniejszymi mistrzami? Literatura starego narodu nie zaczyna się nagle... od zera. — No, zobaczymy.

Po dziesięciu minutach powróciła Lodzia, niosąc na tacy dwie filiżanki, pomnożoną liczbę bułek, podwójną porcję jakiejś „smacznej potrawy”, pozostałej z obiadu i jeszcze serek — i jeszcze.

— Będzie pan dzisiaj jadł za dwóch; sama pani tyle nastawiała.

— To już zbyt uczte udawanie. Chętnie zaprosiłbym pannę Łodzie — rzekł Edwin obcesowo i energicznie.

Dziewczyna spojrzała zdziwiona i wzruszona zarazem.

Błysnęło coś nowego w jej oczach, coś pięknego. Każde oczy są piękne, gdy w nich zamajaczy odbicie nadciągającej rozkoszy.

— Czy naprawdę? — zapytała poważniej, niż kiedykolwiek.

— Ależ z prawdziwą przyjemnością.

— Ej, nie — pomiarkowała się wkrótce — coby pani powiedziała, że ja tu siedzę?

— No, nie długo, raz, dwa, trzy!

— To znów niema przyjemności. — — Może kiedy indziej, kiedy pani wyjdzie wieczorem? — zaproponowała nieśmiało.

— Doskonale.

— Słyszałam, że pani pójdzie w sobotę do teatru. — —

— Wyśmienicie. Trzymam za słowo.

Łodzia dostała rumieńców, a ciemne jej oczy zapalały tak bardzo, że aż skrzyły przez mrugające rzęsy. Nalewała herbatę, stojąc, siedzącemu przy stole Edwinowi, który wpatrywał się usilnie w te migotliwe, czarne oczy. Gdy napeł-

niła filiżankę i stała jeszcze blisko, rzekł serdecznie:

— Dziękuję ślicznej Łodzi.

Przyciągnął ją tak sprawnie i przemożnie, ona zaś może broniła się tak słabo, że pocałunek udał się odrazu doskonale. Natychmiast po nim uciekła, nie żądając przysiąg, unosząc marzenie do kuchni, w której mieszkała.

Edwin zaś po wieczerzy zabrał się znowu do „Przebłysków“, ale — czy profesor pisał niejasno? — czy roztargniony był czytelnik? — nie mógł tego dnia zrozumieć, na mocy jakiej bękartkiej genealogji panowie Wurm i Hinterstrahl-Promieński mogą pochodzić od Słowackiego??

IX.

„Dzień 24 grudnia zajaśniał nam“... — zaczynał „Głos Cudeński“ artykuł gratulacyjny dla prenumeratorów — i mógłby jaki prenumerator na prowincji pomyśleć, że tak było. Jednak dzień ten nie zajaśniał, owszem przyszedł ciemny. Po dziesięciu dniach mroźnych i śnieżnych rozchlapała się odwilż generalna, plamiąc sadzą wydeptane chodniki i nagromadzone przy nich przyzmy śniegu, czekając beznadziejnie na uprzątnięcie, gdyż nadciągały święta i prawdopodobny strajk stróżów.

Równie zamglona była atmosfera polityczna. Rząd Wichrowatego grasował dotąd w mieście; nikt już nie wierzył, żeby to przedsiębiorstwo prywatne mogło być uzdrowiskiem dla społeczeństwa; każdy, oprócz ludzi biorących bezpośredni udział w rządzie, czekał tylko, kiedy te błotne opary jaki czysty i zdrowy powiew rozpędzi.

Wrażenia, skórne i umysłowe, nie były rozkoszne; jednak Cudnianie mają w sobie tyle wesołego wątku, że zawiesili na te dni wszelkie tro-

ski, myśleli tylko o „wesołych świętach“. Wesoło brnęli przez roztopy śnieżne zapóźnieni ofiarodawcy podarków gwiazdkowych; gwarnie ucztowali po jadalniach o południu zwolennicy rybki, która jest pretekstem do wypitki; gaiki choinek na placach, choć przerzedzone, zaprawiały te części miasta dobrą wonią żywicy. Dopiero o zmroku Cudno zaczęło ucichać i martwieć, sklepy zatrzaśkiwały z łoskotem swe żelazne żaluzje, lub zasuwwały kraty i rygle; przechodnie poukrywali się po domach dla cichych uczt rodzinnych.

Edwin Szaropolski dał się kołysać bez oporu fali tłumu, nie darmo studjował obyczaje rodzinnego miasta. Zeszedł mu dzień na przygotowaniach świątecznych, pomimo że wieczery wigilijnej nie wyprawiał u siebie. Ale zamówił kwiaty dla uprzejmej panny Marusi, kupił kilka podarunków poufniejszych dla Łodzi; srebrną papierośnicę dla swego Holendra, a stryjowi Joachimowi posłał ryby i wino, gdyż tylko pod tym warunkiem zgodził się być u niego na wigilji, że weźmie udział w kosztach przyjęcia. Innych Szaropolskich bez ceremonji puścił w trasę, jako wypróbowane już nieużytki dla jego interesów i przyjemności; nie wybrał się też w odwiedziny do żadnych figur urzędowych jako do potęg wybitnie zbytecznych dla pożytku prywatnego i publicznego.

Około 5-tej powrócił do domu, aby się przebrać i podążyć do stryja. Oczekiwała go namiętnie Lodzia.

W pokoju swym zastał piękny kosz kwiatów od panny Marusi i jeden, ale bardzo pachnący hiacynt od Lodzi. Spostrzegł też na stole bilety wizytowe pana van der Winder'a i ministra Powidły.

— Do licha! — trzeba mu będzie oddać wizytę na nowy rok. — —

Zamieniwszy z Lodzią podarunki i wyraziście czule życzenia, zaczął się przebierać z jej pomocą. Surdut, buty, bielizna przygotowane były ze starannością wyrafinowaną przez uczucie.

— Doskonały z ciebie kamerdyner, Lodziu!

— Nauczyłam się niedawno, ale odrazu — odpowiedziała dziewczyna ze szczerem zadowoleniem. — A po chwili: Będzie u nas na wilji kilka osób.

— Któż taki naprzykład?

— Z teatru. Będzie i kuzyn pana, pan Robert.

— Winszuję i nie zazdroszczę — wyrwało się Edwinowi.

— Doprawdy?

— Skoro ci mówię. — —

Lodzia nie nie odpowiedziała ale jej zadowolenie odbiło się na twarzy rumieńcem i mi-

gotliwem mruganiem, które już Edwin znał i lubił. Wypiękniała przez te dni.

— Nie ma pan kaloszy. Posłałam Marcina po doróżkę, bo chlapałina okropna.

— Właśnie chciałem go posłać. Mądra z ciebie osoba.

— A pan powróci późno?

— Wątpię. Będziemy tylko we trzech: stryj, ja i stary kapucyn.

— To panu będzie tęskno. — —

— Ej, nie. Chyba za tobą, Łodzinko.

Dziewczyna westchnęła rozkosznie.

Edwin zastał Joachima tymczasem samego. Ojciec Prosper jeszcze nie przyszedł. Jedyne pokój samotnika był trochę uporządkowany; papiery i książki ułożone; warsztat tokarski przykryty jakimś niebrzydkim kilimem. Między rozsuniętymi meblami świecił stół nakryty białym obrusem, na sianie. Ale Joachim nie był w świątecznym humorze. Od ostatniej dyskusji stosunki krewniaków nie popsuły się, lecz weszły w nową fazę.

Stary przywiązywał się owszem do synowca, jak do syna, którego nigdy nie miał, a Edwin nie utracił bynajmniej zaufania do rozumu Joachima. Tylko obaj przekonali się, że jeden drugiego nie przerobi, a zwłaszcza Joachim miał usposobienie despotyczne. Korciło go to, że Edwin,

acz grzecznie, lekceważy jego rady. Edwin zaś unikał rozmów ze stryjem, w których z góry przewidywał różnicę zdań. Te względy osłabiły na razie ich porozumienie.

— Cóż ty teraz robisz, jeżeli wolno zapytać?

— Nic, stryju. Tak dalece zwinąłem wszystkie swoje przedsięwzięcia, że oddaję się literaturze. Czytam.

— Hm. — A jakże cię to puściła twoja pani do mnie na wigilję? Chyba; że sama gdzieś indziej się wybrała?

— Nie. Moja pani ma swoich gości. Ja ją zaledwie widuję.

— Ej-że? — Przyznaj się. Ja znów nie jestem takim kwakrem, ani mantyką, jak ci się zdaje. Można ze mną gadać.

— Stryj jest nawet jedynym z moich znajomych tutaj, z którym warto gadać. I powiem stryjowi jedną wielką tajemnicę — spojrzał obiecująco — zagroziłem sobie zupełnie drogę do serca panny Malankowskiej.

— No, jakżeż to? — niedowierzał Joachim.

— Mieszka tam u mnie inna bardzo ładna dziewczynka.

Joachim wchodził w żart z upodobaniem:

— Jeszcze jedna? — no, no.

— Służąca panny Malankowskiej, Łódzia. Doszedłem nagle do spostrzeżenia, że ładniejsza jest od swej pani.

— I porzuciłeś panią dla służącej?! — zawołał Joachim, radośnie podniecony.

— Edwin skinął tylko głową i okiem.

— A toś ćwik! Przestaję bać się o ciebie. Pogrzebiłeś to plemię aktorskie! Pomściłeś starego stryja! Niechże cię uściskam.

Wejście ojca Prospera przerwało tę jubilację. Ale pozostał dobry humor na resztę wieczoru.

Do staroświeckiej wieczerzy, poprzedzonej łamaniem się opłatkami, usługiwała dziewczyna młoda i ładna, także jakby ze starych czasów wskrzeszona, skromnego układu, uczesana gładko, bez grzywki, i ubrana w długą spódnicę. Pierwszy raz widział ją Edwin. Gdy oddaliła się do kuchni, rzekł Joachim:

— Nie oglądaj mi, wilku, tej owieczki. To sierota, której losem zajmuję się wedle możliwości. Nie jest do pożarcia.

— Po cóż znowu mam być takim wilkiem?

— Ale stryj jakoś o nią zazdrosny?

— Nie udawaj, że wierzysz w to, co mówisz. Spotkałem ją w pierwszym roku wojny, dzieckiem jeszcze, głodną, obszarpaną i bez środków do życia. Jest ze wsi; rzucona było w Cudnie przez jakichś opiekunów, którym nie starczyło podobno na jej wyżywienie. Dzisiaj już coś umie i służy u porządnym ludzi. Przychodzi do mnie tylko w święta.

— Jest to ze wszech miar pięknie — odrzekł Edwin poważniej — wojna namnożyła, oprócz ofiar policzonych, miliony innych, ginących z nędzy. Ale dlaczego stryj z milionów wybrał tę jedną, taką...?

— Dlatego, że ładna i dobrze jej z oczu patrzy. Tej mojej słabości nie przyganisz?

— Ani myślę. Zrobiłbym tak samo. Gotów nawet jestem, jeżeli stryj pozwoli, przyczynić się jakimś datkiem do poparcia kariery tej dziewczynki.

— A nie. To już moja rzecz.

Rozmowa urwała się, zwłaszcza, że omawiana dziewczynka przyniosła krążki z ryby, a ojciec Prosper nie dotąd nie dorzucił do konwersacji, gdyż przepościwszy sumiennie cały dzień, miał wilczy apetyt, zgodny nareszcie z kanonami, które przepisywały ucztę wigilijną rybną, ale obfitą i radosną. Po krążkach Joachim miał już prawie dosyć, a Edwin, mało uświadomiony o rytuale wigilijnym, zjadłszy kawałek ryby, czekał machinalnie na mięso. Tylko kapucyn repetował potrawy regularnie.

— Mówiłeś, że czytasz dużo. Co czytasz?

— A właśnie chciałem ze stryjem o tem pomówić. Przeczytałem „Przebłyński“ profesora Wahadłowskiego i grzęznę obecnie w produkcjach młodych naszych pisarzy, o których nie miałem dotąd pojęcia.

— Książkę Wahadłowskiego przejrzałem; pozyczył mi jej jeden znajomy. To jest taka książka...

— Ciekawym — przerwał Edwin — czy odniosłem podobne wrażenie?

— To jest książka, którą napisano, aby ogłosić, że pan Wahadłowski jest tam a tam profesorem literatury, że dużo czytał, że się długo namyślał, co powiedzieć, a o czym przemilczeć, a wreszcie nie napisał nic z tego, co głównie należało. Bo napisanie szeregu sprawozdań o utworach nowoczesnych — to rzecz tania. To tylko coś w rodzaju katalogu — „catalogue raisonné”, jak mówią Francuzi. — Ale przez co ten i ów autor wzmógł wiekowy rozwój naszego piśmiennictwa? co rozwija z dawniejszych pierwiastków, a co dodaje od siebie? — po jakiej stronie stanął w walce idei, która wre społecznie? — o tem należałoby pisać umiejętnie, jasno i dobitnie. A Wahadłowski szereguje zarówno prawdziwych twórców, jak dudków i — co gorsza — podstępnych fałszerzy literatury w jedną kolejkę, dając im wszystkim namaszczenie na kapłanów sztuki, co jednym ubliża, a drugich bezzasadnie wpuszcza do przybytku. Można kogoś, choćby nato zasłużył, nie nazwać w druku niedołęgą, albo Popsujem, ale są na to inne sposoby: o niedołęgach — przemilczeć; Popsujom powiedzieć grzecznie, że ich produkcje na-

leżą do wyznania mojżeszowego, nie zaś do literatury polskiej. — —

Tu się zakaszlał stary, czy od długiej przemowy, czy od połkniętej ości. Zaczem Edwin przyszedł do głosu:

— Pochlebia mi to, że do bardzo podobnych wniosków doszedłem o książce Wahadłowskiego. Rzeczywiście jest mdła, niedomówiona i nie klasyfikuje nic w głowie czytelnika, ani wartości pojęć, ani wartości ludzi, o których mówi. Ale może ten profesor i do metody krytycznej stosuje zasadę „sztuka dla sztuki“, z którą, choć to nie moja specjalność, często się spotykałem? A stryj oświećla trochę wyłącznie ze stanowiska pożytku społecznego. — — —

— Całe życie zajmowałem się literaturą — odrzekł Joachim. — Niestety, nie mam talentu. Ale przynajmniej mam o niej pojęcia wyrobione. Otóż teoria „sztuka dla sztuki“ jest jednym z tych błyskotliwych paradoksów, które rzucają czasem w ferworze walki dowcipni szermierze, a które następnie podnoszą na ulicy gapie, chcąc się w nie przystroić, albo złodzieje, chcąc je wyzyskać dla swoich celów. Hasło „sztuka dla sztuki“ jest filozoficznie fałszywe, czego ci dowiodę kiedyś, gdy się o tem zgada. Mogło ono być czasem używane w dobrej wierze i posłużyć za iskrę do dzieł dobrych, ale, jeżeli nie wynaleźli go Żydzi, to napewno Żydzi uchwycili je

skwapliwie i sfalszowali jego uczciwe znaczenie. Żyd chwytą każde niedomówienie, aby je domówić po swojemu; miłuje algebraiczne wyrażenia myśli, aby pod niewiadome podstawić swoje zamysły; chytrze zakrada się do każdego aryjskiego posiewu, aby do niego nasiać semickiego kakolu.

Podano karpia z szarym sosem, do którego ucieszył się kapucyn:

— Oto jest królowa naszych ryb. I wino dajesz dzisiaj przednie, Joachimie.

— Wino jest tego pana dobrodzieja.

— Aa! — ozwał się Prosper, z uznaniem spoglądając na Edwina — zdrowie pańskie!

Poczem Edwin przemówił do stryja:

— Ale mówiliśmy o literaturze, a zeszliśmy na temat Żydów.

— Takie jest życie, taka piosnka nasza, mój drogi. Literatura nasiąka życiem, a życie Cudna jest, zażydzone we wszystkich dziedzinach, materialnych i duchowych.

— Przecie profesor Wahadłowski nie jest Żydem.

— Ale ospałym Polakiem. Boi się Żydów, oszczędza ich, przejmuje od nich teorje, nie oryginalnie żydowskie, ale takie, które oni popierają, jako sobie dogodne.

— Może tylko stara się być bezstronny? Słyszeliśmy zawsze z tolerancji...

— Nie radzę ci nią się zachwycać. Tolerancja nasza stworzyła potęgę Żydów i Prusaków. Tolerancja stosowana do oczywistych wrogów kraju jest jednym z grzechów głównych: lenistwem w służbie bożej, w obronie ducha i ziemi.

Podniesiony ton perory stryja powstrzymał na ustach Edwina zastrzeżenia, które chciał poczynić. Odezwał się pojednawczo:

— Tak — tolerancja może, zwyrodnąć w lenistwo.

— U nas gorzej — rzekł jeszcze Joachim — bo tolerancja urodziła się z lenistwa.

Tu ojciec Prosper, czując potrzebę pauzy w spożywaniu tartego maku z osuszkami, wmieszał się do konwersacji, z której nie uszły jego uwagi rzeczowniki najczęściej powtórzone:

— Oj tak, tak — Żydzi, którzy umęczyli Chrystusa Pana, nie przestają prześladować religii i duchowieństwa.

Nie było odpowiedzi, więc kapucyn dorobił zdanie do innego zasłyszanego rzeczownika:

— A tolerancji niema w żadnym spisie cnót, ani w przykazaniach. Kościół katolicki nie jest tolerancki i dlatego trzyma się już blisko dwa tysiące lat.

— Toś przypadkiem dobrze powiedział! — rozśmiał się Joachim.

— Dlaczego „przypadkiem“?

— No, nie — — dobrze. Przemówiła przez ciebie cząstka mądrości Kościoła, który tu przedstawiasz.

Kapucyn dał za wygraną dyskusji w sprawie osobistej, gdyż podano na zakończenie uczty kompot z jabłek i śliwek, który w połączeniu ze słodką struclą wydał mu się zabawką ochładzającą i pończotną.

Ale Joachim nie skwitował z dalszego ciągu rozmowy z Edwinem, bo uczta wigilijna, przypominająca zawsze młode i lepsze czasy, dobra nowina usłyszana od synowca, wreszcie dobre wino — podniecały w nim humor, jedyny, na jaki mógł się jeszcze zdobyć — oratorski.

— Chcę domówić o Wahadłowskim. Zasadniczą wadę jego książki upatruję w tem, że pomija on jedną z kapitalnych cech literatury: wartość jej społeczną. Literatura piękna jest sztuką, a zatem działa na czytelnika innymi sposobami pisarskimi, niż rozprawa lub podręcznik naukowy. Ale nie wynika stąd, żeby powieść, lub tom poezji były dla rozwoju pojęć społecznych obojętne, a tem bardziej żeby szerzyły pojęcia wręcz przeciwnie pożytkowi narodu. Owszem, wartość literatury przeleciała, jeżeli nie wieczna, zawiera się właśnie w jej częściach pożywnych dla społeczeństwa. Skądże wielcy pisarze, od starożytnych aż do współczesnych, mieliby mir i powagę u narodów swoich i u ludzkości,

gdyby byli jedynie sztukmistrzami, igrkami, albo i przemytnikami trucizn w cukierkach?

Edwin uczynił zastrzeżenie:

— Ale takiej beletrystyce grozi niebezpieczeństwo popadnięcia w rodzaj tendencyjny i nudny.

— Bardzo znany, ale bardzo nieścisły argument, mój drogi. Nudne są książki, pisane bez talentu, a „tendencją” ktoś niefortunnie nazwał złe wykonanie głównego zamiaru autorskiego. Każde dzieło sztuki musi mieć swój zamiar, zarówno artystyczny, jak filozoficzny. Nie potrzeba tego zamiaru w tekście wymieniać, należy tak usposobić czytelnika, aby sam odczuł i wymyślił sens przez autora pożądaný. Narzucić mnóstwu ludzi swe uczucia i myśli — to sztuka pisarza. Wzbudzić te uczucia i myśli zdrowe, odżywcze, rodzące siłę dobrego czynu — to twórczość wielkich duchów w literaturze. Wielcy pisarze nie piszą dla bawienia się słowem, lecz dla nawracania dusz bliźnich. Ci pisarze mają zawsze swe „tendencje” — po polsku: dążenia, nietylko zabawne, lecz dobre. Amoralność i apolityczność — nie są zaletami dzieła sztuki, lecz usterkami. Najprzód — takich dzieł, zupełnie bezcelowych pod względem społecznym poprostu niema. Za wyjątkiem produkcji grafo-manów i warjatów, każde dzieło pisane, zmierza — dąży — do zamierzonego celu, który ma być

pożyteczny dla społeczeństwa. Inaczej literatura byłaby grą tylko, sportem.

— Nie przeczę — odrzekł Edwin. — Można jednak rozmaicie tłumaczyć pożytek wypływający z literatury. Według mnie pożytkiem jest już sam dreszcz estetyczny który wpływa dodatnio na psychikę czytelnika. Literatura nie daje nam programu działania, lecz nastrój, pobudkę, poruszenie mózgu, czy serca, zaciekawienie do jakichś nowych objawów życia. Wrażenia, jakie odniosłem z czytania, dawały mi zawsze więcej ciepła, niż światła.

Joachim wysłuchał uważnie ostatnich zdań Edwina.

— I ja ci nie zaprzeczę. — Ale twoja teoria wymaga rozwinięcia i dopełnienia. Nie każde wzruszenie jest godziwym celem dzieła literackiego. Gdybyśmy literaturę sądzili tylko według jej siły emocjonalnej, dalibyśmy jedno z pierwszych miejsc pornografji. Przyznać trzeba Wahadłowskiemu, że ściga i potępia pornografię. Ale umyślnie, czy nieświadomie pomija inną zarazę najnowszych produkcji pseudo-literackich: akcję destrukcyjną Żydów, piszących po polsku. Przecie te wszystkie Wurmy, Hinterstrahle, Fajgenwurcle, łącznie z czeredą przekabaconych na ich wiarę „naszych“ bolszewików i judofilów — to nie literatura polska,

lecz jedna z bojówek żydowskich przeciw nam, rosnąca z dnia na dzień. Tę szajkę trzeba z piśmiennictwa wyświecić — wyrzucić. A o to wcale się nie stara tolerancyjny profesor.

— Nawet wyprowadza pochodzistość Wurmów, Promieńskich i tym podobnych od Słowackiego — dodał Edwin — co mi się w głowie nie mieści.

— To prosty absurd, gdyż o złą wiarę nie chcę Wahadłowskiego posadzać. — Można ukraść formę rytmiczną „Króla-Ducha“, aby temuż Duchowi bluźnić.

— Tak i mnie się zdaje, stryju. Ale jakże to stryj chce przeprowadzić wyrzucenie żydowskich produkcji z literatury? Przecie wolność słowa i druku...

— Najniebezpieczniejsza z wolności! — przerwał Joachim — ale trudno przeciw niej dzisiaj występować, gdyż cenzura, zależna od takiego rządu, jest jeszcze gorszą klęską. Jednak tu winna działać odporność całego społeczeństwa. Literaturę żydowską, pisaną po polsku, powinien każdy historyk literatury, każdy krytyk piętnować; uczciwy wydawca — nie nabywać jej nakładu; uczciwy księgarz — nie sprzedawać.

— Wiem, że stryj doradza bojkot Żydów ekonomiczny i towarzyski. Czy go rozciąga na literaturę i sztukę?

— Bojkot generalny i najściślejszy. A jest to dopiero pierwszy akt obrony od „naszych” Żydów, akt najłagodniejszy.

Wstali już od stołu, zabrawszy z sobą kieliszki. Joachim usadowił się w wielkim, staroświeckim fotelu — wszedł na swą katedrę. Cień, który gestniał w tym kącie pokoju, podkreślał na twarzy Joachima fałdy tragiczne; rozbijały mu się na głowie siwe pasma włosów, a oczy nabrały blasku. Przez samą swą postać, poważną i groźną, przykuwał uwagę słuchaczy.

— Akt najłagodniejszy? — nawiązał Edwin przerywaną nić rozmowy. A jakież stryj przewiduje akty jeszcze mniej miłosierne?

— Jednocześnie z bojkotem — odebranie Żydom pełni praw obywatelskich, których nigdy u nas nie mieli, które pochwycili dzisiaj bez konstytucji, ukradli w ogólnym zamięcie. Najwyżej mogą im służyć prawa obcokrajowców. Jeżeli się niemi nie zadowolnią, niech wędrują od nas na cztery wiatry. Jeżeli zaś nie zechcą, poprzemy ich emigrację jeszcze energiczniej.

— To stryj nie dopuszcza asymilacji, choćby częściowej?

— A dajże mi pokój z asymilacją! Gdzieś ty kiedy widział Żyda szczerego obywatela kraju, w którym mieszka? Czy u nas, czy nawet zagranicą, gdzie mają złudniejsze pozory obywa-

teli? Skoro ich starszyzna międzynarodowa za-
trąbi do walki z chrześcijaństwem za prawa Ży-
dów, powstają zewsząd, niby strąbieni na sąd
ostateczny, semici wszystkich krajów i kondy-
cyj; wypelzają z chałatów, z ukradzionych szat
polskich, ze skór lordowskich i baronowskich te
dusze niehumanitarne, nakształt gadów syczących
i jadowitych.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! —
przeżegnał się Prosper — toć malujesz ten sąd
ostateczny, Joachimie!

— Bodajby przyszedł sąd na Żydów jeszcze
za naszego życia! — ciągnął dalej Joachim.
O asymilacji nikt już u nas nie marzy, ani my,
ani Żydzi. Okazało się w roku 1905 i podczas
wielkiej wojny. Żydzi bez ceremonji stanęli po
stronie naszych wrogów — i dotąd stoją przeciw
nam zwartym frontem, z bezczelnie jawnymi za-
miarami. Nie udają nawet, że chcą być Pola-
kami, jak to czynili dawniej. Chcą być Żydami,
mieć swoje państwo na naszej ziemi, a że się
temu, choć niedoleżnie, sprzeciwiamy, udają się
o pomoc do wszystkich potęg nam wrogich, je-
żeli nie bezpośrednio dla przeprowadzenia swych
uroszczeń, to dla zniszczenia nas i zgnojenia.
Gnojne żuki muszą mieszkać w gnoju.

Stryj zna lepiej ode mnie cudeńskich Ży-
dów. Ale proszę mi powiedzieć, jak tę sprawę

urządzić, gdy obie strony tak się nienawidzą wzajemnie? Jak mieszkać razem w tym kraju?

— Ja też wcale nie chcę z nimi mieszkać! Mówię wyraźnie, że trzeba ich stąd wyprzeć zapomocą obrzydzenia im warunków bytu u nas, a w razie potrzeby — wygnać masowo. Żydzi, wszędzie gdzie mieszkają, nie są normalną częścią społeczeństwa, lecz najazdem. Myśmy temu najazdowi ulegli w potwornej mierze i musimy raz go się pozbyć — przynajmniej do miary innych krajów. Twoje argumenty, Edwinie, są importowane z zagranicy. We Francji, Anglii i t. d., gdzie procentowość Żydów jest kilkadziesiąt razy mniejsza, można bawić się w humanitaryzm, a zarazem utrzymywać kwestję żydowską w równowadze i na uwięzi. U nas trzeba rozpocząć od stworzenia dla tej sprawy warunków możliwych. Zresztą naśladujmy wzory zagraniczne. Narody starożytne i nowe wypędzały od siebie Żydów z powodzeniem, a my bardzo późno dochodzimy do zrozumienia tej konieczności.

— Jednak wypędzać ludzi z miejsc ich urodzenia? z miejsc osiadłości odwiecznej?

— Tak — to będzie dla nich bolesne — ale na czas krótki. Żyd nie jest przywiązany do ziemi, bo jej nie uprawia, ani do miejscowych gojów, któ-

rych nienawidzi; przywiązany jest tylko do terenu, na którym pasorzytniczo żeruje. Znajdzie sobie jeszcze miejsce na kuli ziemskiej. My ich mamy pod każdym względem dosyć. Poznaliśmy gruntownie, jak się stają obywatelami cudzińskimi i jak się nam odplacają za tolerancję. Zresztą nie na miejscu jest troska o cierpienie wroga, gdy się z nim właśnie walczy, gdy wybuchła już najzaciętsza od początku naszej ery wojna żydowska.

— No, wojna? Tak to chce stryj nazywać. Są zaognione stosunki, są niezgodne interesy, grzechy obustronne, zapewne cięższe ze strony Żydów — ale wojna?...

— Ty jej nie widzisz?! Ocknij się, człowiecze. Żydzi wypowiedzieli wojnę rasie aryjskiej i cywilizacji chrześcijańskiej na wszystkich frontach, a przede wszystkim następują na nas. Nigdy w dziejach nie było tak zuchwalej i tak zorganizowanej ofensywy żydowskiej. Ahaswerus przygotowywał ją przez parę tysięcy lat, a dzisiaj spróbował ją wykonać, korzystając z osłabienia państw, ze zgnilizny, spowodowanej przez najkrwawszą z wojen. Zaczęło się to od sojuszu z Prusami. Ahaswerus — nie ten już wieczny tułacz ubogi, ale potentat, posiadający połowę złota globu, przemożny wpływ na rządy

państw przez giełdy, dzienniki i przeplaconych ministrów — upatrzył sobie innego potentata na sprzymierzeńca. Stał przed obliczem Wilhelma i ofiarował mu swoje usługi do podboju świata. Znał go doskonale, choć zdaleka. Wiedział, że ten arcypruski megaloman potrzebuje zdolnych żydowskich agentów do przeprowadzenia swych zamiarów rozbójniczych, ubranych w pozory bohaterstwa i misji historycznej. Zapewnił go, że wierzy w jego genjusz i powołanie do panowania nad światem. Wiedział zaś sam dla siebie, że pomimo półwiekowych zbrojeń i knowań niemieckich, Kajzer, przedsiębiorząc wojnę, stawia losy swego kraju na bardzo ryzykowną kartę. Czy Prusak wygra, czy przegra, Ahaswerus zarobi: sfinansuje wojnę, a ma przecie solidne pokrycia i u przeciwników, we Francji, w Anglii, w Ameryce. Ale przede wszystkim wiedział arcyżyd, że ta wojna, od której krwawych skutków on swych współwyznawców potrafi znacznie osłonić, przyniesie Izraelowi kolosalną korzyść i sposobność: przewróci całe stosy nienawistnych, aryjsko-chrześcijańskich porządków i da mu możliwość wystąpienia do własnej, oddawna uknutej i pożądanej walki. Niech sobie arcyprusak próbuje walki z resztą świata — on, arcyżyd, wypowie nareszcie śmiertelny bój Chrystusowi.

— I jak Wilhelm, zginie marnie! — zawołał ojciec Prosper rozplomieniony.

— Mam i ja nadzieję — ale nie przerywajcie mi — rzekł Joachim i spuścił nieco z tonu. Jak się udało Wilhelmowi, niema już o czym mówić — zbyt to oczywiste. Ale Niemcy nie są tak pobite, jak mogłyby być, a to w znacznej części dzięki Żydom, którzy nie przestali im sprzyjać i poruszyli swe wpływy w Anglii i w Ameryce. Żyd ze wszystkich gojów najlepiej znosi Niemca; z jego mowy zrobił swój żargon, z nim najłatwiej handluje, a już z Prusakim ma wyraźne rysy podobieństwa, pomimo odrębności ras i bezpośrednich celów.

— Dlaczegoż tedy — wtracił Edwin — Żydzi nie przenoszą się masowo do Niemiec?

— Oho, mój drogi! — dlaczego? — Bo ich najprzód Niemcy nie puszczą; dobrze mieć Żydów za szpiegów, za pośredników szalbierczych knowań dyplomatycznych; ale mieć ich u siebie? w ogromnej liczbie? — nie. To tylko my w Cudnie jesteśmy tacy... toleranci. A następnie — Żydzi nie chcą od nas się wynosić, bo nas, pomimo wszystko — kochają.

— Jakto? przecie stryj dowodził...

— Poczekaj! Właśnie do tego zmierzam. Żydzi poszukują dwóch gatunków sprzymierzeń-

ców: silnych i słabych: silnych, aby ich użyć za dźwignię swych światowych interesów; słabych, aby ich jeszcze osłabić, związać i do cna wyzyskać. Oszukują zasadniczo jednych i drugich, ale silnych się boją, słabych zaś prawie lubią, że są tak podatni do odrwienia i wyzysku. Dlatego Żydzi upodobali sobie Cudno i ziemię cudęńską. A dzisiaj, gdy urosli w potęgę, chcą to pocziwe Cudno, gdzie ich jest już tyle i od tylu wieków, ogłosić za własny kraj, za własne państwo wspólne z autochtonami. Że zaś krew Robów burzy się przeciw tak impertynenckiej propozycji, Żydzi kokietują u nas międzynarodowych proletokratów, wielbicieli Niemców, podejrzanych aferzystów, oraz różne grupy ośleple na oczywisty pożytek krajowy. Ponieważ jednak krew Robów, antysemicka z instynktu i z przekonania, przeważa w ziemi cudeńskiej, Ahaswerus wypowiedział jej wojnę — nie taką, jak sądzisz, polemiczno-dziennikarską, lecz wojnę żartą, poruszaną z bardzo daleka, sprężynami szatańsko ukrytymi, wojnę o panowanie jednej, lub drugiej rasy na tej ziemi. Nie widzisz tego, Edwinie?

— Poniekąd... ale czyż ta wojna wymaga aż takich środków jak wypędzanie z kraju milionów ludzi, albo jeszcze co gorszego?

— Jeżeli się zaczęła masowo wynosić, nic gorszego im się nie stanie.

Goście spojrzeli z zaniepokojeniem na gospodarza, który tak nieubłagane traktował sprawę, ale on skinieniem ręki niecierpliwem dawał znak, że chce się dogadać.

— W każdym przedsięwzięciu, a tem bardziej w ważnych sprawach politycznych, trzeba wejrzeć przede wszystkim w istotę rzeczy, nie zaś oglądać się na poboczne względy. Wre wojna żydowska na całym świecie, a godzi głównie w nas. Żydzi rozbastwili hordę bolszewicką, pomagają do odwetu Niemcom, sprzymierzeni są ze wszystkimi naszymi wrogami; z Cudna chcą uczynić swą ziemię obiecaną. Wojna to! — nie co innego. Nie pora na litość dla następujących wrogów.

— Gdyby jednak zawrzeć z nimi pokój, stryju?

— Pokój zawiera się z nieprzyjacielem, który po rozejmie ustępuje z ziem napadniętych, — Żydów zaś mamy pośród siebie. Paktuje się z osobami dotrzymującymi paktów — Żydzi zaś wierni są jednemu tylko przykazaniu: oszukaj i wyzyskaj goja! Walczy się szlachetnie z przeciwnictwem zdań i dążeń, ale śmiertelną zarazę trzeba zabić.

Ani Edwin, ani kapucyn nie podnieśli już sprzeciwu. Zasepili się wszyscy trzej współbiedniacy, a Joachim, pochylony, rozparty oburącz

na swym fotelu, utyskujący głową srodze poważną, zdawał się sędzią, który ogłosił wyrok w ciężkiej sprawie kryminalnej. Jedyna w pokoju lampa zaczęła przygasać i z kątów pokoju występowały jakieś ruchliwe cienie, drażniące nerwy.

Wtem zaskrzypiały drzwi leciutko...

— Jezus Marja! — poderwał się kapucyn z krzesła.

Była to tylko służąca — sierota, która przyszła sprawdzić, dlaczego w pokoju tak cicho? — czy już panowie wyszli?

— Przynieś dwie świece, moje dziecko, i dolej lampę — rzekł do niej Joachim łagodnie.

— Takeś mi nabił głowę tym Ahaswerem, Joachimie — przemówił Prosper, — że już mi się z tej szafy wyszczerzał. Aż tu drzwi skrzyknęły... Bo też nie należycie Boga chwalimy w wieczór wigilijny, gadając już godzinę o Żydach.

— Ma rację ojciec Prosper — uśmiechnął się Edwin — wypijmy raczej ostatni kielich na otuchę lepszej przyszłości. Wy jej doczekacie, panowie, a ja w niej będę jeszcze... robił.

Ujęli wszyscy za kieliszki.

— Oj to, to właśnie! — ucieszył się kapucyn.

— O to, to: — poprawił Joachim — robić,

a nietylko wiedzieć i czekać, co się stanie.
W twoje ręce, Edwinie.

Wypił ze smakiem i nieco się udobruchał.

— Trzeba czasem zażyć szczyptę lekkomyślności; inaczej mógłby się człowiek struć goryczą własnych myśli.

Posiadka, w ukojeniu i harmonji, przedłużyła się prawie do północy.

Gdy Edwin wrócił do swej fabryki, już w bramie usłyszał gwar uczty w lokalu kancelaryjnym. Nawet przez podwójne okna dołatywały rozszalałe wybuchy śmiechów po pauszach oznaczających zapewne okresy jowialnej przemowy; iskry dowcipu, mniejsze i większe, zapalały proporcjonalne wytryski bachicznego zadowolenia.

— Ci przynajmniej zażywają lekkomyślności całą gębą.

X.

Dziwnego mam stryja, Lodziu. Wiesz? ten, co tu raz był, w futrze z szopów, gderliwy?

— Pamiętam.

— Ile razy z nim się spotkam, pokłóczę się, a przynajmniej ostro się różnię w zdaniu. A gdy go niema przy mnie, rozważam jego słowa — i bardzo często słowa stryja powracają mi na pamięć, jako odpowiedzi i objaśnienia. Prawie zawsze ma rację stary mantyka.

— Musi być mądry człowiek.

— To jest: myślisz, że bystrzejszy ode mnie, bo wie zaraz, co i jak, a ja dopiero później dochodzę...

— A, nie powiadam! — zaprotestowała Lodzia gorąco — tylko stryj pana stary, pewno nic innego nie robi, oprócz tego, że myśli, — a pan jest młody, ma dużo do roboty, więc i czasu brak nato, żeby zaraz mieć we wszystkim rację.

Wychodziło na jedno. Edwin ani myślał obrażać się; wołał to owszem, że Lodzia mówiła

mu z zaufaniem wszystko, co jej przez głowę przechodziło.

— O co to pan się posprzeczał ze stryjem w dzień wilji?

— Nie posprzeczałem się, mówię ci; tylko musiałem zaznaczyć, że nie zupełnie się z nim zgadzam. A nie lubi stary, żeby mu przeczyć. Mówiliśmy o Żydach.

— Także jest o czem, w dzień wilji!

— On zaczął. — A ty lubisz Żydów, Łodziu?

— A pan? — zapytała przez ostrożność, bojąc się utracić nawet szczyptę sympatji swego władcy.

— Ja? — nie bardzo. Ale traktuję ich, jak ludzi.

— Ludzie to oni są, ale osobnego gatunku.

— To jest, że ich nie cierpisz? — Przyznaj się — mnie to obojętne, tylko ciekaw jestem twojego uczucia.

— Ja tam wolę nawet Moskala, albo Niemca. Nie zadawałam się z nimi bez potrzeby, ale czasem się którego spotkało z konieczności i wiem z opowiadań wojennych. Moskal narozbija, nakradnie, a potem po pijanemu czasem ludziom porozdaje. Jeden oficer kozak dał mojej siostrze złoty zegarek; ani jej znał przedtem, ani potem! — tak sobie, z łaski na uciechę.

Niemiec już co innego: zabierze i nikomu nie odda. Ale czasem zaprowadzi jaki porządek, który się każdemu przyda — o tu, ten tretuar do tramwaju Niemcy położyli. A czasem znowu osądzi sprawiedliwie; mój kuzyn posadzony był do cytadeli przez Moskali, niby za szpiegostwo, ale niewinny. Jak przyszli Niemcy zaraz go uwolnili.

Edwin uśmiechnął się i, pomijając już korygowanie spostrzeżeń Łodzi, zapytał:

— No, a Żydzi?

— Żydzi? Czy pan kiedy widział, żeby Żyd co dobrego zrobił chrześcijaninowi? czy dał co biednemu? czy co urządził dla wszystkich? Oni są tylko dla siebie, choć u nas żyją. Oni z nami wojują. Żeby tak nas zawojowały, jak Moskale, albo Prusaki, niktby żywy z Cudna nie wyszedł. Ale niedoczekanie ich! Pierwej my ich stąd. —

Dziewczyna wyprostowała szyję sprężyście, a włosy jej, trochę w nieładzie, poruszyły się, jak czarne węże. Piękna była w postaci Gorgony.

— A tybyś ich co? — wpatrywał się w nią Edwin z zaciekawieniem — samabyś wypędzała z Cudna?

— Rznęłabym, żeby mi co dali do rąk!...

— Tak wszystkich? — starych, kobiety, dzieci? — —

— E, zaraz tam dziecil — osłabła nagle w swym morderczym zapale — tak się mówi. — Ale to są nasze najgorsze wrogi. — Niech mi pan o Żydach nie mówi, bo mnie zaraz coś nosi. — —

— Masz rację — nie gadajmy o nich.

Przetarła sobie rękoma czoło i skronie, jakby odpędzić chciała od mózgu złe myśli — i spokorniała znowu, ucichła.

— Cóż tam dzisiaj... u naszej pani? — zagadnął Edwin dość obojętnie.

— U nas? — nic. Święta — jemy jeszcze strucle.

— Jakież znowu święta?

— Ano... niby czwarty dzień.

— To zaraz będzie święto nowego roku.

— Już w wilję święto. — Aha! przypomniałam sobie — stuknęła się w czoło — pani bardzo prosiła, żeby pan przyszedł do niej na powitanie nowego roku — ale to koniecznie — błagała Łodzia usilnie, jakby o coś dla siebie.

— Cóż ty tak protegujesz moje wizyty u pani? Chciałabyś, żebym się w niej zakochał?

— O nie! — pan mi obiecał — ja panu wierzę. Ale panią trzebaby tak jakoś... dobrze usposobić, bo już raz dowiedziała się, że późno od pana wracam...

— Teraz rozumiem. Pójdę do pani na powitanie roku.

— Ma być sporo gości o północy.

Była to jedna z zapóźnionych gawęd, które weszły we zwyczaj. Z dzisiejszej wyniósł Szaropolski parę potrzebnych ostrzeżeń i jedno zastanawiające odkrycie. Zdanie Łodzi o kwestji żydowskiej było niby tłumaczeniem wywodów Joachima na język prostszy, ludowy. Tamto płynęło z górnych dziedzin myśli, to wytryskiwało samorzutnie z ziemi. Tę zgodność trudno było przypisać rozpowszechnieniu jednej nauki lub propagandy. Zgodę tłumaczyła dużo jaśniej jedność instynktu rasy.

Z powodu bezczynności świątecznej Edwin skazany był na domatorstwo. W trzeci dzień świąt próbował wycieczki do środka miasta i zastał w niem otwarte sklepy spożywcze, które go tymczasem mało obchodziły. Inne były przeważnie zamknięte, albo uchylały leniwie pół okien, niby ociężałe powieki, obiecujące sobie jeszcze sen aż do drugiego dnia po nowym roku. Najpotrzebniejsze urzędy pracowały po parę godzin ze złym humorem, że to ludziom nie dają spokoju, choćby przez święta. Mało nawet kto do nich się kwapił, wiedziano bowiem z doświadczenia, że interesy traktowano tylko z łaski i dla proporcji, ale załatwienie ich odkładano

na feralny termin „po świętach“. Zato sklepy i banki żydowskie funkcjonowały żywo, jednak tylko do zmroku, gdyż zapadał jutrzejszy szabas, obserwowany triumfalnie pod tolerancyjnemi rządami Wichrowatego. Już się zdawało Edwinowi, że pozyskał nowy argument przeciw nieubłaganemu antysemityzmowi Joachima:

— O, widzi stryj — Żydzi pracują, nie zaspiają na całe tygodnie; bez nich handel w Cudnie zamarlby...

Ale zapytał sam siebie: dla kogo pracują? — i mruknął przez zęby:

— Nie będę już o tem gadał ze stryjem.

Jeszcze jedną plagą tego okresu był zupełny prawie brak wiadomości ze świata. Dzienniki nie wychodziły w święta, ani w poranki poświęteczne; kiedy zaś nazajutrz po jednym dniu upragnionym, bo powszednim, zaskakiwało znowu święto, drukarnie nie wypuszczały czasem nie przez kilka dni z rzędu... Mogła jakaś wieść hiobowa, lub radosna, grzmieć już po całym świecie, mógł Rzym runąć wskutek trzęsienia ziemi, lub zamach na Trockiego udać się nareszcie, — ale w Cudnie nie wiedziano o tem nie przez kilka dni.

Szaropolski, pozbawiony swych normalnych zajęć, gazet i towarzystwa jakichś ludzi ruchliwych, wpadał w stan odrętwienia, deptać po

zastygłej fabryce, przy której gwarzyła tylko damska oficynka wróblim świegotem. Najznajniejszy był mu jeszcze świegot Łodzi, ale i ten do podnioslejszego szczęścia nie wystarczał. Edwin był jednak twardy i nie pozwalał sobie na spleen, chociaż choroba to angielska. Nudził się regularnie, systematycznie. Odmierzał sumiennie czas przeznaczony dla Łodzi poświęcony studjowaniu literatury, przykrojony do minimalnych wymagań grzeczności dla panny Malankowskiej. Czasem zajrzał do stryja Joachima, czasem bił się na florety ze swym zaufanym Holendrem, który też nie miał nic lepszego do roboty.

Ale przecie miał nadzieję w Bogu i w rachunku prawdopodobieństw, że kiedyś, od nowego roku, po nowym roku, w najgorszym razie od wiosny coś się przecie żywego stanie w Cudnie oprócz burd urządzanych przez czerwoną straż, rekwizycji lokalów dla potrzeb nikomu niepotrzebnego rządu i kodyfikacji praw proletariatu, których zresztą nikt nie brał bardzo na serjo.

Rozrywki były tak rzadkie, że Edwin z pewną rozkoszą ubierał się we frak późnym wieczorem dnia 31 grudnia, aby wziąć udział w powitaniu nowego roku u panny Marusi. Zebranie zapowiadało się wyjątkowo ciekawie, gdyż miał się zjawić na niem autentyczny Anglik, minister Coach, zapędzony do Cudna przez jakieś

tajemnicze losy, czy misje. Jedni mówili, że był to oficer sztabu po cywilnemu, incognito, przysłany przez samego Lloyd George'a dla zbadania atmosfery politycznej Cudna; drudzy, że dziennikarz; inni, że prywatny amator etnografji. Ktoś też zapewniał, że Mr. Coach jest dentystą, ale potwarz ta niegodna była wiary. Zapropomował go na ucztę Robert Szaropolski, który po knajpach najciekawsze zawierał znajomości. Panna Malankowska odesłała zaproszenie do uznania Edwina, który odpowiedział, że mu to nic nie przeszkadza, owszem rad będzie pogadać znowu po angielsku, co mu się w Cudnie prawie nie zdarza...

Gdy wszedł Edwin do swej byłej kancelarji, podniesionej dzisiaj do rangi salonu międzynarodowego, zastał już gościa usadowionego między piękną panną Marusią a Robertem, poprawniejszym dzisiaj, niż kiedykolwiek. Mr. Coach był średnio pozorny, dostatecznie sztywny i bardzo dobrze ubrany. Tylko konwersacja nie szła gładko. Panna Malankowska porozumiewała się z gościem zapomocą łamanej niemczyzny, Robert udawał tylko, że umie po angielsku.

— Proszę cię, rozgrzej trochę tego Brytańczyka, bo ja przy szklance gadam z nim, ale tak na sucho... nie mam dosyć wprawy — szepnął na uboczu Robert do kuzyna.

Panna Malankowska przedstawiła Edwina odrazu jako pół-Anglika po kadzieli.

— Oh! (o-a-u), — miauknął basem Anglik.

Przywitali się sztywnie, kanciasto, zimno; oczyma jednak zamienili iskierki porozumienia. Dopiero gdy zaczęli terkotać równo i monotonnie, jak samochód po żwirze, Robert przekonał się, że nic nie rozumie po angielsku. Chwytał pojedyncze wyrazy:

— London... Manchester... free trade... difficulty... all right... Gadają zapewne o handlu? — ale co?

Odczuwał jednak dumę, że ma kuzyna tak biegle mówiącego po angielsku i zwrócił się do Marusi po polsku:

— Edwin macha gracko ozorkiem? co?

— Ślicznie mówi. — A o czem oni tak?

— O handlu między Londynem i Manchesterem — objaśnił Robert bez zachłyśnięcia.

Tymczasem nadchodzili inni goście, głównie aktorowie i aktorki; jeden malarz — futurysta, dwaj dziennikarze, dybiący na obejrzenia Coach'a i wyciśnięcie z niego interview'u choćby na sto wierszy. Zaprosiła też panna Malankowska hrabiego Górke, najświetniejszego ze swych znajomych. Hrabia był brzydki, ale przyjemny, bo bardzo czuły na niewieście wdzięki. Umiął

też po angielsku, co było dzisiaj pożyteczne. W zebraniu nie było Żydów, więc Edwin zapytał.

— Gdzie się podzieli pani koledzy, poeci z kawiarni „A rebours“? Nikogo z nich tu nie widzę.

— Ich nowy rok wypada kiedyindziej — odparła znacząco Marusia.

— Ach, dlatego, że Żydzi? I pani jest anty-semitką? Któż nareszcie jest filosemitą w Cudnie?

— Ci, którzy z konieczności potrzebują Żydów. Jam kontenta, że się ich pozbyłam.

O jedenastej już całe grono zaproszonych osób było w komplecie i zabawiało się rozmową, oprócz gospodyni, która zniknęła co chwila w sąsiednim pokoju, przerabianym pośpiesznie z sypialni na jadalnię. Około pana Coach'a skupili się przedewszystkiem ci, którzy umieli po angielsku: Edwin Szaropolski, hrabia Górka i jeden z dziennikarzy, który nieźle rozumiał. Robert przysiadł się do tej grupy, a że, jako aktor, miał zdolności muzykalno-naśladowcze, czasem wcale do sensu użył jakiegoś angielskiego wykrzyknika i sprawiał naogół wrażenie polygloty. Parę jeszcze osób przysłuchiwało się rozmowie, a raczej mówiącym, siedząc, jak na angielskim kaniu.

Mr. Coach nie silił się na uprzejmość, ani na dowcip, gdyż nie miał zamiaru nikogo olśnić, ani przekonać o swych zaletach; był sobie Angli-

kiem — i to mu wystarczało. Mało mówił, skapo odpowiadał, głównie słuchał, gdyż przyjechał tu, aby się czegoś dowiedzieć. Edwin Szaropolski tłumaczył mu właśnie, że Cudno ma obecnie najgorszy pozór, bo leczy się dopiero z ran, zadanych przez wojnę, nie jest jeszcze dostatecznie zorganizowane, a przytem nie do twarzy mu w zimowej szacie. Wstydził się trochę za swe rodzinne miasto, ale chciał je przed cudzoziemcem osłonić i wytłumaczyć.

— A te wielkie gmachy, które widziałem przy głównych ulicach, wybudowali Rosjanie? — zapytał Anglik.

— Gdzież tam! Rosjanie nic tu nie zbudowali, oprócz paru swych cerkwi.

— A więc Niemcy?

— Niemcy byli tu przecie tylko trzy lata i zajmowali się głównie zdzieraniem metalowych dachów, demontowaniem fabryk i inną grabieżą.

— Nie mówię o czasie wojny, ale przedtem?

— Niemcy panowali w Cudnie tylko przełotnie.

— Sądziłem, że tak, jak w innych miastach: w Krakowie, w Wilnie...?

Widząc, że Mr. Coach mętne ma pojęcie o trzech rozbiorach, hrabia Górka podał mu grzecznie kilka o nich elementarnych wiadomości, a następnie zaczął się rozwodzić o staroży-

tności Cudna, o zamku Kazimierza Wielkiego, o różnych ciekawych zabytkach, które ofiarował się nawet cudzoziemcowi pokazać i objaśnić.

Ale Anglik nawet nie podziękował za uprzejmą propozycję i patrzył na Górkę blado-porcelanowemi oczyma, które nic innego nie wyrażały, jak tylko:

— Co to mnie może obchodzić? — —

Odezwał się niespodzianie:

— A czy panowie możecie już eksportować drzewo?

— Jakie drzewo? — zapytał z pewnem zdumieniem Górka.

— Drzewo w klocach, albo w pierwszych przeróbkach: deski, futryny okienne, okna?

Ponieważ Górka zaznaczył gestem, że nie wie, wyręczył go Edwin Szaropolski:

— O ile wiem, transport jest dotychczas niemożliwy z powodu niedostateczności naszego taboru kolejowego.

— Morzem?

— Obmyślają dla nas dopiero dostęp do morza. Gdy nam przyznają Gdańsk, wtedy.

Mr. Coach zamilkł. Zaczem dziennikarz, srodze cudeńskim akcentem, lecz zrozumiale, zapytał:

— W Anglii rozumieją zapewne konieczność przyznania Gdańska Polsce?

— Nie mam o tem zdania — odrzekł Anglik.

— Jednak pan wie zapewne — nalegał dziennikarz — jaka jest panująca w Anglii opinja o przyznaniu Polsce Gdańska?

— Not likely — bąknął Mr. Coach — Gdańsk jest czysto niemiecki.

— Cała dawna Rzeczpospolita Polska należała przez długi okres do obcych państwowości.

— Ale Gdańsk zawsze do Niemiec.

— Jakto?! — ozwali się chórem preopinanci.

I zaczęto Anglikowi przekładać, że Gdańsk założyli przed wiekami Pomorzanie, władali w nim książęta słowiańscy na przemian z Duńczykami; że uległ tylko na wiek jeden najazdowi Krzyżaków, a następnie, od wieku 15-go wchodził wiernie w skład Rzeczypospolitej Polskiej aż do ostatniego rozbioru; że nawet buntował się, po rozbiorze, przeciw panowaniu Prus...

Mr. Coach słuchał cierpliwie, ale patrzył beznadziejnie stężalemi oczyma. Odezwał się nareszcie:

— Nie lubię polityki, ani historii; zajmuję się handlem drzewnym.

Wyznanie to rozczarowało niektórych, ale ustaliło nareszcie właściwe powołanie pana Coach'a. Ucieszył się sam tylko Edwin Szaropolski, że ma przed sobą specjalistę i może skorzystać z jego doświadczeń. Więc zaczęła się między Anglikiem i pół-Anglikiem rozmowa drewniana, która powoli odstraszyła resztę słuchaczy.

Zbliżała się północ, gdy panna Marusia, otwierając drzwi od drugiego pokoju, zaperfumowanego przyjemnie zapachami przekąsek i damskiej gotowalni, zaprosiła gości na „skromną aktorską wieczerzę“, oświadczając, aby siadano, gdzie kto chce, bo to jest „improvizacja“. Wieczerza była jednak wcale wystawna i obfita, jak na ciężkie czasy. Stół był mozaiką przeróżnych przysmaków, gęsto przetkaną butelkami, ozdobioną paru koszami kwiatów. Edwin, który znalazł się przy gospodyni, wyraził swój podziw nad przepychem uczyty.

— Poszła nato jedna broszka, której już nie nosiłam. A wódki i wina są od kolegów. Niech pan mi zrobi łaskę — niech siądzie naprzeciwko mnie i pomaga do ugaszczania...

— Nie, pani — odrzekł bez zająknięcia — uczynić tego nie mogę, bo dalibyśmy fałszywe pozory. Nie wziąłem udziału w urzędzeniu.

— Ach, pan okropnie dba o te pozory! — odrzekła Marusia z odruchem niecierpliwości, który zaraz opanowała. Więc gdzież pan chce siedzieć?

— Proszę mnie posadzić koło Anglika. Zacząłem z nim interesującą rozmowę. Ale będę się starał ożywiać... podawać paniom, co każą...

— Jeżeli łaska... choć trochę łaski — rzuciła Marusia piękne spojrzenie Edwinowi, odchodząc do innych gości.

Usiedli wszyscy, odrazu gwarni i pełni najlepszych przewidywań na rok nadchodzący, oglądany przez topazy i rubiny napojów, witany całą gębą. Po kilku minutach powstali znowu wszyscy, gdyż panna Malankowska, spojrzawszy na zegarek, ogłosiła, że jest północ, i wzniosła szklanę bez nadmiernej oracji. Zapragnęła jednak „trącić się” najprzód z Edwinem Szaropolskim, pomijając nawet hrabiego Górkę.

— Czego mi pan życzy? — rzekła cicho i namiętnie.

— Trwania długo w tej samej postaci — odrzekł uprzejmie Edwin.

— A ja panu... żeby się trochę zmienił.

— Postaram się — zagmatwał Edwin.

Nikt zresztą nic dowcipniejszego nie powiedział, jak zwykle przy życzeniach, mających wypalić nietylko na oznaczony dzień, ale na minutę.

Mr. Coach obserwował bacznie obyczaje miejscowe; gdy wstawano, wstawał; gdy trącano kieliszkami, trącał również „very nice”; gdy mu co nalano, pił do dna sumiennie. — Górka poczuł się odrazu rozmarzonym między różową panią domu, a ciemną i pachnącą drapieżnem zwierzęciem żoną jednego z obecnych aktorów, która podobno kochała się w Robercie, również obecnym, ale obu, męża i „sympatję” zaniedbała na czas trwania uczt dla skokietowania Górki,

na co obaj patrzyli bardzo pogodnie. Wszyscy biesiadnicy wywietrzyli sobie z głów troski i zabiegi, oddając się całkowicie rozkosznemu obrzędowi pospólnego jedzenia i picia. Od pierwszego kąska i łyku kolacja udawała się składnie; wszelkie były na to dane, że do rana uda się bajecznie, — skąd dobra wróżba i o nowym roku.

— — — — —

Tymczasem zapowiedź odrodzenia zbliżała się właśnie do Cudna w postaci Człowieka. Znał go cały świat, widział jego czyny ofiarne, nikt mu nie mógł zaprzeczyć płomiennej mocy słowa, ani przezroczej czystości zamiarów. Kochali go wszyscy, tylko, niestety, nikt go się nie bał. Ze wzniesionem sercem, ze zbawczymi zamiarami jechał do Cudna wielki Obywatel. Zastąpił tu znienawidzone rządy, obalił je i zmiażdży — spodziewali się ludzie udręczeni. Ale on chciał swą miłością zapalić serca wszystkich, nie wyłączając nawet zbrodniarzy, i sprawować rządy nad nawróconymi. Oczekiwała go klika rządząca z nieufnością, ale bez obawy. Oczekiwali go szczerzy patrioci z otwartymi rękoma, jednak z niepokojem. Jeżeli ten nie zdoła udźwignąć demokratycznego berła, jeżeli nie skupi około siebie wszystkich sił dobrych i twórczych, to... nowy rok może być zły, a może i szereg lat...

Zebrani zaś u progu nowego roku przyjaciele

panny Malankowskiej, choć niejednemu przemknęła przez sumienie świadomość, że może w tej chwili ważyć się losy Cudna, dochodzili gremjalnie do wniosku, że nie zaszkodzą ojczyźnie, pijąc bez troski do rana. Jutro zaś przyglądać się będą cudowi...

— — — — —

Uczta rosła w nastroju proporcjonalnie do liczby wypitych butelek. Chociaż umówiono się, że retorycznych występów nie będzie, Robert Szaropolski nie wytrzymał i palnął mówkę na cześć Anglika i Anglii, po polsku, z zakończeniem po angielsku, które miał spisane na mankiecie koszuli. Gdy skończył, odezwał się do niego dziennikarz otrząskany z angielszczyzną:

— Dlaczego pan tak go wychwala i przesyła przez niego tyle uśmiechów do Anglii? On jej tego nie doniesie, bo to tylko handlarz drzewem — drewniak.

— Co mi pan mówi! — odparł Robert — pan sądzi, że w Anglii tak, jak u nas, gdzie każdy ogranicza się do swego tylko interesu? Nie, panie. Taki handlarz drzewem może być bardzo łatwo agentem dyplomatycznym.

— Może być i z tajnej policji — nie przeczę. Chyba, że ma pan o nim poważne referencje?

— Mam, panie.

Zaniosłoby się może na sprzeczkę, gdyby nie wytrysnął z gwaru incydent nieprzewidziany. Malarz-futurysta, który, jako duch nabrzmiały artyzmem, wyrażał go przez wszystkie sztuki człowiekowi dostępne, zaczął improwizować wierszem:

Bim-bam-don!

Kolendy dzwon — —

Bimbam den-de-len bombaster,

W nocy pali się monaster,

Z okien luna,

W nawie truna,

Rozmodlony w duszach aster.

Ktoś krzyknął: brawo! — a Michałek-Aniołek trysnął nową strofą:

Kyrielejson, Dende-lende,

Dyn-dyn-dylu, dzwonić będę,

Aż usłyszy

Upiór w niszy

I na strychy

Dzwonnik cichy

Powędruje grać kolendę.

Bimbam, den-de-len, karyljon,

Bije w spiżę dzwonów miljon —

Z rododendru tryl słowika

W rozdyndany chaos wnika,

W cieniu dryga

Kallipyga

Pod kropidłem kanonika.

Ozwały się teraz głosy mniej uprzejme.

— Siadać! Muza dała nura! Stul tę rozdynamą! Napij się, będzie ci lepiej...

Natchniony dzwonnik opadł krzywo na siedzenie.

— He is in high spirits — odezwał się Mr. Coach, z powątpiewaniem do Edwina, jakby pytał, czy to natchnienie, czy farsa.

— He is tipsy — wołał Edwin wytłumaczyć ten występ przez pijaństwo.

Ktoś przebaknął:

— Jednak coś w tem jest...

A ktoś odpowiedział:

— W skrzypieniu drzwi bywa także melodia.

Gwar burżujów zalał szumną falą kwiat poezji, któremu nie pozwalano żyć, istnieć samemu dla siebie — i być głupim!

Już też i wino, jak słońce, rozwijało w biesiadnikach złożone w ich duchowej glebie ziarna. Poecie podziało na improwizację, damom na wzmożenie romansowości, hrabiemu Górcie na wiarę w rozkoszną przyszłość z czarną tygrysiwą, którą miał za sąsiadkę i nie omieszkał nazywać „Bagherą”. Innym zbierało się na filozofowanie; innym jeszcze na śmiech z byle czego; niektórym — tylko na podniecenie namiętności do papierosów, które palili przy stole bez przerwy, rozbłękitniając myśli i atmosferę niewielkiego pokoju, aż trzeba było urządzać wenty-

lację przez uchYLENIE okien na podwórze. Parę już osób wstało od stołu i powróciło znów na swe miejsca. Wszyscy gadali dużo głośniejsz, niż z początku biesiady, która co kwadrans traciła na stylu, staczała się do poziomu pijatyki.

Edwinowi zaś zebrało się na rozmyślanie w rodzaju stryja Joachima.

Tydzień temu, po dyskusyjnej wieczerzy u stryja, powracał tutaj o północy i slyszal z zewnątrz ten gwar pijany, w którym sam tkwi obecnie. Lepiej mu było tamtego wieczoru. Czyżby dlatego, że przed tygodniem siedział w jaskini inteligentnego zrzędy, a tu weseli się w gronie ludzi nie myślących o jutrze? — Nie — Szaropolski nie był ani społecznikiem zbyt zażartym, ani politykiem, ani apostołem, lub spiskowcem. Nie lubił tylko ludzi słabych i leniwych. A tu, gdzie okiem rzucił, napotykał jedynie te dwa typy. Ludzie ci niczego nie pożądaliby naprawdę — owszem: chcieli się upić. Edwin sądził, że upić się wolno tylko człowiekowi szczęśliwemu, zadowolonemu z wyników swej pracy, lub z prac zbiorowych. Ale „zapijać biedę“, jak się to nazywało w Cudnie, mogą tylko desperaci, albo ludzie słabi i leniwi. Z biedą trzeba się brać za bary, aby ją zwalczyć, nie zaś szukać sposobów zapomnienia o niej...

W tem drgnął pośród swego filozofowania. Siedzący przy nim Anglik, dziko rozbawiony,

cisnął zwiniętą serwetą przez stół w malarza-futurystę. Gdy wszyscy osłupieli, Mr. Coach jął tłumaczyć, że to sport, i że prosi, aby i w niego rzucano. Z zamieszania skorzystał Edwin, aby Anglika odprowadzić do domu, obiecując mu inne, weselsze lokale. W istocie zaś odwiózł go do hotelu, sam zaś powrócił już nie do uczty, lecz do swego pokoju.

Ostatecznie Mr. Coach nie udał się. Nawet Robert stracił do niego serce.

XI.

Od nowego roku pasmo tych odbitek ze zdarzeń historycznych na umyśle inteligentnego młodzieńca przerywa się na parę miesięcy. Szaropolski zapadł bowiem w melancholję, która objawiała się przedewszystkiem przez mizantropję. On, zwykle wesoły i rwący się do czynu, przesiadywał teraz całymi dniami w prowizorycznem mieszkaniu przy fabryce, nie widując prawie nikogo, oprócz Łodzi i swego Holendra, z którym bił się na florety; towarzystwa obojga zażywał raczej dla higjeny, niż dla zaspokojenia wyższych potrzeb duchowych.

Dużo czytał. Porzucił już dawno poezję, do której zniechęcili go Wurmowie i Promieńscy, zagłębił się zaś w studjowanie ksiąg jakichś technicznych, o których Łodzian nie mogła nic określonego powiedzieć, choć je codzień opylala i układała, a sam Szaropolski z nikim już nie rozmawiał o swojej lekturze. Czytywał też dzienniki, ale z nikim się nie wdawał w gawędy polityczne. Gdy pod koniec stycznia spotkał na swoim podwórze Roberta, który coraz częściej

zaglądał do panny Malankowskiej, został zain-
terpelowany:

— No, mamy przecie rząd obiecujący! Wła-
dza spoczywa w ręku szanownych i niepodejrza-
nych. Idziemy ogromnymi krokami w przy-
szłość. — Cóż ty nato?

— Czekam.

— Jakto? nie cieszysz się z upadku gabinetu
Wichrowatego?

— Był haniebnym i niemożliwym; musiał upaść.

— No więc?... A teraz patrz, co za zmiana!
Zawieramy stosunki z najpotężniejszymi mo-
carstwami — rozszerzamy granice na wschód
i na zachód — na czele ministerjów stoją mężo-
wie zaufani. — — I ty zapewne, Edwinku, coś
teraz na serjo rozpoczniesz?

— Czekam — powtórzył Edwin.

A Robert, poczytując małomówność kuzyna
za brak zaufania i poniekąd impertynencję, po-
żegnał się z nim zimno.

Jednak w lakonicznej odpowiedzi Edwina
Szaropolskiego zawierała się nietylko prawda,
lecz istota odmiany jego psychiki. Gdy przy-
jechał do Cudna kilka miesięcy temu, był prze-
konany, że w każdym kraju europejskim można
zużytkować swe przygotowanie zawodowe; że
wielkie miasto rodzinne da mu nadto rozkosz
współpracownictwa nad dziełem odrodzenia, do
którego poczuł szczery zapal. Ale zawody do-

znane przy zetknięciu się z paru już bardzo od siebie odmiennymi rządami dowiodły mu, że tymczasem nic w tym kraju zdziałać niepodobna, chyba łączyć się z akcją destrukcyjną na korzyść obcą, lub na korzyść panującej klikii, — dzisiaj, za rządów trzecich, nie rzucił się już tak śmiało i ochoczo do pracy, bo nie był pewien, czy rząd się uda lepiej, niż poprzednie. I właśnie dlatego — czekał.

Czekał bez nadąsania, ale przez ostrożną rachubę. W nowym gabinecie jedyną postacią jasną i wyraźną, ze wszech miar budzącą gorące nadzieje, był prezes ministrów. Inni mężowie, podobno szanowni, byli zupełnie nowi, a szczególnie Szaropolskiemu nieznani. Niechże ten zespół, w którym zaufać można jedynie dyrektorowi, wykona coś składnie, zanim ja rozpocznę jaką robotę — myślał Edwin.

Sądząc jednak z dzienników krajowych i zagranicznych, prawicowych i lewicowych, działały się rzeczy poważne, doniosłe, czasem aż majestacyjne. Cudno przemawiało do wielkich narodów, a narody czasem odpowiadały przychylnie. Omawiano preliminarja sojuszków, obiecywano sobie wzajemnie miłość, wiarę i niektóre do-
rażne pożytki. Robiono wielką politykę, dla której Szaropolski miał rzetelny respekt pomieszany z pewnego rodzaju obawą, ale nie mając zamiaru brać w niej kiedykolwiek udziału, był

ciekaw przedewszystkiem, jak nowa machina państwowa, rozbudowana na tak szeroką skalę, dotyka ostatnimi klawiszami spraw codziennych, poziomych, pomiędzy którymi przewijały się osobiste interesy Szaropolskiego. Ponieważ wszystkie te sprawy były „wewnętrzne“, zapragnął poznać odpowiedniego ministra i po długim namyśle udał się do niego.

Ministrem był Godzisław Wahadłowski, brat profesora, który napisał „Przebłyki“. Żadne pismo, nawet najkrzykliwsze, nie pozwoliło sobie dotąd na krytykowanie tego ministra; nie chwalono go także, gdyż jego przeszłość, nieposzlakowana równie, jak nieodznaczona dotąd wybitnem dziełem, utrudniała wróżby o tem, jak się on wywiąże z wysoce odpowiedzialnej funkcji, którą mu powierzono. Minister Wahadłowski wypłynął z ciszy i dotąd, na kurulnym stolcu, otaczała go cisza.

Szaropolski nie miał wcale trudności z otrzymaniem audjencji. Zapisał się w kancelarji i otrzymał niebawem odpowiedź, że pan minister przyjmie go nazajutrz o godzinie 4 $\frac{3}{4}$ po południu. Jakoż został wprowadzony punktualnie w oznaczonym terminie do gabinetu ministra, pomimo że w poczekalni, między dość licznymi interesentami, znajdował się jeden książę i paru wyższych oficerów. Prostota lokalu urzędowego, brak wszelkiej etykiety i paraady (nawet woźni

palili papierosy w przedpokoju) — wszystko znamięnowało wysokie zasady demokratyczne. Szaropolski odczuwał przyjemne wzruszenie, stając po raz pierwszy przed obliczem prawdziwego cudeńskiego ministra, gdyż dawniejszą wizytę u D-ra Powidły zaliczył już do wspomnień humorystycznych.

Nie zawiodła go też postać ministra: katońska iście głowa nad źle skrojonym surdudem; sztywność umiarkowana przez grzeczność; zamyślenie o czemś nieprzyjemnem, rozjaśnione przez dostateczną ciekawość do sprawy, która obarczała go dwudziestą dzisiaj wizytą.

Szaropolski nie potrzebował się przedstawiać. Ujrzał bowiem na stole kartkę z napisem: Edwin Szaropolski, przemysłowiec, w interesie osobistym. Nie marnując drogich minut audjencji, przedstawił jak najzwięźlejš, że jest właścicielem mydlarni nowo-założonej, a nieczynnej od trzech blisko miesięcy z powodu, że robotnicy zastrajkowali, żądając zapłaty za półtora roku bezrobocia w innej fabryce, z którą mydlarnia przy ulicy Lubej niema innego związku, jak tylko ten, że użyte w niej zostały i przerobione aparaty pochodzące z tamtej fabryki, która przez bankructwo właściciela pozbawiła pracy robotników — mydlarzy, obecnie najętych przez Szaropolskiego.

Minister zapytał jeszcze o szczegóły stosun-

ku dawnej fabryki do nowej, o formę strajku i o przebieg umów między dyrekcją a robotnikami a usunawszy wątpliwości, orzekł stanowczo:

— No, tak. Żądania robotników są zupełnie bezzasadne.

Edwin poczuł dawno niedoznaną radość: nareszcie wysoki urzędnik, który nie jest wrogiem współobywatela, chociaż posiadacza fabryki!

— Wybaczy mi zatem pan minister, że udałem się do niego, choć może zatargi chlebobodców z pracownikami należy kierować gdzieindziej? Ale gorące uznanie, które żywi cały kraj dla osoby pana ministra i nadzieje pokładane w jego działalności...

— O uznaniu i tym podobnych uczuciach — przerwał Wahadłowski — można będzie mówić chyba gdy mi się uda dokonać czynności, zaledwie rozpoczętych. Tymczasem proszę o przedstawienie mi, czego pan pragnie od rządu?

— Katon! — trochę kamienny! — przebłysnęła przez mózg Edwina uwaga — i ciągnął dalej, nieco ostudzony:

— Ośmieliłem się tu przyjść z zapytaniem i po radę. Czy rząd zamierza przeciwdziałać rozpasaniu strajków, które jest zabójcze dla naszego przemysłu i ogólnej wytwórczości kraju? — a w takim razie, gdzie mam skierować stara-

nia? Jestem bowiem prawie obcy w rodzinnym kraju, wychowany w Anglii, z powodu, że matka moja jest Angielką; powróciłem, aby tu pracować, ale dotychczas nie udało mi się zyskać poparcia rządu. Dopiero obecna rekonstrukcja gabinetu napędza mnie nadzieją.

Coś w rodzaju pobłażliwego uśmiechu ożywiło marmurową twarz ministra; może też obeszł go przekorny los energicznego młodzieńca?

— Sprawa pańska należy rzeczywiście do ministerstwa pracy. Ale skoro pan darzy mnie zaufaniem, wypowiem swoje zdanie. Państwo nie może przeciwdziałać bezpośrednio krzykowi robotnika o chleb i musi uszanować prawo strajkowania. Poprawa zaś wystąpień bezzasadnych, jak to, które mi pan przedstawił, może być uskutecznioma tylko pośrednio przez polepszenie stosunków między chlebodawcami i pracownikami i ogólnych naszych stosunków ekonomicznych. Wkroczenie bezpośrednio rządu w te zatargi połączone byłoby dzisiaj z wielu niebezpieczeństwami. Przedewszystkiem należy spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu bolszewickiemu. Nie można nie widzieć, że teorie bolszewickie posiadają ogromną siłę atrakcyjną dla każdego proletariatu, a przeto i dla naszego. I jest w nich pierwiastek sprawiedliwości społecznej, choć spaczony w rękę szalbierczych przywódców i w tępych łbach azjatyckiego

tlumu. Od takiego pojmowania porządku społecznego rząd powinien Cudno ochronić.

Aprobacyjnymi pół-ukłonami przyklaskiwał Szaropolski w tem miejscu przemowie ministra, który ciągnął dalej:

— Gdybyśmy zatem rozdrażnili nasz proletarjat jakimiś ostremi zarządzeniami przeciw nadużyciom strajkowym, popchnęlibyśmy go jeszcze bardziej w objęcia agentów bolszewickich, których tu nie brak.

— A nie możnaby tych agentów wylapać, wypędzić, lub... zupełnie obezwładnić? — zaryzykował Szaropolski.

— I na to jeszcze nie czas. Trzeba zrozumieć ogromne trudności rządu przy opanowaniu obecnego chaosu i ulepieniu z niego przyszłego, szczęśliwego Cudna. Nie wzięliśmy dziedzictwa po dobrych gospodarzach ziemi, lecz po wrogach; nie dopełniamy dawnej organizacji, lecz budujemy na gruzach pośród mnóstwa przeszkód, stawianych nam dotychczas przez wrogów. Do przyszłego, idealnego porządku nie możemy iść prosto, przebojem — musimy pęłzać.

(Pęłzać? — pomyślał Szaropolski — wyrażenie oryginalne, ale zrozumiałe).

— Musimy się liczyć z przemożnymi żądaniami ludzkości zdenerwowanej, zrozpaczonej,

czy rozpasanej — gdy kto ją chce tak nazwać — na skutek wojny. Żądania proletariatu, chociaż skrajne, są zasadniczo słuszne. Nasze i przyszłe pokolenia muszą zapłacić proletariatowi za wieki ucisku i niedoli.

— Może być, panie ministrze. Tylko upatruję w tem pewną zawilść: czy proletariatu umie stawiać żądania choćby dla siebie pożyteczne? Bo na przykład zatarg, który miałem zaszczyt panu przedstawić, wychodzi na złe obu stronom: robotnicy stawiają żądania niedorzeczne i niemożliwe do przyjęcia, a czynią to nie z własnego pomysłu, lecz z nakazu jakiegoś tam delegata, nad którym stoi wyższa jeszcze władza spiskowa. Większość moich robotników chce pracować, lecz nie śmie się narażać swym „starszym“, a tymczasem moja fabryka stoi, ze stratą robotników, moją i ogólną. Zarobią na tem chyba owi „starsi“.

— O jakiej starszyźnie pan mówi? — zapytał uważnie minister.

— Nie znam jej, panie ministrze, oprócz owego delegata — śmiem powiedzieć: bardzo zuchwałego warchoła. Ale przypuszczam... Gdziekolwiek w Cudnie dotrze się do jądra jakiejś agitacji, trafia się na Żydów. I Żydzi wogóle wypowiedzieli dziś wojnę aryjskiej cywilizacji, a nam w pierwszej linji — powtarzał Ed-

win teorię stryja Joachima, aby wypróbować ministra.

Wahadłowski przymknął oczy, namyślając się przez chwilę, poczem spojrzał na zegarek i rzekł:

— Sprawa, o którą pan potracił, wymagałaby dłuższej rozmowy. Nasze stosunki z Żydami są rzeczywiście mocno zajątrzone. — Pan mi się wydaje antysemitą?

— Nie byłem nim, jako żywo, aż do mego przyjazdu do Cudna. Owszem, miewałem z angielskimi Żydami stosunki handlowe i towarzyskie. Ale tutaj, przyzna pan minister...

— A właśnie tutaj — i szczególnie dzisiaj — należałoby powściągnąć wszelkie wystąpienia antysemityczne, gdyż ważą się na Zachodzie najważniejsze nasze sprawy międzynarodowe, na które Żydzi mają wpływ ogromny. Szczególniej dzisiaj nie należy jątrzyć Żydów. Mogę nawet panu oznajmić poufnie, że okólnik w tym duchu przesłaliśmy tymi dniami do niektórych organów prasy.

Na takie dictum Szaropolski nie znalazł odpowiedzi; skłonił się niewyraźnie. A minister powstał i zreasumował swe zdanie w sprawie osobistej Szaropolskiego:

— Zatem, jak mówiłem, rząd nie zamierza w najbliższym czasie ogłaszać żadnych ograniczeń prawa strajkowania, chociaż nie pochwała

niektórych w niem przesad i stara się usilnie naprawić stosunki, wywołujące strajki. Ministerstwo zaś pracy, do którego radzę panu się udać, ma pewne sposoby interwencji polubownej — może pan z nich skorzystać. — —

Marmur ministerjalny powrócił do posagowego pionu i zadzwonił.

Szaropolski wyniósł z audjencji wrażenie... poważne. Wahadłowski mówił przecie do rzeczy, nie bał, jak Powidło. Rząd jest widocznie lewicowy, pomimo gruntownej zmiany osób, ale uczciwy, godny poszanowania. Może to zgodne z duchem czasu, że rząd przechyla się na lewo? — — Bo przecie otaczają nas niebezpieczeństwa nie byle jakie: bolszewicy, żydzi.. Ale czy bać się ich, czy przedewszystkiem z nimi walczyć? Oto kwestja. — — Jednak Wahadłowski jest bezwarunkowo uczciwy; tak o nim słyhać i to widać, gdy się go pozna.

Składając w głowie szczegóły rozmowy z ministrem, szedł nieuważnie po ulicy Zarwańskiej — aż go ocucił z zadumy zbliżający się hałas i zastanowiło spostrzeżenie, że publiczność przystaje na chodnikach, oczekując na jakieś widowisko. Niebawem poznał w nieskładnem wyciu tłumy „Czerwony sztandar“, pieśń nienawiści, którą słyszał już nieraz za rządów Wichrowatego. Nie z prostej ciekawości przystanął w sze-

regu oczekujących, lecz dla zbadania, czego tłum czerwony chce od nowego rządu, co najmniej łagodnie względem proletariatu usposobionego? Nie dostrzegł jednak tym razem niesionych na dragach napisów programowych, tylko usłyszał parę oddalonych jeszcze, spazmatycznych okrzyków, pokrywanych aprobacyjną wrzawą. Były to zapewne: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!“, albo: „Śmierć burżuom!“

— To już znamy — rzekł półgłosem, flegmatycznie.

Ale krótkie to zdanie wywołało pomruk jego sąsiada na chodniku, sangwinika, który zaczął mleć przez zęby liczne wyrazy, ubliżające manifestacji.

— Czego oni chcą? czy pan wie? — odezwał się Szaropolski.

— Czego chcą?! — Pieniądzy bez roboty, żarcia cudzego chleba, wypuszczenia bandytów z więzień — takich bagatelek, panie!

— No, do tego nie przyznają się wyraźnie. Ale dlaczego wybrali się na przechadzkę? Dokąd idą? — czy panu nie wiadomo?

— A idą podobno rozbijać wiec, na którym przemawiają porządni ludzie.

— To się zapewne spotkają z oporem policji?

— Policja u nas?! Czy pan nie z Cudna?

— Owszem — odrzekł Szaropolski, nie chcąc się legitymować przed nieznanym.

— Więc pan słyszał o czerwonej straży?

— Słyszałem. Ale... — bo byłem czas pewien poza Cudnem — czerwona straż funkcjonowała za rządów Wichrowatego a mamy przecie rząd nowy, lepszy?

— Może kiedy będzie? Tymczasem wszystko po staremu. I czerwona straż ciągle na miejscu. Ładna mi straż złożona z samych bandytów.

Tymczasem zbliżyło się już czoło pochodu. Sąsiad targnął Szaropolskiego za rękaw:

— O! widzi pan? widzi pan?... tych dwóch na przedzie — jeden taki wilkiem patrzący, a drugi Żyd. —

— No, widzę.

— To Polenow i Biberpelc — pełnej krwi bolszewiki!

— Jakże ich pan zna?

— A pan dlaczego nie zna? — Byli już w pismach fotografowani.

— I chodzą sobie tak na czele naszych robotników?

— Już ich dwa razy niby aresztowano za krwawe burdy i przeciwpaństwową agitację. Ale nazajutrz ich wypuszczają. I chodzą sobie, jak pan widzi.

— Któż to się z nimi tak bawi, jak kot z myszą?

— Któżby, jeżeli nie minister chodzący z prawa na lewo i z powrotem. Prawdziwe Wahadło!

— O, do licha! — pomyślał Szaropolski — gdyby to była prawda? — —

Już pierwszy szereg pochodu z czerwoną szmatą na drągu dochodził do posterunku rozmawiających. Ktoś z dalszych sąsiadów zdjął czapkę z głowy. Sąsiad bezpośredni Szaropolskiego odezwał się teraz mniej reżolutnie:

— Wie pan... chodźmy stąd — jeszcze nam każą zdejmować kapekusz przed ich czerwoną płachtą.

— Chciałbym widzieć tego, który mi każe — odrzekł Szaropolski wesoło — łaskę zawiesił na kieszeni i wyciągnął przed się obie ręce, przebierając palcami w angielskich rękawicach. Zaczem i sangwinik nabrał otuchy i powrócił do jawnej postawy opozycyjnej.

Pochód mijał krótko, nadrabiając zuchwałości minami i ochryplą wrzawą; mógł liczyć paręset osób. Publiczność z chodników nie solidaryzowała się z nimi wcale, ani głosem, ani ruchem. Biła raczej od niej wstrzemięźliwa pogarda.

— Jak na manifestację potęgi, trochę mało — uśmiechnął się Szaropolski.

— Bo tak i w mieście; nas jest sto razy wię-

cej — odrzekł znowu buńczucznie towarzysz Edwina.

Ale Szaropolskiemu odechciało się dalszej z nim rozmowy; pożegnał go lekkim ukłonem i poszedł swoją drogą.

Przypomniiał, że mało używał ruchu w ostatnich czasach i groziło mu niebezpieczeństwo utycia. Skorzystał ze sposobności długiej przechadzki i pieszo powracał do domu. Dodatnie wrażenie wizyty u ministra zamazało mu uliczne błoto.

Umiejętny poszukiwacz prawdy znajdzie jej często więcej w ulicznym błocie, niż w świetnym exposé ministra. Minister wie dużo, ale mówi tylko tyle, ile wypada dla utrzymania tej, lub owej postawy politycznej. Błoto zaś nic nie wie, lecz układa się w wyraziste odbitki pod stopami deptających je mędrców i dudków. W głowie ministra mieszkają cnoty rozmaite: względność dla nieprzyjaciół kraju, wszechstronność poglądów i inne modyfikacje zdrowego rozsądku; ale niecnotliwe błoto nie rezonuje, zatem odbija wierne ślady dotyczących go zdarzeń. To też uczciwa mowa ludzka nazywa kierunek życia drogą, nie wskazaniem ministerjalnem, chociaż droga jest z gatunku błota, a wskazanie ma być rzutem jasnego światła z wyżyn.

Tym podobne rozmyślenia zajęły Szaropol-

skiemu czas wędrówki aż do ulicy Żalösnej, bliskiej już jego mieszkania przy Lubej.

Idąc przez Żalösną, mijał nieraz gmach, gdzie mieściła się za dawnego rządu komisja umundurowania, której obiecał niegdyś zemstę za skreślenie oferty angielskiego sukna. Zaniechał filozoficznie tego zamiaru, ale sam gmach budził w nim dawną chętkę. Czy dzisiaj mieści się w nim jeszcze taka komisja i kto w niej obecnie zasiada? Tablica przy bramie rozstrzygała pierwszą część wątpliwości. Jest — ta sama tablica i komisja. Aby jednak dowiedzieć się, kto tam gospodaruje, trzeba by wejść do lokalu, udając jakiś interes. To się Edwinowi nie uśmiechało, więc machnął ręką na cały projekt.

Ale właśnie, gdy mijał dom, wychodzili z bramy trzech oficerowie, widocznie po ukończeniu prac biurowych. Szaropolski spojrzał na nich ciekawie i aż drgnął z oburzenia. Przebóg! — były to te same karykatury oficerów polskich: ksiązę Józef i dwa Berki Joselewicze!

Spojrzał — zadrżał — nie zabił nikogo. Ale musiał mieć wyraz twarzy wyzywający, gdyż Machabeusze, którzy z pewnością też go poznali, wtulili w kołnierze płaszców swe wyraziste uszy, mijając szybko i ostrożnie.

— Tego już zawiele! — zawołał Edwin. — Jeżeli odnowiona machina państwowa używa

ciagle jeszcze tych samych plugawych narzędzi, można stracić wszelką nadzieję!

Dopadł do swego mieszkania i zamknął się w niem szczelnie.

W parę dni później spakował dwa kufry, jak na dużą podróż, i wyjechał, nie opowiadając się nikomu.

XII.

Mijały dni i tygodnie bez wieści i celu podróży i o dacie powrotu Edwina Szaropolskiego. Nie zaniepokoiło się Cudno, nie pisały o tem gazety, gdyż Szaropolski nie zdążył jeszcze stać się głośnym, ani niezbędnym w Cudnie; ale w kółku pseudo-rodzinnem, w fabryce, zaniepokojenie było spazmatyczne już w tydzień po zniknięciu Edwina.

— Jeden van der Winder może coś o tem wiedzieć — twierdziła uporczywie Łodzia w rozmowie ze swą panią.

Los „opuszczonych“ zbliżył obie niewiasty i stał się niewyczerpanym tematem gawęd między niemi.

— Zapytaj raz tego van der Windr'a. Wiesz, gdzie mieszka? — mówiła pani Marusia.

— Wiem. Ale niema go w Cudnie. Wyjechał w parę dni po naszym panu.

— A ty skąd wiesz o tem?

— Wiem... od Marcina.

— Sam pan nic nie powiedział? Przyznaj się, Łodziu,

— Nie, proszę pani, nie — odrzekła służąca ze szczerym smutkiem.

Marusia, której Lodzia trefila włosy, spojrziała na obraz swej kamerystki odbity w lustrze:

— Wy sobie dużo rzeczy mówiliście, Lodziu.

— Naturalnie, że dużo — przecie pan nie miał tu inszej usługi. — Niech się pani nie kręci, bo zadre...

— To ty coś kręcisz, Lodziu. Gadaliście czasem do trzeciej w nocy. Już ja wiem więcej, niż ci się zdaje.

— Ee, pani zaraz tam! — Bo pan ma swoje przyzwyczajenia, pije herbatę w nocy. Przecie zawsze chodziłam tam z imbrykiem.

— Ciepła woda do niczego nie przeszkadza — odparła figlarnie Marusia.

Służącej bruździł bardzo w dyplomacji jeden powabny defekt: rumieniła się łatwo.

— Ja pani wcale nie uczeszę, jeżeli będzie zadzierała na mnie głowę.

— No już, już — przestanę cię prześladować.

Panna Małankowska ceniła swą kamerystkę, gdyż była zręczna, szykowna, wesoła i starczyła za towarzystwo, w braku lepszego. Również Lodzia lubiła swą panią za uprzejmość, rozrzutność i „dobre miejsce“, gdyż zarabiała sporo, od pani i od gości, bez zbytej pracy. Ale od czasu za-

instalowania się w fabryce, między panną artystyczną, a służebną zamąciło się nieco porozumienie z powodu bliskości Szaropolskiego. Marusia od podejrzeń dochodziła do przekonania, że ten niegodny Edwin przeniósł wdzięki ciemnej Łodzi nad jej słoneczną grzywę i artystyczną duszę. Postanowiła zemścić się po kobiecemu. Łodzia zaś bała się zasadniczo osławionej zmienności mężczyzn i zdawała sobie dokładnie sprawę z zabiegów Malankowskiej w celu usidlenia Szaropolskiego.

W parę tygodni później, 1-go marca, dzień był rozmarzający, jeden z tych luźnych poprzedników wiosny, gdy ziemia jeszcze śpi w zamrozie, lecz przez powietrze ciągną lube obietnice. Opowiadano, że na krzakach bzu, sterczących na podwórzu, zaczynają nabrzmiewać pączki. Takie spostrzeżenia są radośniejsze, niż widok róży rosnącej i zakwitającej w kilka minut pod magiczną laseczką fakira. Współmieszkanki lokalu kancelaryjnego przez cały dzień były na powietrzu: ta na targu, tamta u krawcowej; jedna po guziki, nici i pomadkę do trzewików, druga w dwóch dyрекcjach teatrów, gdyż zebrało się jej na troskę o przyszłość artystyczną. Wieczorem spotkały się znowu w domu, zmęczone, lecz skłonne do gawędy.

Łodzia zastawiła wieszak.

— Siadaj, Lodziu; nalatałaś się — napij się ze mną herbaty.

Ten zaszczyt nie był pierwszozną dla Łodzi. Usiadła swobodnie.

— Pierwszy marca — i żadnej od niego wiadomości — to jednak nadzwyczajne! — rozpoznała Marusia.

— I van der Winder mówi, że nie wie, kiedy pan wróci.

— To Holender przyjechał?

— Wczoraj wieczór.

— I byłaś u niego?

— Marcin mi mówił. — Ale choćbym i była, cóż w tem złego?

— Nic złego. — Tęskno ci? — utkwiała Marusia w oczy Łodzi spojrzenie przenikliwe.

— No, przecie. Lepiej było z męską opieką, jeszcze w takich niebezpiecznych czasach. — A pani nie tęskni?

— Ja oczekuję go z innych powodów. Trzeba ustalić coś co do tego mieszkania. Nie możemy tu wiecznie pozostać w oddaleniu od teatrów. A ja się będę musiała zaangażować.

Wtem zabrzmiał dzwonek od ulicy.

— Może to on?! — krzyknęły obie, jak na komendę.

Gdzież tam! Był to kolektor opłaty za użycie prądu elektrycznego.

— Cóż my znowu tyle wypaliliśmy? — dąsała się Marusia, oglądając rachunek.

— Dzień jeszcze krótki — pocieszała Lodzia.

Poczem zapłacono. A rozmowa o Edwinie popłynęła dalej:

— Mylisz się, Lodziu, jeżeli myślisz, że ja mam w sercu coś więcej, niż sympatię dla Edwina. Jest to człowiek przyjemny, przystojny, dobrze wychowany, ale pół Anglika.

— A Anglicy to niby co? — zapytała ciekawie Lodzia.

— Anglicy traktują kobiety, jak podwieczorek. Kiedy im podadzą, a smacznie, — jedzą; ale mogą się bez tego obejść.

— Ej, mówi tam pani! Pan Szaropolski jest cały Polak i z kobietami bardzo grzeczny.

— Grzeczny? — rozśmiała się Marusia — ty to nazywasz: grzeczny? On z kobietami jest nawet bardzo przedsiębiorczy. Już ja coś o tem wiem.

— Pani?? — spytała Lodzia i przybladła.

— Ja. Co on mi wygaduje czasem, kiedy jest w humorze! Tylko ponieważ ja go wcale nie zachęcam, czuje się potem obrażony i całymi dniami ze mną nie gada.

Biednej dziewczynie kropla jadu zazdrości przeniknęła do krwi i ścisnęła serce. Ale ukry-

wała, jak mogła, cierpienie, pragnąc namiętnie pozyskać dowód namacalny.

— Kiedyż to było? — zapytała.

— Ach, ile razy! Najprzód, kiedym przyszła do niego w interesie tego właśnie mieszkania. Jak mnie on tam sadzał przy kominie, a rozbierał z futra, a ubierał, — jak mi chciał nóżki ogrzewać! Naturalnie zachowywałam się poważnie, więc obeszło się bez wielkich czułości; tylko dobiliśmy targu o mieszkanie.

— To pani za mieszkanie płaci? — wtrąciła Lodzia, która z niejednej już konwersacji wiedziała, że Marusia mieszka tu darmo.

— Nie płacę. Mówiłam właśnie, że jest uprzejmy. Ale ja o czym innym. Pamiętasz, kiedy tu miałam migrenę, leżałam w łóżku z głową zawiązaną w turban? I kiedy poprosiłam go, żeby mnie odwiedził? Co on tu wyprawiał! Chciałam na ciebie zadzwonić.

— To pamiętam! — zawołała Lodzia, nagle uradowana — bo przyznać się już muszę pani, że cały czas patrzyłam przez szparę we drzwiach. Jeszcze pani na pożegnanie wyciągnęła do niego obie gołe ręce, a on krok odstąpił, tylko końce palców pocałował i poszedł sobie.

Panna Malankowska pokryła lekką konfuzję przez pozory niecierpliwości:

— To źle widać przez szparę. — Ale co ja ci mam opowiadać te wszystkie głupstwa? Kiedy kobieta nie upoważnia mężczyzny do zuchwałości, kończy się na scenie subtelnej... jak w teatrze. Tylko ci mówię, że ja znam dobrze mężczyzn. Widywałam ich dużo i w teatrach i w salonach wielkopańskich. Szaropolski należy do takich typów, co to kobietę traktują, jak zabawkę. Ręczę ci, że onby ciebie, czy nawet mnie, gdyby to było możliwe, oddał za tę czarną fasolę, którą handluje.

Lodzia, trochę uspokojona w zazdrości, obraziła się teraz za Szaropolskiego:

— Ja tam wiem tylko, że nasz pan jest bardzo porządny — nie żeby należał do jakichś... typów.

— Ależ, dziecko, typ — to znaczy: gatunek.

— A jeżeli gatunek, to nasz pan jest z dobrego gatunku. Kiedy co powie, to tak jest — a mnie też powiedział niejedno..

— Jeżeli ci wszystko mówi, to wiesz zapewne, dokąd pojechał i kiedy wróci?

— Tego nie wiem, bo nie powiedział.

— Ja cię tylko ostrzegam, Lodziu, żeby mu nie zanadto wierzyć. To człowiek wyrachowany i niedobry przyjaciel kobiety.

— Jak dla której — odrzekła Lodzia.

Dopila pośpiesznie herbatę i, wstając od stołu, pożegnała się na pół tylko grzecznie:

— Dziękuję pani.

I panna Malankowska nie była z siebie zadowolona. Chciała wybadać ostatecznie Łodzie, ocalić swoją wyższość przez opowiadanie, jak odpaliła gorące zaloty Edwina; chciała mu przez zemstę zbuntować kochankę. Tego wszystkiego nie dopięła — pokłóciła się tylko z dobrą i potrzebną służącą.

Pływały w mieszkaniu przyfabrycznem dni monotonne, urządzone na przetrwanie aż do lepszych czasów.

Taki był zresztą stan całej ziemi cudeńskiej, w której masa mieszkańców: burżujów, obojętników, spadłych z etatu dygnitarzy, niezaraźliwych dążycieli, wahadłowych polityków, nie wyłączając nawet kunktatorskich Robów, — oczekiwała lepszych czasów, przypatrując się biernie, choć ciekawie eksperymentom, które wyprawiali w Cudnie ludzie dobrej i złej woli, iluminacji chorzy na manję rządzenia, spekulanci przebrani za patrijotów, niedołęgi z gestami zawodowców, oraz pstrokata kupa wybrańców narodu, których niebezpieczna gra w cetno i lichy, zwana głosowaniem powszechnem, zapędziła do suwerennej izby prawodawczej. Niepodobna

bowiem przemilczeć, nawet w skromnej gawędzie o losach Szaropolskiego, że w tym właśnie czasie zwołana została konstyтуanta cudęńska.

*

*

*

Pewnego dnia pączki na bzach pękły na dobre i okazały kielki barwy nadziei. Powietrze naprawdę pachnęło wiosną, zwłaszcza, że wiatr wiał od strony bliskiej rogatki miasta. Obie mieszkanki lokalu kancelaryjnego okazywały rzewność i podniecenie, a Łodzia twierdziła nawet kategorycznie, że coś się dzisiaj takiego stanie. — —

Zgadła prawdziwa miłośnica. Nakrywała właśnie do obiadu, gdy zamilkł przed fabryką turkot doróżki i wkrótce ukazał się na podwórzu Edwin Szaropolski we własnej osobie. Podążył do swego pokoju.

— Nie mówiłam?! — wykrzyknęła Łodzia aż nadto wyraziście.

— Dobrze... A teraz: co mamy na obiad? — pytała Marusia, także wzruszona.

— Mamy kartoflankę — dobrą.

— Na drugie?

— Pieczeń baranią z fasolą. — — Ale czy pan lubi pieczeń baranią? — — Polecę zapytać!

Zanim otrzymała upoważnienie, pobięła pędem.

Po upływie pół godziny zjawił się w kancelarji Edwin wyświeżony, bez najmniejszej poszlaki wyrzutów sumienia.

— Czy to można tak?! — zawołała Marusia, podając mu obie ręce. — Ale ślicznie pan wygląda!

— Zmieniłem powietrze. Przyjeżdżam specjalnie do pani, aby jej donieść o pewnej tranzakcji, która może panią obejdzie, ale nie przyczyni jej kłopotu. Sprzedałem fabrykę.

— Tę naszą? — jęknęła panna Malankowska.

— Tę — już nawet nie moją. Ale postawiłem warunek, że pani może tu pozostać do 1-go lipca. Czy termin pani dogadza?

— Ach, ja się postaram jutro ustąpić! — odrzekła prawie z oburzeniem.

Jednak w samym fakcie i w wyrazie twarzy Edwina było coś nieubłaganego. Marusia poczuła, że gdyby nawet zapłakała, nicby się nie zmieniło. Więc spróbowała uderzyć w strunę siostrzanej troskliwości:

— Czy przynajmniej zrobił pan dobry interes?

— Sprzedałem fabrykę bez straty.

— A kupił pan co innego?... Może pan wogóle opuszcza Cudno? — dodała szybko i z rzeczywistym niepokojem.

— W Cudnie będę miał zawsze mieszkanie.

Ale zataczam szerokie kręgi... Nie widzę, co bym mógł na razie robić w Cudnie.

— Przecie idzie ku lepszemu...

— Może idzie, ale nie doszło. Ja zaś nie umiem siedzieć beczynnie.

Był to szereg prawd zimnych i nie podlegających dyskusji. Więc panna Malankowska, odzierając się trudno od wielkich projektów, chwyciła się najmniejszego:

— Ale zje pan ze mną obiad?

— Owszem, z przyjemnością. Wracam z kolei żelaznej i jestem naczczo.

— Łodzia mówiła panu, co mamy na obiad?

— Łodzia?... tak, coś mówiła... Zrazy?

— Wcale nie; pieczeń barania.

— Tak, tak, bardzo lubię.

Rozgoryczona ze wszech miar, panna Malankowska usiadła do stołu i rozplakała się.

— Ostatni raz!

— Ależ, panno Marusiul — będziemy się często widywali. Ani mi się śni porzucać rodzinnego kraju.

Łodzia miała również zapłakane oczy. Zdaje się nawet, że zupa była od lez gorzka. Jednak Edwin starał się ucztę odżałować opowiadaniem o wiosnie, o podróżach, o ładach i morzach. Byłby niezwykle przyjemny, gdyby nad ucztą nie wisiał wyrok: ostatnia!

XIII.

Tego samego dnia w nocy powrócił Szaropolski do Znojna, które już od paru tygodni było jego własnością. Nie chwalił się tym nabytkiem w Cudnie, aby nie wywołać projektu wizyt damskich, które przeszkodziłyby mu dotkliwie w urządzaniu nowej siedziby i nowego warsztatu pracy. A gospodarował już zawzięcie w starym dworze, trochę zaś ostrożniej na polach, zaledwie obnażonych ze śnieżnych obrusów i rozbudzonych do nowej, radosnej kampanji.

Poszedł właśnie za radą stryja Joachima: odczepił się od panny Malankowskiej, sprzedał fabrykę w Cudnie i kupił Znojno. Ani trochę go to nie korciło, że zmienił zdanie i wykonał te projekty stryjowe, którym jeszcze pod koniec przeszłego roku opierał się. Doszedł bowiem do uznania ich pożyteczności inną, własną drogą rozumowania. Oddalił się od panny Malankowskiej nie dlatego, że była z wyklętej przez Joachima kasty aktorskiej, lecz, że nie chciał komplikować sobie czynnego życia przez zaciąganie

jakichkolwiek obowiązków względem niewiasty wysoce wymagającej, a na towarzyszkę pracy niezdatnej. Nabył Znojno nie dlatego jedynie, że była to niegdyś posiadłość rodzinna, lecz jako kawał dobrej ziemi, pewną lokatę kapitału i podstawę stosowną do rozmaitych przedsięwzięciach produkcyjnych. A czy stary stryj chęlnie się będzie, że on miał pierwszy te zbawienne pomysły — to było Edwinowi obojętne. Cieszył się raczej, że zadowolili stryja.

Bo Joachim był prawdziwie uszczęśliwiony i, jak obiecywał, — odmłodził. Dopiął swych długo żywionych zamiarów: „pogłębił rasę aktorską“ i ujrzał w ręku Szaropolskich rodzinne gniazdo, do którego natychmiast się przeniósł, na gorącą prośbę Edwina. Służył mu za administratora folwarku i doradcę do spraw rolniczych, a otrzymał w zamian stanowisko i tytuł „starszego pana“; przewiózł tu swe meble, książki i tokarnię, przylgnął odrazu do ścian i kątów, jakby w nich od lat dziecięcych rezydował. Sielanka stryja z synowcem udawała się dotychczas wybornie; nawet Joachim, zbywszy ciężaru z bark i z mózgu, wyprostował się, nabrał manier starego „dziedzica“ i bardzo już rzadko zrzędził.

Powróciwszy do Znojna w środku nocy, Edwin poszedł spać, nie budząc stryja, przespaliśmy smacznie aż do późnego ranka, a gdy ocknął

o pół do dziesiątej, zdziwił się, że nie słyszy na dworze roboczego hałasu, wiercenia murów, chrzęstu pil i kucia młotów, które go budziły dotychczas o świcie. Rozpoczął bowiem ulepszenia w domu od zaprowadzenia kanalizacji, łazienek, zlewów i tym podobnych urządzeń, mało dotąd w ziemi cudzeńskiej rozpowszechnionych. Narzucił poranne ubranie i poszedł przez szereg izb do pokojów „starszego pana“.

Zastał go ubranego w pokoju. Zwykle Joachim wstawał o świcie i wychodził przynajmniej na okólnik folwarczny, jeżeli nie w pole. Przyzywiali się serdecznie.

— Cóż u nas dzisiaj w gospodarstwie? orka?
— zapytał wesoło Edwin.

— Święto dzisiaj — odpowiedział Joachim.

— Co za święto? — wtorek. — —

— Matki Boskiej Odżywnej, jak tu nazywają.

— Nie krzyw się; święto wiosny — i dzień wcale ładny.

— To dlatego i w domu przerwano pracę?

— Ano, trudno. Ja tylko sam przy warsztacie; toczę ręczki do przyrządów w łazience.

— Brawo, stryju!

— A twoje interesy w Cudnie? Powiedziałaś pannie Malankowskiej?

— Powiedziałem tylko o sprzedaży fabryki; o Znojnie ani słowa. Dalem jej termin do wyprowadzenia się 1-go lipca.

— A nasze meble? — zapytał Joachim z niepokojem.

— Panna Malankowska ma zamiar wyprowadzić się natychmiast. Ma jej to ułatwić Robert, z którym jest ona w coraz lepszym porozumieniu. Gdyby jednak nie zdołała przenieść się natychmiast, meble nasze jutro, lub pojutrze zostaną opakowane i wysłane do Znojna. Zajmie się tem van der Winder, a nikt, jak on, nie potrafi deptać po piętach robotnikom i zarządowi kolei.

— Tak, to dzielny człowiek. Zostawiasz go nadal przy sobie?

— Ależ naturalnie. Znalazł mieszkanie, gdzie i ja będę miał swój pokój z osobnem wejściem, na przyjazdy do Cudna. Jego zaś potrzebować będę do rozmaitych przedsięwzięć, a najprzód do krochmalni, którą zakładamy w Znojni. Robią się już plany i kosztorysy.

Joachim zacierał ręce, czego nigdy dawniej, w Cudnie, nie widziano. Potem, chcąc wyczerpać wszystkie powiadomienia, których pragnął, odezwał się nawiasowo:

— No... a z Łodzią?..

— Pożegnałem się z nią czule i obiecałem częste powroty do Cudna. Chciałem dla niej kupić niewielki sklep z kapeluszami, do których ma talent, ale — nie kupilem. Zapytałem, czy woli ten sklep, czy przeznaczoną na niego sumę

10,000 marek — dałem jej do wyboru. Ze łzami w oczach wybrała sumkę w gotowiźnie. — Ale to dobra dziewczyna, ładna, szczerą, nie głupia i nawet przywiązana.

— Tak, tak — wierzył Joachim. — A ona tutaj... nie przyjedzie?

— Ach, nie! — Coby ona tutaj? Tu jest wieś — prostota — surowe obyczaje — śmiał się Edwin zwycięsko.

Zawtórował mu Joachim tak szczerze, jak nigdy go nie widziano śmiejącego się:

— Wiesz co, Edwinku? Czuję się w Znojnie bardzo zdrowym i zaczynam przemyślać o ożenku. Poszukam Angielki, żeby z nią mieć syna w twoim rodzaju. Widocznie krzyżowanie Szaropolskich z rasą brytańską udaje się.

— No, niech stryj spróbuje.

— Namyśle się — może jeszcze później! — A tymczasem wystarczasz mi, jako wynik już osiągnięty i doskonały.

Po tem wesołym rozrzewnieniu powrócili jeszcze do interesów bieżących. Pytał Joachim:

— Czy aby fortepian starannie opakuja? Bo to cenny instrument.

— Mam nadzieję; van der Winder zna się i na fortepianach.

— To dobrze. Że się trochę odstroi, damy temu radę. Jabym go postawił w małym saloniku, bo wielki będzie trudny do umeblowania.

— Zwłaszcza, że Niemcy urządzili w nim parnik dla paszy koni — przypomniał sobie Edwin urazę do najeźdźców.

— Nie gadaj mi o tych Szwabach! Parnik załatał już poprzedni właściciel, chociaż niedokładnie. Ale złodzieje wywieźli portret naszego pradziada, który tu wisiał od naszych czasów. Podobał im się, że był w kompletnym polskim mundurze! — Kanalje!

— Przepadło, stryju. Ale może jeszcze my wymalujemy się w polskich mundurach?

— Ja bo już nie. — Ale czyżbyś ty zamierzał?

— Kto to wie?...

Spojrzał stary na młodego z ojcowską dumą i troskliwością. Dreszcz przeczuciowy przeszył powietrze.

Powróciła jednak natychmiast gawęda gospodarska.

— Ruń ruszyła się już porządnie przez tę parę dni ciepłych — raportował Joachim.

— A kiedy siał będziemy zboża jare? Jest to obrzęd, do którego czuję pewien zapal — a nigdy go nie widziałem.

— Ale ty sobie zapewne wyobrażasz siew ręczny, rzutem? O tym zwykle śpiewają poeci.

— Gdzież tam, stryju, siew maszyną — siewnikiem rzędowym. Ja nie tęsknię ani trochę za pierwotnością, za powrotem do stanu na-

tury. Maszyna ma swoją poezję; pomnożona skuteczność uszlachetnia narzędzie. Dobra maszyna wzmaga i oszczędza pracę. To jest piękne, a zatem może być i poetyczne. A czyż jest inaczej z narzędziami sztuki? Czy wynalazek druku nie sprowadził ogromnego rozkwitu literatury? Czy stryj nie woli grać na doskonałym fortepianie, niż na starożytniej gęśli?

— Może masz słuszość! — zadumał się Joachim.

— A taki siewnik amerykański „Superior“ — czy to nie wspaniałe narzędzie, warte poematu?

— Bukolik nowego Wirgiljusza — domówił Joachim po literacku. — Ale ty skąd masz wiadomości o narzędziach rolniczych?

— Od miesiąca czytam dzieła agronomiczne.

— No, no! — — Ja zaś całe życie przyglądałem się wsi i roli. Dopiero teraz do niej się dorwałem — westchnął stary, jednak nie boleśnie.

Poradził następnie Edwinowi, aby się ubiał i wyszedł na powietrze, bardzo dzisiaj przyjemne.

Wyszli wkrótce. Trwało w powietrzu ścieranie się chłodu z letniością; zimowe zamrozy, dyszące jeszcze z zaklętych cieni, dobijała nowa, radosna potęga, która wiała tchem szerokim od ziemi aż do promiennego błękitu. Nozdrza

i usta ludzkie chwytają smaki przedziwne słodkich lodów. Tak pachnęła roztapiana z zamrozów ziemia.

Przed domem; u końca schodów od bocznego wyjścia siedziała dziewczyna, ustrojona w jasne, świąteczne szatki i patrzyła w ziemię, zazielenioną mchem nowym.

— Co ty tu robisz, Józiu? — zapytał Joachim łagodnie, bo dziewczyna była młoda, ładna i płochliwa.

— A nic — patrzę, jak robaczki wychodzą odżywione. —

— Nie idziesz na mszę?

— Dzisiaj Stefka ma wychodne; ja zostaje przy domu.

Wolałaby zapewne wstąpić w korowód, ciągnący towarzystwo do kościoła. Ale witanie robaczków zajmowało ją filozoficzniej.

Weszli na okólnik folwarczny, pachnący znów inaczej, zawiędłym przeszłorocznym sianem i dobrą wonią przewianego nawozu. Cicho tam było — ledwie kto laził — nudziło się na podwórzu kilku nieczynnym wozom — pod okapem stodoły stał szereg plugów przewróconych, luskając ozorami lemieszów, świeżo przetartych ziemią.

— Jak z parobkami, stryju?

— Można powiedzieć, że połowa pracuje normalnie, a druga byle zżyć, albo i zupełnie źle.

Wiesz? — te pogłoski o rozdawaniu ziemi bezrolnym, przekręcone przez agitatorów bolszewickich, że zaraz im tu rozdadzą ziemię dworską, bydło i konie... Lepsi i rozsądniejsi nie wierzą, ale pijaki i leniuchy powtarzają to, odgrają się, gdy ich napędzać, pomagają do buntowania innych.

— Nie próbował stryj pozbyć się tych gorszych?

— Nielatwa to sprawa. Ich związek robotników rolnych i delegaci jątrzą stosunki z chlebobdawcami, zamiast je ułatwiać. I nie można się pozbyć złego parobka inaczej, jak tylko, gdy mu się dowiedzie kradzieży. Lenistwo i szerzenie przewrotowych teorii nie są wcale uważane za występki, owszem: — za ostoję wolności osobistej.

— To zasadniczo nie lepiej jak w miastach?

— Trochę lepiej, bo dalej od Żydów. Żyd tu jest rzadki i chłop cudeński ma go w pogardzie.

Ponieważ na folwarku panowała świąteczna cisza, wyszli na szersze pole, przecięte szosą, przy której w oddaleniu rozkładała się długa wieś Znojno. Połyskiwał szereg chat, „bielonych na jasno“, czyli właśnie na barwę wczesnego wiosennego nieba. Sznur tych kanciastych paciorków przetykały ciemne, rozmielone słupy topoli. O parę wiorst od Znojna przy szosie wi-

dać było wieżę kościelną — i od Znojna ku wieży ciągnęły kupki wiejskiego ludu, przybranego odświętnie. Szaropolscy oparli się o płot przegonu wyciągnięty w jednym miejscu blisko szosy i czynili przegład.

Mężczyźni szli już wiosennie, w sukmanach czarnych, lub białych, czasem rozpiętych i odsłaniających lejbiki ciemne, przystrojone czerwono, i pasiaste portki; nosili kapelusze stożkowate, małe, otoczone pasmami jaskrawych i złocistych tasiemek. — Kobiety wszystkie porzuciły już kożuszki, szły w bardzo obcisłych spencerkach, suto bursztynem i paciorkami ubranych; głowy miały w szalinówkach pawich, ciałowych, białych z kolorowemi różami, kiecki zaś pasiaste z przeważającym szerokim pasem pomarańczowym między promieniami wielobarwnych prążek. Takie same zapaski obciążały im biodra, a niejednej ramiona, albo i głowę, zarzucone dla ciepła. Szło to wszystko tego, raźnie, bez wilczych zamysłów w oczach. Niektórzy mężczyźni z ludu kłaniali się uprzejmie „dziezicom“, którzy im wzajemnie oddawali ukłony.

— Inni tu ludzie, niż w Cudnie — zauważył Edwin z pogodnym uśmiechem.

— I lepsi — dodał Joachim — egoiści — tak — ale nie wrogowie innych klas społecznych. Polacy przynajmniej...

Rozlegały się piosenki od grup młodszych, które cichły dochodząc do posterunku dziedzi-
ców, raczej przez dumną nieśmiałość, niż przez
bojaźliwość. Ale z jednego klębka skrzącego
barwami buchała pieśń ośmielona, igrzysta, pi-
jana życiem; a że prym w niej trzymał głos
dziewczęcy rozkrzyczany melodyjnym śmie-
chem, Szaropolscy uchwycili, gdy ich mijała,
całą strofę:

Już wiosna nadchodzi, świat się rozwesela,
Już się rozwijają te pachnące ziela,
Te pachnące ziela, białe tulipany —
Komuż mnie zostawisz, Jaśku mój kochany.

W grupie kilku dziewczyn i paru chłopców
nie było wątpliwości, kto rej wodzi. Wyróżniała
się jedna modrooka dziewczyna urodą i rytmi-
cznym polotem drobnych nóżek, obutych w czar-
ne trzewiki czerwono sznurowane. Nawet, gdy
mijała dziedziców, pochyliła naprzód składną
figurkę, nie wypadając z rytmu pochodu i strze-
liła w bok wdzięcznym uśmiechem, niby ocho-
czy oficer, paradujący na czele swego od-
działu.

— A to zaczepna dziewczynka, ta pierwsza
od naszego brzegu! — drgnął aż Edwin, jak przy
dotknięciu elektrycznego prądu.

— Ba! — odrzekł Joachim — pierwsza w Znojnie śpiewaczka i tanecznicą, Marynka.

— To już ją stryj zdążył poznać?!

— A jakże. Urzekła mnie już dziesięć dni temu, gdy pierwszy raz do wsi zajrzał. I teraz ona do mnie tak drygnęła uklonem — do mnie, nie do ciebie — podrwiwał sobie stary, rozweselony.

— No, winszuję. — — —

Mijały kupki ludzi coraz rzadziej, niegodne już spojrzenia po weselnym korowodzie Marynki — i cisza polna zasnuwała wieś wyludnioną z gwarnej młodzieży, pola rosnące do słońca sznurami i prostokątami nieśmiałej zieleni, łąki jeszcze rude, ale już gdzieś ożywione w barwie — te przestrzenie niczego, gdzie pleciło się jednak najbardziej obiecujące, zdrowe życie. Wiatr się lał nieustannie coraz cieplejszy, coraz szerszy, gędząc cicho, a majestatycznie na górnych arfach — a przy ziemi rozbiegał się gadatliwie głos kościelnego dzwonka, przyrzekający pokój ludziom dobrej woli.

— Większe dzwony zabrała wojna — odezwał się Joachim. — To są wogóle tereny zaciętych bitew. Wieś Znojno była bombardowana i palona, ale patrz — już odrosła! I morowy dech wojny nie zmógł potęgi przyrody. Ruń podраста, ciepły wiatr powraca, jak gdyby nigdy nie, młodość śpiewa i gzi się na nowo. — — Zda-

je się nawet, że już powróciły skowronki... Słyszysz? — —

W powietrzu trylowało coś ku górze, bardziej uchwytnie wyobraźnią, niż okiem i uchem.

— Zdaje się, że skowronki. — —

— Teraz się nie gniewasz, zatwardziały techniku, że cię wyprowadził w pole, w ten dzień Matki Boskiej Odżywnej?

— Tak; to mi prawdziwe święto.

Ruszyli jednak wkrótce z miejsca, bo Edwin nie mógł długo trwać w kontemplacji.

— Mamy dzisiaj czas — rzekł Joachim — chcesz? obejdziemy naszą granicę z tej strony?

— I owszem.

Poszli zatem szosą; minęli półka chłopskie, a zeszli dopiero w głąb krainy po między granicznej dworskiego obszaru, w tem miejscu łąkowego. Łąka była mniej wiosenna, niż pola uprawne, przeto smutniejsza, ale dotykała do rzadkiego na tej równinie pagórka, uwieńczonego sosnowym zagajem. Do tego krańca doszli Szaropolscy milcząc, bo przebiegali nogami suchszą drogę po wilgotnej łące, — aż stanęli na pagórku, pod rozpachnioną już choiną. Stąd przejrzeć można było wygodnie obszar dworski.

Łąka ostrzem tylko trójkąta dotykała pagórka; graniczył z nią duży łąn zasiany żytem aż do szosy; leżały za nią mniej więcej geome-

tryczne figury innych pól, zielone, rudo-szare, idące w bezmiar pól podobnych, oparte tylko gdzieniegdzie o daleką wieś, siostrzanie do Znojna podobną — szereg białych domków przetkanych topolami — lub o jeszcze dalszą, błękitniejącą ścianę lasu.

— Patrz! to wszystko nasze! — mówił Joachim gorąco, a zazdrośnie.

Wskazując ręką nikle i trudne do omówienia granice, starał się wykroić ze świata obszar należny Szaropolskim i przez nich odzyskany, owładnięty. Pośrodku tej idealnej porcji widniało gniazdo rodzinne, dosyć obszerne, jakby z chrustu uwite, najeżone zimowymi jeszcze konarami drzew starych.

Ponieważ Edwin zamilkł uważnie, lecz uporczywie, Joachim, zgadując jakieś w nim niezadowolonia, czy wątpliwości, chciał im zapobiec przez optymistyczne tłumaczenie:

— Uważasz, że tutaj zboże nieszczególnie zeszło i trochę pożółkło? — Bo przy górze piasek, a od łąki są mokradła. — A za szosą szaro, mało zasianej oziminy? — — Toć nie rozpoczęliśmy jeszcze wiosennego siewu! Zobaczysz, jak tu w czerwcu zafaluje wszystko, zagęści się. — Wiosna przychodzi wcześniej, może wiele naprawić. Nie twierdzą jednak, żeby rok zapowiadał się obfity; pierwszy po wojnie, po rabun-

kach i rekwizycjach, dorobkowy co się zowie! I niedołęga Kuliński nie umiał sobie radzić, gospodarował jak na cudzem. Ale od tego twoja głowa i dzielność, Edwinie. Nie pożałujesz pracy, ani grosza na wkłady, na sztuczne nawozy, na inwentarz. Musimy mieć fermę wzorową na całą okolicę. To jest zadanie wdzięczne i możliwe do wykonania tutaj, gdzie drapieżne pazury wrogów wewnętrznych trudniej sięgają...

— Zrobi się, zrobi z pomocą stryja — odezwał się Edwin nareszcie — ale ja myślę, gdzie tu najlepiej postawić krochmalnię.

— Krochmalnia na później — odrzekł Joachim z odcieniem niecierpliwości — przede wszystkim ziemia, jedyny warsztat niezawodny, jedyny łatwy do naprawy, podstawowy dla bytu całego pokolenia.

— Nie, stryju — przedewszystkiem krochmalnia, choćbym miał wszystkie kartofle do niej kupować. Na tem się znam, tamtego dopiero się uczyć. Produkcja surowców jest podstawowa i niezbędna — nie przeczę, ale doskonale przeroby, mogące być przedmiotem eksportu zagranicznego, zbliżą nas dopiero do rzędu narodów ekonomicznie potężnych. A to jest jedyna dzisiaj potęga. Dzikie tylko kraje dają sąsiadom surowce. Nie jesteśmy zaś Egiptem, ani Kali-

fornią. Nie mamy nadmiaru zboża, ani kopalnego złota.

— Zapewne, zapewne — ale przecie nie rozbudujesz krochmalni na 1115 morgach twojej posiadłości. Trzeba równolegle myśleć o reszcie.

— Trzeba zbudować krochmalnię jak najbliżej od szosy. Po tej stronie, gdzie stoimy, grunt zaniski i ma wodę podskórną. Najlepsze miejsce, ze względu na sieć dróg istniejących i wzniesienie gruntu, jest to, gdzie stoi dwór.

— Stary dwór byś zniszczył?! — zawołał Joachim rozpaczliwie.

— No nie, przecie go nie zburzę. Ale wypadnie postawić fabrykę bardzo blisko domu.

— Twoja własność i twoja głowa. Tylko jabym... Zrobisz, jak zechcesz, mój drogi.

— Niech stryj mówi — przecie ja cenię jego zdanie. — —

— Więc mnie się zdaje, że nie samym chlebem żyje człowiek, a tembardziej nie krochmallem. Estetyka siedziby, jej odosobnienie od fabrycznego harmideru — toteż wiele warte dla twego zdrowia i humoru; a gdy te ci się zasępią, osłabnie i ochota do pracy.

— Ja lubię około siebie gwar fabryczny.

— A ja lubię... wszystko na swojem miejscu.

— No... miejsca założenia fabryki jeszcze nie obrałem ostatecznie.

Dzień był tak kojący, że ukołł i podmuch niesnaski między starym, a młodym kozłem. Powrócili tylko trochę wcześniej na obiad.

Zastali gości w domu — nie buńczucznych, ani cugami przybyłych, lecz poważnych. Kilku gospodarzy ze Znojna umyśliło z kościoła zejść do dworu, aby przywitać nowego dziedzica. Stali przed domem bezradni, bo i służby wyszkolonej dotychczas nie było, więc nie miał im kto wskazać miejsca stosownego na poczekanie. Na szczęście powrót Szaropolskich z pola zbiegł się prawie z przybyciem chłopskiej delegacji. Skoro tylko dowiedział się o uprzejmym ich zamiarze, Edwin poprosił gospodarzy do wnętrza domu. Ale najprzód wysłuchać musiał na wolnem powietrzu przemówienia starszego gospodarza, Andrzeja Łukawskiego, który z wcale grzeczną fantazją wyluszczył cel odwiedzin bezinteresowny, dla poznania się i zgody wsi ze dworem w tem oswobodzonym państwie cudeńskim. Edwin odpowiedział krótko i rzeczowo, nie miał bowiem nigdy jeszcze do czynienia z chłopami i nie nauczył się tej obłudnej serdeczności, tego tonu protekcyjnie przyjaznego, który przybierają więksi ziemianie w odezwach do sąsiadów z chat. Ale sekundował mu Joachim.

Zaproszono gospodarzy do pierwszej od sieni izby, którą można było nazwać bawialną

tak, jak parę innych, gdyż urządzenie dworu było dotąd zbliżone do pustki. Cztery czarne i dwie białe sukmany umieściły się na paru stol-
kach i kufrach; z trudem wiązała się gawęda. Ale Joachim kazał podać wódkę i przekąskę, która trochę pobudziła umysły do porozumienia. Jednak rozmowa ograniczała się do wymiany zdań o rzeczach oczywistych i wszystkim wiadomych: o wiośnie, o spodziewanych urodzajach, o wciąż rosnących cenach przedmiotów pierwszej potrzeby i o ich braku na rynku. Rozmowa była w rodzaju tych gawęd, w których nie z treści, lecz obok treści, z tonów i wyrazów przypadkowych wyniknie czasem coś ciekawszego. Samo dobrowolne przyjście małorolnych ze Znojna do posiadacza dworskiego obszaru miało znaczenie demonstracyjnie dodatnie. Ceremonja nie była pusta w tych czasach nadprawnienia proletariatu; przysparzała sojuszników do obrony przeciw wyuzdanym żądaniom głodnych, popartym przez zbrodnicze spiski szalbierzy.

Takie mniej więcej uwagi zamienili między sobą Szaropolscy po wyjściu gości wiejskich i zabrali się do obiadu, który, pomimo wad sztuki kulinarnej i usługi, smakował im wyśmienicie, z zaprawą pysznego powietrza i rosnącego animumu obszarniczego.

Po obiedzie, że dzień był w gospodarstwie

eichy, zabrali się Szaropolscy do zajęć w domu; Joachim do tokarstwa, Edwin do przeglądania dość obszernego domostwa, którego nie znalazł jeszcze wszystkich zakątków. Poprzedni właściciel, Kuliński, sprzedał Znojno z inwentarzami żywymi i martwymi, z meblami i sprzętami. Ale co do mebli, wymówił sobie prawo zabrania niektórych, a były pomiędzy wywiezionemi piękne podobno rzeczy. Pisarz gminny miejscowy, amator sztuki i starożytności, opowiadał Joachimowi, że Kuliński wywiózł ze Znojna wspinały stół mahoniowy, na którym prymas Łubieński podpisał elekcję Stanisława Augusta — co było wątpliwe — oraz dwa obrazy Rembrandta, przedstawiające pasterki w krynolinach otoczone stadem baranków — co było więcej, niż wątpliwe, lecz naprowadzało na domysł, że w starym dworze znajdowały się jednak meble i obrazy zbyt dobre. Joachim badał pisarza gminnego o portrety i dowiedział się, że pisarz sam widział przed wojną stary portret oficera w polskim mundurze, ale podczas wojny obraz ten zniknął w czasie kwaterunku wojsk niemieckich. Joachim wołał tedy posadzać o rabunek portretu Niemców, którzy niejedno stąd zabrali i zniszczyli, niż Kulińskiego, człowieka ostatecznie przyzwoitego.

To, co pozostało we dworze, przedstawiało niejaki zabytki sztuki cudeńskiej z 19-go stu-

lecia, ale inne dwory dostarczają podobnych rzeczy nierównie wspanialszych. Joachim, za biedny na zbieracza starożytności, lecz smakosz estetyczny, zebrał trochę lepszych mebli czeszcotkowych i wyrazistszych gratów do izby przezwanej małym salonem. Reszta nadawała się zaledwie do użytku. Do poszukiwania skarbów ukrytych po piwnicach, lub w grubości murów, prędko się zniechęcił, bo ogólny styl domostwa świadczył o skromnej tylko zasobności.

Edwin myślał dziś po domu wcale nie dla szukania szczątków i zabytków, lecz dla zdania sobie sprawy ze stanu budynku, który chciał gruntownie przerobić. Wybrał się na strych dla sprawdzenia wiązań dachowych.

Strychy dworów cudzeńskich mają swą specjalną fizjonomję i wymowę. Gdy nawet dwór jest czysto utrzymany, strych musi być koniecznie brudny. W trójkątnej przestrzeni poddasza bywają odgródzone deskami odcinki i skrytki, ale przeważnie są otwarte kąty, w które całe pokolenia pchają różne graty, pożałowane na wyrzucenie, jednak wygnane z ludzkich mieszkań. Strych pachnie nieodmiennie sadzą kominów, starami pakułami i wonią zimowych jabłek. Jest obowiązkowo ciemny, rzadko oświetlony przez minimalną lukarnę, najczęściej tylko przez drzwi u ścian szczytowych, między którymi zalega drewniany chodnik, łopocący roz-

głośnie pod stopami. Po tym chodniku przebiegają czasem pędem bose stopy dziewczek służebnych, dążących naoślep, bo na każdym strychu „straszy“ dawniejszy, lub świeższy nieboszczyk. Sam już taki grzmiący polot, podobny do gradu, lub do przemarszu artylerji, sprawia samotnemu mieszkańcowi niższego piętra wrażenie wstrząsające. Gdy zaś odważny jakiś domownik zaryzykuje pójść na strych po zapadnięciu nocy, bierze z sobą świecę, lub latarkę dla rozproszenia zagadkowych ciemności; zachowuje się z ogniem ostrożnie, jednak śpieszy; pożary dworów zaczynają się zwykle od strychów.

Strych nad dworem w Znojnie był klasyczny. Skoro tylko ujrzał go Edwin, powziął niezłomny zamiar: wyrzucić to wszystko, a przeprowadzić środkiem uczciwy szalowany kurytarz, oświetlony z góry. Sam jednak nie chciał dotykać tych pak otwartych, mebli połamanych, blach i zapyłonych słoików, które piętrzyły się zewsząd. Służby nie można było zajmować tą robotą dzisiaj, z powodu święta. Zapragnął tylko wskazać przedmioty do usunięcia i zawołał Stefkę, dziewczynę z kuchni, silną, jak klacz, chociaż w swych atletycznych kształtach wcale składną.

Piorunem wbiegła po schodach i stanawszy we drzwiach strychu, zasłoniła oczy łokciem:

— O Jezu! — —

— No? co ci jest? — chodź tu bliżej.

— Ojej! ja na tym strychu nigdy nie byłam.

— To właśnie dziś będziesz.

— Kiedy tu straszy, proszę pana dziedzica.

— Co takiego?

— Nie co, ino kto. Stary rządcą, powiadają, chodzi. A z wojny tylu się nabrało znojeńskich nieboszczyków...

• Dopiero Edwin zrozumiał i rozśmiał się:

— Nic ci się nie stanie; trzymaj się mnie tylko; mnie się duchy nie czepiają. Chcę ci powiedzieć, jakie rzeczy macie stąd przenieść do dREWUTNI.

— To skoczę po Józię?

— Nie potrzeba dzisiaj. Wskażę ci tylko, a jutro rano we dwie zaczniecie przenosić.

Widząc, że nie zostanie wciągnięta przemocą, Stefka przekroczyła próg i trzymała się, według rozkazu, bardzo blisko pana dziedzica.

W jednym kącie nagromadzono ramy okienne ze szczątkami szyb. Wskazał na nie Edwin, ale i sam się zapatrzył:

— Widzisz, Stefka? Za temi oknami coś tam z kąta wyziera...

— Oj, Jezu! — wrzasła Stefka i zrywała się do ucieczki.

— Przestań-że! — zniecierpliwil się Edwin —

leżą w kącie jakieś deski. Potrafisz mi te okna usunąć?

Stefka wzruszyła ramionami i zaczęła ramy okienne podnosić i odkładać na inne miejsce, niby karty papieru. Po usunięciu ostatniej okazały się w kącie dwa blejtramy, które Edwin ujął już sam, z podnieconą ciekawością. Jeden z nich przedstawiał oficera w polskim mundurze!

Edwin przydługo mu się przyglądał, zaniósłszy obraz do drzwi, skąd padało trochę lepszego światła.

Drugi portret przedstawiał niepozorną babinę. W samym kącie znalazła się jeszcze osznurowana paczka z napisem: Papiery Szaropolskich.

— Słuchaj, Stefka. Opylisz mi te obrazy bardzo ostrożnie, zanieśiesz do mojego pokoju i położysz na szafie, — ale tak, żeby starszy pan nie zobaczył, zanim ja mu sam pokażę. — Rozumiesz?

— Rozumiem.

Zapomocą paru dmuchnięć potężnych usunęła pył z obrazów i z paczki, poczem schowała to wszystko pod obszerną zapaskę, pochłonęła sobą, i niewiele grubsza, niż zazwyczaj, pobięła, gdzie jej polecono. Edwin zaś przeglądał jeszcze uważnie cieniste załamania poddasznej struktury, lecz nie już nie namacał ciekawego. Gdy

zatem powróciła Stefka, dał jej wyraźną instrukcję na jutro:

— Będziecie wynosiły z Józią wszystko po kolei do drewnutni i ustawicie w porządku: paki do pak, okna do okien, blachy do blach — i tak dalej. Gdyby się znalazło jeszcze coś, jak obrazy, albo sprzęty niewiadomego wam użytku, zanieście do mnie; wtedy powiem, co z tem uczynić. Do pomocy możecie wziąć stróża.

Stefka pokazała szeroko białe zęby, uśmiechała jej się bowiem na jutro robota wyższego rzędu, niż ciągle obieranie kartofli i nastawianie garnków, a przytem okazja do bliższego obcowania z młodym dziedzicem, który, jej zdaniem, był „kiejby róża“.

Edwinowi pilno było sprawić radosną niespodziankę stryjowi. Podążył do siebie, przetarł portrety mokrą szmatą i niósł przez pokoje, szukając Joachima. Ale gdy go zobaczył stojącego przed domem w zadumaniu, ustawił portrety na dwóch krzesłach w jadalni i wyszedł przed dom.

— Jeszcze stryj się napawa powietrzem?

— Święto przecie. Radzę i tobie poświętować do zmroku. Patrz — słońce zachodzi na pogodę. — — Jutro siew możemy rozpocząć. — —

Słońce, po dniu pełnym odżywniej roboty, zapadało za widnokrąg chłodny jeszcze, prze-

słonięty gmatwaniną nagich porostów. Ale już w aurze i w sercach ludzkich tkwiła pewność, że pora przyrody radosna nadchodzi bez opóźnienia, od wieków niezawodna, urągająca bezładnym dziełom ludzi, którzy nie umieją się wzorować na słonecznym porządku.

Przygasaly czary wiosny razem ze dniem uchodzącym, ale przepojone nimi dusze snuły dalej wątek zadzierzgany przez moce niebieskie. Dusze obu Szaropolskich śniły o przyszłym, wspaniałem Cudnie, każda po swojemu, a drobniejsze instynkty młodzieży wiejskiej podrygiwały tylko w takt oberka, granego gdzieś daleko na skrzypcach, perlonego dziewczęcymi głosami na wzór dziennej pieśni skowronków.

Edwin przerwał zadumanie:

— My obaj chyba nie pójdziemy w taniec?

Joachim spojrzał nieprzytomnemi oczyma.

— Bo mam stryjowi coś do pokazania.

— Co? —

— A no, proszę za mną.

Weszli do jadalnego pokoju. Edwin wziął oba portrety, przyniósł do okna i okazał zdumionemu stryjowi.

— Skąd?... skąd się to wzięło?

— Ze strychu. Podarunek od starego dworu. Jest i paczka papierów naszych rodzinnych. —
O, proszę. —

Joachim dotykał lekko tych skarbów, jakby się obawiał, że okażą się przywidzeniem i znikną mu z oczu.

— Nie może być kto inny, jak nasz pradziad — rzekł nareszcie głosem zdławionym — i obrócił płótno. — Masz: jest napis: Stanisław Szaropolski porucznik 2-go pułku ułanów!

— A ta jejmość?

— Malowidło wydaje się starsze — zobaczmy.

Ale portret zapleśniał mocno na odwrocie. Joachim zapalił drżącemi rękami lampę i jął przecierać płótno chustką od nosa, aż wystąpił i na niem napis:

— Domicela z Pęperskich Szaropolska.

— Czy i to ma być ilustracja rodzinna? — uśmiechnął się Edwin.

— Matka porucznika — obaj od niej pochodzimy — odrzekł Joachim ze znacznem zgorszeniem.

— Niechże się stryj zabawi temi rzeczami.

— Nie potrzebujesz mnie namawiać. — — A nie było ram przy nich?

— Wątpię; szukałem. Co zaś do papierów, możemy je razem przejrzeć.

— — — — —
Dla Joachima był to chyba najpiękniejszy dzień w życiu. Ale i Edwin, pomimo lekkiego

cynizmu, nasiąkał respektem dla rodzinnego gniazda.

— W dotknięciu roli własnej jest dreszcz przeznaczenia człowieka — powiedział nawet tego wieczora, a zdanie to wielce się podobało Joachimowi.

XIV.

Ciepły kwiecień, mokry maj —
Będzie zboże, jako gaj.

Od paru dni powtarzał sobie Edwin Szaropolski wierszowany ten horoskop, którego dopiero się nauczył. Ale mądrość ludowa zawarta w przysłowiu nie przewidywała innych warunków udatności zbiorów.

Kwiecień był istotnie i zapowiadał się nadal ciepły. Roślinność z każdym dniem weselej ozdabiała zimową szarzyznę; roztopy minęły jakoś niepostrzeżenie; na wyższej roli, przy siewie, kurzyło się już za broną. Pomyślności robót rolnych zagrażały jednak skutki wojny i niedbałości poprzedniego właściciela. Sprzężaj był niedostateczny i srodze wymizerowany; siewnik, odziedziczony po Kulińskim, bardzo daleko odbiegał od idealnego typu „Superior“. Co gorsza — zaniedbano podorywek jesiennych, a niektóre niwy od paru już lat leżały ugorem. O sprowadzeniu sztucznych nawozów, albo lepszych narzędzi z zagranicy nie można było na-

wet marzyć, bo koleje żelazne ledwie się ruszały i zaprowadzono cla „ochronne“ od meljoracji.

Joachim zrzedził, utyskiwał, ironizował, ale nie tak już nienawistnie, jak w Cudnie, owszem — wyrozumiale i troskliwie. Nie zamykał jednak oczu na ogrom przeszkód zalegających na drodze do zupełnego urządzenia Znojna. Wylizował je szczegółowo, szukając zarazem usilnie sposobów zaradczych. Odpowiadał Edwin:

— Od tego punktu, w którym zastaliśmy Znojno, idziemy całą parą naprzód; byleby ani kroku wstecz. Za przeszłość nie jesteśmy odpowiedzialni.

— Masz słuszość. Ale przyszłości nie trzymamy też w garści. Aby iść skutecznie ku lepszemu, trzeba iść łąką z całym społeczeństwem; jednostki nie daleko mogą wyprzedzić szereg, zwłaszcza w pracy ekonomicznej. A z takimi, jak nasi, towarzyszami pracy! — skrzywił się stary zgryźliwie.

— Mówi stryj o sąsiadach, czy o parobkach?

— Tymczasem o parobkach. Pracują coraz gorzej — a tu najważniejszy okres wiosenny — siewy!

— Sądziłem, że się udobruchali po ostatnich naszych zarządzeniach?

— Gdzie tam!

Istotnie zdążył już Edwin zaprowadzić sporo ulepszeń w warunkach bytu pracowników rolnych, o których poprzedni właściciele Znojna troszczyli się bardzo ozięble. Zabrał się odrazu do oczyszczenia mieszkań i rozlokował parobków szerzej, o ile to było na razie możliwe; obiecał wkrótce postawić dla nich nowy dom z większymi wygodami; podwyższył niektóre pensje; tylko ordynarji nie pomnażał, gdyż powszechnie było wiadomo, że parobcy sprzedają już nadmiar swego zboża za gotówkę. Wprowadził też nowość, która powinna by wzmocnić natężenie pracy: ustanowił cyfry minimalnej wydajności Znojna. Od wyprodukowanych ponad te normy i sprzedanych przez właściciela ziemio-
plodów mieli pracownicy otrzymywać procenty w stosunku do swych pensji, według statutu, który Edwin sam napisał i ogłosił pracownikom. Tym sposobem chciał ich zainteresować materialnie do podniesienia wydajności roli.

Joachim nie pochwalał pomysłu takiej dywidendy, nazywając ją „socjalistycznym romansem“. Ale Edwin uparł się przy nim, dodając, że idee socjalistyczne nie są mu ani obce, ani wstrętne, gdy opierają się na sprawiedliwości, na wzajemnem poszanowaniu praw i interesów, i gdy nie są fałszowane przez złych pośredników.

Pomimo te wszystkie dowody troskliwości

właściciela, parobcy i fornale znojeńscy okazywali wciąż rosnącą, buntowniczą mrukliwość, nieufność i zasadnicze jakieś lenistwo, niezgodne nawet z naturą miejscowego ludu, który był dziarski i do pracy skory.

Joachim tłumaczył te nienaturalne objawy przez działanie żydowskiej agitacji. Edwin starał się objaśnić to jeszcze inaczej: Poddaństwo w Polsce było ciężkie a Żydzi krwawo byli prześladowani. Obie klasy upośledzone podają sobie dziś ręce, aby pomścić swe wiekowe krzywdy. Jest to niepożądane, ale zrozumiałe.

— Mój drogi — odpowiadał Joachim — nasłuchałeś się w Anglii bajecznych historyj o ziemi cudzeńskiej.

— Wiem to głównie od Polaków londyńskich.

— A ja wiem, że ci „Polacy“ zawierają 90 procent „wyznania mojżeszowego“.

— Tak istotnie.

— Więc zechciej sprawdzić ich teorje, tak historyczne jak społeczne, na ziemi cudzeńskiej, którą trochę poznałeś.

— Ja też sprawdzam.

— Uprzytomnij zatem sobie, że krwawego prześladowania Żydów nigdy u nas nie było, a krzyki Żydów o dzisiejszych „pogromach“ są jednym z najbezpieczniejszych szachrajstw, ja-

kich się dopuszczono w polityce. Ale dajmy już spokój sprawie żydowskiej — znasz moje na nią zapatrywania.

— Tak — dajmy jej spokój — mówimy o parobkach.

— Zatem „poddanie” należy do dziejów starożytnych. O ciemieniu poddanych, dużo zresztą łagodniejszem, niż w innych krajach europejskich, nikt już dzisiaj nie pamięta. Mamy wolny stan włościański od lat blisko sześćdziesięciu, nie licząc uprzednich modyfikacyj poddaństwa. Potomkami „poddanych” są zarówno włościanie, posiadacze ziemi, jak parobcy, czyli wolni najmici u właścicieli ziemi większych, lub mniejszych. Parobcy są poprostu proletariatem wiejskim. Przypuszczasz, że parobcy i fornale idą ręką w rękę z Żydami? Ani trochę. Każdy chłop cudeński ma wstręt do Żyda, ulega jedynie przesądowi, że Żyd ma nieomylny spryt do interesów, a swemu własnemu rozumowi chłop pod tym względem nie dowierza. Używa więc Żyda do interesów, zwłaszcza wstydliwych, jak kradzieży i oszustw. Żadna jednak gmina nie ośmieliłaby się zamianować Żyda swym pełnomocnikiem, aniby go nawet nie przypuściła do równości praw, gdyby jej tego przemocą nie narzucano. Chłop nasz jest urodzonym, bezwzględny antysemitą — to jedna z jego naj-

cenniejszych zalet. Na tej zalecie oprzemy w przyszłości wiele poczynąń.

— Więc jakże to stryj mówi, że Żydzi-komuniści buntują nam parobków?

— Właśnie do tego zmierzam. Gdyby sam Trocki chciał i mógł objechać wsie nasze i folwarki ze swą propagandą, mogłoby mu się stać coś przykrego w rodzaju prawdziwego pogromu. Ale wojujące żydowstwo ma na swe usługi przeróżne armje i organizacje, w tym zaś wypadku — fałszywych przyjacół ludu, zrekrutowanych z tego samego gatunku, który nam dostarczył rząd u Wichrowatego. Z tymi Żydzi są w najściślejszem porozumieniu, z tymi idą ręką w rękę.

— Więc stryj przypuszcza, że to komuniści pchają parobków do strajków, o których już tu i ówdzie słyhać w okolicy?

— Nie przypuszczam — twierdzę. Są to strajki bynajmniej nie ekonomiczne, lecz polityczne *sui generis*. Agitatorowie nie działają tu w interesie chłop-proletariusza, lecz wyzyskują jego ciemnotę i gorsze instynkty. Fałszem nieziszczalnych obietnic karmią jego chciwość cudzego mienia, wykorzeniają z niego głęboko jeszcze tkwiące poszanowanie prawa własności, chcą znieprawić gorsze osobniki tej najzdrowszej, chłopskiej warstwy ludności; każą mu robić

strajk polityczny, którego polityki ci biedacy nie rozumieją nawet pierwszej litery. Bo pierwszą literą nie jest tutaj A polsko-lacińskie, tylko żydowskie Alef.

— Tak — odrzekł Edwin — to bardzo konsekwentne. Nie obalił jednak stryj przypuszczenia, że agitacja żydowsko-komunistyczna zbiega się w tych strajkach z interesem ekonomicznym proletariatu wiejskiego.

— Co w takim razie znaczy: interes ekonomiczny? Jeżeli ma to być prosta chęć doraźnego chwycenia i zatrzymania w rękę cudzej ziemi, mieszkania, bydła i t. d. — rozumiem. Tą właśnie przynętą operują agitatorowie. Ponieważ jednak ten wynik niemożliwy jest do osiągnięcia na czas dłuższy, a tem bardziej nie może być utrwalony prawnie, strajki rolne spowodują tylko głód, zanik warsztatów pracy i minus ogólny dla wszystkich obywateli kraju, nie wyłączając parobków. Powtarzam, że oni nie rozumieją, co czynią. A inaczej — dlaczegożby strajkowali? Dla polepszenia bytu? Przecie to warstwa najlepiej uposażona z proletariatu, a może i z całego społeczeństwa.

— Tego jednak trzeba by dowieść.

— Dowiodę ci bardzo łatwo. Parobek dworski otrzymuje obecnie potrzebne mu do życia produkty w naturze, nie jest zatem zależny od

cen targowych, codzienn rosnących. Dostaje wszystkie alimenty, do których przywykł, w zwiększonej ilości, nadto — mieszkanie, opał, prawo hodowania na koszt dworu zwierząt domowych. Rodzina jego, jeżeli chce pracować, otrzymuje osobną opłatę, podniesioną proporcjonalnie do upadku waluty. Czego mu więcej potrzeba do dobrobytu?

— Na jego miejscu stryj żądałby jednak trochę więcej?

— Na jego miejscu — nie; na swoim — tak.

— To już pogląd nieco starożytny: przywilejowanie klas.

— Przywilejowanie kultury i dorobku, do których każdemu wolna droga. To nazywam równością i wolnością. Absolutna równość ludzi, pojęta, jako uprawnienie każdego do rządu i do podziału cudzych dorobków — jest ze stanowiska społecznego absurdem, a gdy się gdzie urzeczywistnia w praktyce, staje się najsroższą niewolą, bo panowaniem pięści i zbrodni nad umysłem i spokojem, drapieżnych zwierząt nad ludźmi, ciemności nad światłem. Taki przewrót nie wychodzi na dobre żadnej klasie ludności, jedynie tylko zbrodniarzom i Żydom, jak tego masz przykład w rosyjskiem piekle.

Zasadnicze dyskusje zdarzały się rzadko, bo obaj Szaropolscy byli ciągle zajęci fizycznie. Edwin spróbował towarzyszyć stryjowi przy robotach w polu, ale prędko zaprzestał. Nie lubił udawać dozorcę przy pracy, na której się nie znał, a drażniło go niedołęstwo robót, spowodowane przez braki techniczne i niechęć robotników. Wolał kierować robotami wewnątrz domu, przy kanalizacji, malowaniu ścian i stolarce.

Tutaj majstrowie pracowali ostro, mieli tylko mnóstwo pomysłów do przeceniania wartości swej pracy; ich czeladnicy robili też lepiej, niż parobcy w polu, jednak Edwin, porównując ich z odpowiednimi pracownikami angielskimi, musiał uznać wyższość tamtych, zamorskich. Cudeńscy byli zdolni, czasem bardzo sprawni i pomysłowi, ale na ogół lekkomyślni. Jeden monter, nie mając pod ręką zaciosanego kolka, wkręcił poprostu w mur śrubę, przytrzymującą antabę; przy pierwszej próbie antaba ze śrubą i z kawałkiem tynku odpadła. Monter tłumaczył, że mur niedobry, ale powołany na to miejsce mularz, dowodził, że żaden mur nie strzyma w sobie śruby nie wkręconej w drewno. Edwin przyznał słuszność mularzowi. Znowu malarz, któremu spieszyło się, zasmarował farbą wilgotny jeszcze tynk i uczynił na ścianie pstrokaciznę niedorzeczną. Gdy przyszło do rewizji ściany

przez Szaropolskiego, malarz, udający artystę, oświadczył wesoło, że chciał to zrobić „pod marmur“. Ale Edwin nie przelknął takiego tłumaczenia, roboty nie przyjął i kazał ścianę prze-malować, gdy wyschnie.

Po kilku podobnych spostrzeżeniach Edwin doszedł do przekonania, że rasa cudńska nie jest wybitnie robocza i rękodzielna. Ale nazywają Cudnian narodem rolniczym. Dlaczego — zamyślił się — praca rolna, dosyć ciężka, pociąga nas bardziej, niż inne? — I znalazł odpowiedź:

— Bo w ziemi najłatwiej grzebać, jak Bóg da, a najprzyjemniej ziewać i przeciągać się na świeżem powietrzu.

Nazajutrz dzień był już tak szczerze wiosenny, że muszki brzęczały w powietrzu i rozlegały się głosy ptaków pośród drzew, przez które ciągnął lekki, jak przywidzenie, zielony welon bogini. Że rżały konie, choć chude, psy wyprawały szalone gonitwy, brykały całym zadem jałoszki pędzone do wody. Że ludziom młodym przybyło tchu do piersi i nieśli się lekko, grając nozdrzami i błyszcząc oczyma, a dziewczuchy śmigały bosym pędem bez pamięci po tej ziemi kochanej. Że starego Joachima sprężyste dreszczyki podrywały w łydkach, gdy się wybierał w pole, a nawet ocieżali zamysłami parobcy wyszli raźnie do roboty, podśpiewując.

Trwało tak do południa. Gdy Szaropolscy zeszli się na obiad, rzekł Edwin:

— No, widzi stryj, wszystko się jeszcze ułoży. Wiosna i wolność czynią ludzi lepszymi.

— Zależy, jakich ludzi...

Skoro tylko wstali od stołu, wyszli znowu na powietrze. Tu odrazu, jak pęknięcie struny pośród skrzypcowej pieśni, doszedł ich zgilek zjadliwej kłótni od folwarku. Skrzywili się obaj boleśnie, nasłuchując. Po chwili ujrzeni karbowego Siejkę Franciszka, który sążnistym krókiem szedł do dworskiego ganku z raportem niemiłej treści. Sapał, a oczy siwe biegały mu okrutnie.

— Dopraszam się o radę panów dziedziców, parobki i fornale nam się na fest buntują. Mówię ja do Gładysiaka: zaprzęgaj Józek duchem i jedź do śpichrza po ziarno, — on mi mówi: nie bede — strajk! Strajk będzie w Lipnie, jak pies się wypnie — mówię — i sam wyprowadzam konie, żeby pojechać do śpichrza. Jak me one ostapią a konie zaczną ozbierać — potrząchłem jednym i drugim, aż tu one hurmą na mnie, a najgorszy Gładysiak Józek, psiawiara. Nie dali!

Widać było, że służbisty chłop zrobił, co mógł, aby do strajku nie dopuścić. Pot mu spływał z czoła, a ręce miał podrapane. Szaro-

polscy słuchali w osłupieniu. Dopiero po chwili odezwał się Joachim:

— Skąd-że im się to wzięło? — do południa robili ochoczo.

— Na południe przyniosło do nas Osińskiego. Ćwok taki, złodziej, w kreminale był — a teraz ich delegat!

— Dlaczegoż ten delegat do mnie się nie zjawił? — zapytał Edwin.

— Mówilem: nie zwracajcie nam głowy — idźcie do dziedzica, może pan dziedzic będzie zgodny na warunki. A on do mnie: Nasamprzaw strajk! rozkaz! — niby oficer gada do swoich. Parszywiec taki!

— Czy to Żyd?

— Żyd ci on może nie jest, ale taki samy.

— Zawołajcie do mnie tego delegata — rzekł Edwin energicznie.

— Nie przyjdzie, panie dziedzicu. Już ja go wypychałem.

— No, to ja pójdę do nich. Idźcie, Siejka, i powiedzcie, że zaraz tam będę. Niech się zbiorą.

— Słucham pana dziedzica — rzekł i odszedł.

Edwin zajrzał do domu i wkrótce powrócił na ganek, gdzie zastał Joachima trochę zaniepokojonego.

— Ostrożnie tylko z nimi, Edwinie, bo to bardzo rozzuchwalone. Można było dawniej opornego parobka uderzyć, byle tak, żeby się przewrócił — i działało to skutecznie. Ale dzisiaj?...

— Czy stryj na serjo posądza mnie, że będę bił kogokolwiek?! Nie zdarzyło mi się to nigdy. W ostateczności, w niebezpieczeństwie strzelam w łeb — to co innego.

— Ależ to jeszcze gorzej!... — wołał Joachim za oddalającym się Edwinem.

I podążył za nim wolno, nie mając zamiaru brania udziału w rozprawie, pragnąc tylko zdaleka być jej świadkiem. Edwin jest odważny, ale i rozważny — pocieszał się — a jemu staremu nie starczyłoby już poprostu siły.

Edwin zbliżył się do grupy parobków i fernali, skupionej przed stajnią cugową, i o kilka kroków przed nimi przysiadł na niskiej barjerze. Niektórzy z przyzwyczajenia ujęli za czapki, ale obejrzawszy się po innych, nie odsłonili głów. Szaropolski nie dotknął nawet kapelusza i zapytał głosem jasnym, umiarkowanym, bez cienia alteracji:

— Dlaczego porzuciliście pracę? — Czy chcecie zerwać naszą umowę? — — Z jakiegoż to powodu?

Nikt nie odpowiedział. Dopiero wysunął się z szeregu wąsacz ospowaty, z ciemnym, ponu-

rym wyrazem oczu. Wyglądał na włóczęgę i zbója. Był to oczywiście Osiński, rzekomo przedstawiciel tej grupy, na której twarzach dostrzec było można niejakię zawstydyzenie. Przemówił ciemny delegat:

— Towarzysze nie chcą zrywać umowy, która przedewszystkiem pana obowiązuje. Ale ogłosiliśmy strajk w całym powiecie dla zaradzenia nędzy i głodowi wszystkich pracowników rolnych.

Szaropolski postanowił nie spierać się, tylko wyrozumieć jasno, czego parobcy żądają. Odparł przeto spokojnie:

— Strajk nie zaradza nędzy, a często ją pomnaża. Ja zaś nie pragnę wcale nędzy moich pracowników — owszem, chciałbym jej zapobiec. Ale muszę najprzód wiedzieć, jaka to nędza? — bo dotąd nie słyszałem. —

— Toć każdy wie — odrzekł Osiński — warunki ogłoszone są na cały powiat.

— Przez kogo i komu?

— Przez przyjaciół roboczego ludu. A komu? Wszystkim, wszystkim, — wsiem! — zdradził delegat pochodzenie swej wymowy z dalekiego Wschodu. — Ja tam nie mam czasu panu tłumaczyć — każdy towarzysz powie, choćby pierwszy Gładysiak, którego postawiłem tu jako mego zastępcę.

Szaropolski przygryzł wargi, ale się nie uniósł. Rzekł tylko twardziej:

— Ja zaś także powiem wszystkim, jak tu stoicie: nie mam czasu na układy dzisiaj, kiedy rozpoczęliśmy siewy, robotę najpilniejszą, zarówno mnie, jak i wam, i całemu krajowi potrzebną. Jeżeli mi w niej przeszkadzać będziecie i nie przystapicie odrazu do pracy, będę to uważał za samowolne z waszej strony złamanie umowy, za co prawnie będziecie odpowiedzialni.

— My się ta nie boimy — ozwał się po raz pierwszy Gładysiak, nowy subdelegat, a paru też innych przybrało zuchwałe postawy.

Szaropolski powstał z barjery i wyprostował dużą swą postać, mocno obiecującą, przełożył laskę do lewej ręki, a prawą zasunął do kieszeni. Spojrzał prosto w oczy Gładysiakowi, który wzrok odwrócił, niby obojętnie; potem do paru innych, którzy umieszcili się we drzwiach stajni, zawołał głosem podniesionym, dźwięczącym stałą:

— Odsunąć mi się ode drzwi, bo chcę wejść do stajni.

Jakby ich roztrąciło prądem elektrycznym. Wtedy Edwin przeszedł między strajkującymi spokojnie, lecz bacznie, i zniknął w głębi budynku.

Czeredę ogarnęła zrazu bezradna konsterna-

cja. Tylko Osiński, zbity również z rezonu, podjudzał:

— Konia chce brać — konia weźmie — nie dajcie mu, chłopcy!

Żaden jednak nie ruszył wgląd stajni, a niektórzy nawet powątpiewali o swem uprawnieniu:

— Dyć cugowa stajnia, nie robocza.

— Nie pojadzie sam siał, kiej nie damy siewnika, ani ziarna.

— Strajk, to strajk! — nie wolno nikomu koni ruszać — musi być wszystko „śmierno“ — podbechtywał dalej Osiński.

Ale tyle tylko wskórał, że kilku fernali zaglądało przez drzwi do wnętrza stajni.

— Konia sam siodła — ogłosił jeden towarzyszem, stojącym zewnątrz.

I to odkrycie nie pobudziło ogółu do gwałtowniejszych wystąpień. Pocieszył się nawet któryś z łagodniejszych:

— Niech se jedzie, gdzie go oczy poniosą, kiej mu tak pilno.

— A tam... waszu mać! — zaklął Osiński po rosyjsku.

I wnet odskoczył na bok, bo z głębi stajni zadudnił, jak grom, tentent konia po deskach i doleciał głos Szaropolskiego, nie cierpiący zwłoki:

— Precz mi ode drzwi, bo kogo zatratuję!

Wychynał jeździec, przychylony do szyi znerwowanego konia, który rwał się do galopa. Ale Szaropolski, jeździec doskonały, wyprostował się zaraz za drzwiami, zasiadł głęboko w siodle, zatoczył koniem swobodnie i opanowanym już galopem skierował się ku szosie, na której długo jeszcze migał przez drzewa.

Joachim, śledzący niespokojnie przebieg targu przed stajnią, gdy zobaczył, że Edwin wyskoczył z awantury bez szwanku, uczynił krzyż w powietrzu za rozpędzonym jeźdźcem i powrócił do domu.

Zaległa w Znojnie przykra cisza. Znudzilo się nawet ptakom śpiewać nad krainą — może dlatego, że ich nikt nie słuchał. Wałęsało się jednak mnóstwo ludzi po folwarku i około dworu, bo nikt nie poszedł w pole. Dzień miał być roboczy, siewny. Fornale i parobcy łazili ponuro, z zamyślonem sumieniem, bo nie zdążyli jeszcze nabrać niezłomnego przekonania do celowości strajku, a i zabrakło im moralnego dowódcy. Osiński opuścił ich wcześniej nawet, niż uprzednio zapowiedział.

Gdy mu przekładali, że tu potrzebny, choćby do powrotu dziedzica, który niewiadomo co z sobą przywiezie? — może kozaków?...

— Głupis? Kozaków od kiedy już niema?

— To czerwoną straż. Lepsi to od kozaków?

Osiński odpowiadał, że mu pilno do są-

siednich dworów, aby dalej uświadamiać roboczy lud, a Znojno już oświecił i zostawił zastępcę Gładysiaka, którego trzeba słuchać, choć on niby prosty towarzysz, ale przez niego, Osińskiego, pochodzi już od wielkiej władzy ludowej, która świat cały doprowadzi do porządku, a ziemię całą odda w ręce tych, którzy ją obrabiają. Poczem odjechał na żydowskiej furmance.

Były między parobkami gawędy, że ten Osiński łgarz i nie trzeba się spodziewać po jego gadaniu, a że i sam się bojał zostać do powrotu dziedzica, bo go te kulaśy od kajdanków już świerzbią. Tylko Gładysiak nabzdyczył się i powiedział, że „kiej nie bedzieta słuchali delegatów, to nigdy strajku nie wygrata“. Ale mu nato niejeden odrzucił brzydkie słowo, jak o to: „ćwok“, albo:

— Widzita go, jaki „prędzypał“!

Bez oparcia o powagę Osińskiego nie miał nijakiego poszanowania.

Jednak żadnemu nie przyszło do głowy, aby strajk przerwać i zabrać się do siewu.

Dopiero przed zachodem słońca powrócił Edwin na zziajanym koniu. Zeskoczył przed gankiem i rozglądał się, komuby oddać konia do przeprowadzenia, bo nie chciał kompromitować swej władzy, wołając. Nadbiegła gruba Stefka i ofiarowała swe usługi. Szaropolski pogłaskał ją po ramieniu, koniowi popuścił popręgów i po-

lecił oprowadzać go wolno naokoło trawnika. Stefka wykonywała odważnie powierzoną funkcję, szczerząc białe zęby i raz po raz lypiąc oczyma ku oknom dworu.

Edwin zdawał relację Joachimowi:

— Byłem w mieście — bo tutejszej straży ziemskiej ani się dopytać. Udałem się do policji i chciałem natychmiast ją sprowadzić. Ale gdzie tam! Nie mogą jechać, zanim nie będą odkomenderowani. A komendanta, ani jego zastępcy niema w mieście. Zajęci są właśnie siewem na swoich posiadłościach wiejskich! Któryś z nich ma zajrzeć do urzędu dzisiaj wieczorem — może raczy odkomenderować policję na jutro do Znojna? Obiecała mi to jedna brunetka, stojąca per interim na czele policji powiatowej.

Edwin śmiał się gorzko, a Joachim wtórował mu odpowiednio:

— Ładny bigos! A wiesz, że Osińskiego niema już u nas? Zwiął natychmiast po twoim wyjeździe.

— Spodziewałem się tego. Chciałem, aby go zaraz wójt aresztował przez strażników. Odpowiedział, że nie leży to w zakresie jego kompetencji. Spotkałem zato paru gospodarzy ze wsi Znojna, którzy oburzali się na Osińskiego i na parobków, a nawet obiecali przyjąć tu do nas.

Nazajutrz nie zjawiała się jeszcze policja i zapewne z tego powodu strajk się zaostrzył. Gładysiak jeździł też rano gdzieś w sąsiedztwo „swoimi końmi“, jak je nazywał, czyli tymi, które miał sobie powierzone do fornalskiej roboty. Powrócił utwierdzony w wierze bolszewickiej, pewniejszy siebie i odrazu pozyskał większy mir u towarzyszy znojeńskich. Przedłużająca się bezkarność ośmielała też umysły strajkujących, a zniechęcała nawet opornych, jak karbowego Franciszka Siejkę.

Strajk zakrawał na powszechny. Nowi rządciele nie pozwalali już nietylko przystąpić do robót rolnych, ale ani doić krów, ani rznąć dla koni sieczki, ani pędzić jałowizny na okólnik. Głodne bydło ryczało żałośnie, zamknięte w budynkach. Około południa zbuntowani parobcy wymyślili nowy sposób popierania swych, nieokreślonych zresztą, żądań: zakazali gotować w kuchni dworskiej, a nawet czynili różne wstręty Stefce, czynnej przy kuchni, chociaż dziewczyna uchodziła za miejscową piękność i miała duże powodzenie na muzykach. Tutaj Edwin wystąpił ze skutecznym kontratakiem: zakazał komukolwiek ze służby folwarcznej zbliżać się do budynków, zwanych pałacowymi — i sam dozorował wykonania zakazu, przechadzając się naokoło domu. O przyczynie strajku i o żądaniach zbuntowanej czeredy postanowił nie mó-

wieć z nią wcale aż do nadejścia policji. Po południu gospodarze ze wsi Znojna, w liczbie sześciu, z Andrzejem Łukawskim na czele, uczynili manifestację przeciw strajkowi, odwiedzając dziedzica, ale oprócz wymiany oburzeń i pewnego efektu, nie sprowadzili radykalnej zmiany w zatargach, które trwały do nocy.

Dopiero na trzeci dzień, gdy przybyła policja z miasta i strażnicy z karabinami, strajk się zachwiał odrazu. Ale nie srogość badań, lub represji tak podziałała, tylko wiadomość, że Osiński w jednym z sąsiednich folwarków przyjęty został przez parobków kijami, pod którymi ledwie ducha nie wyzionął. Rannego i leżącego ujęli go nareszcie ci sami policjanci i odesłali do więzienia powiatowego. Tutaj przyszli aresztować Gładysiaka, jako zastępcę Osińskiego. Ale w istotę strajku nie wnikali wcale, mówiąc, że takie zatargi załatwiane być mają przez komisje rozjemcze.

Nazajutrz rano wszyscy robotnicy rolni bez wyjątku przystąpili do pracy, oprócz zabranego przez policję Gładysiaka. Szaropolscy do wieczora udawali obrażonych, więc po zachodzie słońca zjawiała się u ganku gromadna deputacja pod przewodem Franciszka Siejki.

— No, dalej! Przepróża pokornie pana dziedzica za wielką mitręgę — i niech już będzie zgoda na zawždy.

Rzuciło się kilku z brzegu do ucałowania ręki dziedzica, ale Edwin stanowczo wzbraniał się od tego hołdu. Zapytał:

— Kiedy już zgoda, powiedzcie teraz, dla czego porzuciliście pracę?

Odpowiedział chłopak mizerny i tak pogodnie patrzący, że chyba tylko przez owczą solidarność mógł należeć do buntu:

— Bo to, proszę jaśnie pana, tyle nam powiedali, że wszystko nasze: i grunt i bydło i konie i nawet ogród dziedzicowy...

Nie dał mu się rozwodzić Edwin:

— Musicie się nauczyć rozróżniać gałganów i łgarzy od ludzi dbających o wasze dobro. Strajki mogą mieć swoją rację tylko tam, gdzie właściciel folwarku, czy fabryki chce swoich robotników nadmiernie wyzyskać, lub za skąpo wynagradzać. Powiedzcie mi śmiało, czy ja was wyzyskuję? — czy macie mi co pod tym względem do wyrzucenia? — —

— Dyc nie! — Uchowaj Boże! — Pan dziedzic prawie nam jak ojciec! — odezwały się ze wsząd głosy pochlebne.

— I poznaliśwa przy strajkowaniu, że pan dziedzic je pan, bo żadnemu człowiekowi nie ubliżył, chociaż otumanionemu — mówił srogi chłop czarny, indycząc się, jakby w gniewie, a on tylko tak gwałtownie zbywał z serca sprawiedliwej spowiedzi.

— No dobrze. Więc może macie jakie zadanie, którego nie znam, a możliwe do przyjęcia?

Rozejrzeli się po sobie. Aż jeden odezwał się cienko:

— Gryki nam nie dają. — —

— Czy nie dajemy gryki w ordynarji, stryju?
— zwrócił się Edwin do Joachima.

— Dajemy zamiast niej jęczmień, bo gryki nie mamy i wogóle gryka nie udaje się na tutejszym gruncie.

— A na zmianę radby człowiek tatarczanej kaszy — odezwał się ochoczo jeszcze ktoś z tłumu.

Edwin pomyślał krótko i rzekł wesoło:

— To wiecie co? Kupię nasienie i spróbujemy zasiać grykę — dla was i dla mnie. Ja także lubię tatarczaną kaszę.

Gwar dziękczynny pokrył tę przemowę Szaropolskiego.

Gdy szczęśliwym zbiegiem okoliczności usunięta została ze Znojna obca agitacja, strajk robotników rolnych, oparty realnie tylko na żądaniu gryczanej kaszy, utracił podstawę i zanikł. Zmarnował trzy dni pracy w najgorętszym czasie, popsuł trochę krwi Szaropolskim nie przyniósł nikomu żadnej korzyści — ale minął. Na-

zywało się to pomyślnym wynikiem w ziemi cudzeńskiej, gdzie obywatele przywykli do mijania spraw wszelkich, prywatnych i publicznych, uważając przeważnie zdarzeń za konieczność i przyglądając się filozoficznie własnemu losowi. Ale pół-brytański umysł Edwina nie godził się tak łatwo z koniecznością przeciwną interesom jego i ogółu, lubił badać przyczyny i skutki, uczyć się z faktów dokonanych, przewidywać i mocno planować przyszłość. Przebieg strajku w Znojnie, zetknięcie się z porządkami w gminie i powiecie zbudziło w nim wątpliwość, czy praca na roli, chociażby nawet pobłogosławiona przez przyrodę, nie będzie zmarnowana przez niezdarność i umyślną jakby ślepotę rządów krajowych, tutaj, jak i w Cudnie. Powątpiewanie sączyło się w duszę Edwina, który siłą woli wyciskał je z siebie i nie dawał przystępu zniechęceniu. Inne miał przytem wrażenie, niż przy pokonywaniu przeszkód w mieście; tam czuł się w walce z wrogami ludu; tutaj miał lud naokoło siebie nie idealny, ale swój i coraz mu bliższy, musiał zaś walczyć nie tylko z jego przywarami, z którymi dalby sobie radę, ale i z obcą, wrogą propagandą, która w tych biednych mózgach rozwijała złe instynkty. W Znojnie ziarno dobre na zaniedbanej roli przerastało kłosem, przynosiło przecie plon, zachudy, lecz ogółowi poży-

teczny. Cudno wydawało się jednym dzikim ogrójcem chwastów, djabelskiego posiewu i dla diabła tylko coś wartych, pośród których wędły zagłuszone rzadkie porosty owocodajne.

Te ponure spostrzeżenia i ciężkie wątpliwości wypowiedział oczywiście Edwin stryjowi, który odrzekł bez wahania:

— Jest nato rada. Wypędzić z Cudna Żydów — i nie na tutejsze pola, broń Boże! — ale daleko poza granice, do innej części świata.

— Stryj zawsze swoje.

— Pobudzasz mnie do tego.

— Ja?!

— Tak — ty. Spostrzegasz bystro, rozumiesz ściśle. A gdy rozmyślasz o trapiących nas nędzach, natrafiasz ciągle na czyhające, krwawe ślepie Ahaswera — i cofasz się przed wnioskiem. Czy się boisz?

— Boję się skutków wojny domowej.

— Jak można tak to nazywać! To tylko wyrok na ludzi obcych i wrogich.

Dyskusja o sprawie żydowskiej powracała uparcie, niby ataki choroby tkwiącej głęboko w organizmie, które przeszkadzają we wszystkich zajęciach, zabawnych, czy pracowitych. Obaj unikali tego przedmiotu, lecz nie mogli go

ominać. Obaj mieli bowiem umysły konstrukcyjne, zapalone do poprawiania gmachu publicznego i do budowania na nowo. A gdziekolwiek zabrnęli w dociekaniach, lub projektach, stawali wobec zapytania: co począć z wrogami kraju, którzy się wżarli we wszystkie organy ciała społecznego? Tylko Joachim był przekonany, że należy dla uzdrowienia użyć lekarstw heroicznych, Edwin zaś sądził, że czas nastąpić środków łagodniejszych. Gdy stryj dostrzegał w synowcu skłonność do zwłoki i wyczekiwania, przedstawiał mu takie rozumowanie:

— Są kraje, w których twój system silnej konkurencji i powolnego wypierania wystarczyłby — ale nie u nas w Cudnie. Nam się czasem przypomina o pożytku ojczyzny, ale nie myślimy o nim ciągle i wytrwale. Nie kochamy ojczyzny z przekonania, lecz z przygodnej fantazji. Lubimy jej części przyległe do naszych upodobań, wygod i interesów, rzadko zaś troszczymy się o zapewnienie jej ogólnego zdrowia i żywotności. Z tą naszą lekkomyślnością społeczną trzeba się liczyć, gdyż nie wykorzeniły jej wieki i naj-sroższe doświadczenia, a nie wiem, czy kiedy zdołamy z niej się wyleczyć. Ale zdolni jesteśmy do jasnowidzenia naszych wad i grzechów, zdolni także do porywów zbiorowych, szybkich i silnych. Dzisiaj całym narodem ujrzelśmy

ohydę i groźbę niebezpieczeństwa żydowskiego,
— czas na poryw czynny, na wyparcie Żydów
z ziemi naszej.

— Caeterum censeo..., jak mawiał poprzednik
stryja Katon Starszy.

— Nie inaczej. Trzeba zburzyć Kartaginę.
W przeciwnym razie nasz Rzym się nie ostoi.

XV.

Zawzięła się już wiosna potężnie do swych robót dobroczynnych; szybko rosły zasiewy, łąki przybrały się w zieleni soczystą, na której występowały tu i ówdzie blade rzuty pierwiosnków, albo złote hafty jaskrów; drzewa, niedawno zaledwie nakrapiane żółtą zielenią, puszyły się już bogato, ogromniały w oczach, przerywały widnokrąg wspaniałymi kłębami, a górne listki ciągnęły wzrok człowieka w jasne niebo, podrywały myśli do radosnych lotów. Cokolwiek sprawiła Przyroda w swym dorocznym porywie do czynu, było potężne, a zarazem piękne i błogosławione. Powiewy jej pełne były dreszczów pobudzających, deszcze nabrzmiałe pożywieniem, głosy wszelkie zespolone harmonją bez fałszu. Dobra potęga urządziła świat bez trąb samochwalczych, bez gwałtów i prób lekkomyślnych, starym trybem mistrzów, czerpiących swe wzory z wieczności.

Tylko ludziom głupim i złym zdawało się, że wiosna gospodaruje na ziemi nieczgodnie z du-

chem czasu, że źle czyni, rozwijając zasiewy posiadających, a wołając robotników do prac rolnych; że należy poddać działania wiosny kontroli trybunów, którzy dorwali się do władzy, a prawo własności osobistej — najsilniejszą pobudkę człowieka do pracy i do cywilizacji — wykreślić ze statutów. Szatany śmiały się rozkosznie z tych zarządzeń ludzkich nierozważnych lub zbrodniczych i rzucały w tłumy kohorty swych pacholców, przebranych za apostołów ładu i sprawiedliwości, noszących w miejscu serca pieniądze złoty kradziony. Ale Przyroda nie brała w rachubę ani głupstwa ludzkiego, ani knowań szatańskich, wiedząc, że nie dziś, to jutro, to za lat sto zwycięży. I wiosna całym swym wiekuistym rozmachem szła w przeszłość.

Chwyтали w siebie jej siły obaj Szaropolscy, stary i młody, stosowali do swych przyrodzonych usposobień i zdolności. W miarę postępów wiosny praca im szła sporzej, spokojniej; nabierali do niej wiary i zamięłowania. Nie czuli się wielkimi ludźmi, jednak częstką czegoś wielkiego — zbiorowej pracy narodu rozstawionego na właściwych posterunkach.

Coraz rzadziej myśleli o udręczeniach polityki bieżącej, siedzieli bowiem ciągle na wsi, prenumerowali jedno tylko pismo umiarkowane, a zabiegi Popsujów omijały jakoś szczęśliwie Znojno

i okolice po nieudanej próbie strajku różnego. Pogoda słoneczna leczyła zawody doznane przez Szaropolskich w ciągu zimy i wygrzewała w nich pogodę duchową. Że zaś i innym ludziom okolicznym wywietrzały z głów rekryminacje i przewroty, zapanowała w Znojnie atmosfera georgików, ziemiańskiego poematu. Parobcy znowu pracowali niegorzej i wesoło, siewy wiosenne ukończono przed Wielkanocą, wschodziła obiecująco nawet tatarka, która miała reputację nieudawania się w Znojnie. Pierwszy akt ziemiańskiego zawodu Edwina dobiegł do kresu pomysłu i utrwalił przekonanie, że choć w ziemi cudzńskiej żyć jest tymczasem trudno, żyć trzeba, a może wkrótce będzie się żyło luźniej i owocniej.

Święta wielkanocne miały być ożywione towarzysko przez przyjazd pana van der Winder'a, którego Edwin zaprosił dla przestudjowania na miejscu planów krochmalni, dla omówienia paru innych projektów, a zarazem i dla przyjemności, lubił bowiem swojego Holendra. Van der Winder podobny był do trzciny laski — gładki, giętki, a zarazem podkuty i bardzo pewny, jako oparcie. Odznaczał się też optymizmem dobrego gatunku — nie tą apatją ludzi biernych i leniwych, którzy znoszą tępo przeciwności, wierząc, że te kiedyś miną, — lecz wiarą w możliwość

wybrnięcia cało z najgorszej przygody, zaufaniem do ostatecznego triumfu sprawiedliwości, a przynajmniej zdrowego rozsądku.

Ponieważ miał przyjechać w wielki czwartek, już we środę Joachim krzątał się gorliwie około urządzenia wygodnego pokoju dla dyrektora. Przeznaczył mu na mieszkanie tak zwany „mniejszy salon“, skupiający w sobie resztki splendorów dawnego Znojna. Nietylko kazał tu wnieść najlepsze łóżko i inne wygody, ale sam ozdabiał ściany rycinami, wietrzył pokój i przyniósł nawet swój dobry kilim dla ozdobienia ściany przy łóżku. Edwin przyglądał się z upodobaniem tym zabiegom stryja.

— Cieszę się, że stryj polubił mojego Holendra.

— Podoba mi się. Człowiek autentyczny; jest tem, czem być się mieni i czem być powinien. Nie tak, jak u nas, gdzie ministrowie... Ale dajmy im już spokój; uciekliśmy nareszcie od tragi-operetki rządowej; nie mamy tu na szczęście ministrów. Co zaś do pana van der Winder'a — z innego względu chcę mu uprzyjemnić pobyt w Znojni.

Uśmiechnął się tajemniczo.

— No, ciekawym dlaczego? — pytał Edwin. Joachim ociągał się z objaśnieniem, niemal załotnie. Rzekł nareszcie:

— Niech wie, że nie do byle kogo przyjechał.

— Chce go stryj olśnić tą czeczotkową kapną?

— Niedobrze mnie rozumiesz. Życzliwym cudzoziemcom trzeba pokazywać nasze dobre strony, o ile to możliwe; dać im wrażenie starej cywilizacji, której mamy tradycje, chociaż zagluszane.

— Jeżeli stryj myśli, że on nie widział lepszych pokojów w Amsterdamie, albo w Hadze, gdzie każdy dom jest wypieszczony i lśniący od czystości, jak zabawka z delfickiej porcelany! Tymczasem tej rudery nie doprowadziliśmy jeszcze do minimalnego porządku.

— To mu się objaśni. Wojna — rabunki, przejęcie majątku od niedbałego poprzednika. Ale niech zobaczy, że niegdyś tu coś było... że ktoś tu mieszkał cywilizowany... Naprzykład ta para sztychów z 18-go wieku — albo to biureczko z inkrustacją, roboty gdańskiej. — On się na tem pozna.

Edwin potakiwał i chwalił, ale myślał w duchu, że stryj ulega manji oceniania najdrobniejszych poczynań ze stanowiska ich wartości społecznej. Jakiego tam wyobrażenia nabierze o nas Holender, że mu pokażemy trochę lepszych gratów? Żeby mu dać ser lepszy od holenderskiego — rozumiem.

Gdy jednak przyjechał van der Winder, okazało się, że go najdrobniejsze szczegóły w Znojnie interesują. Można to było przypisać jego dobremu wychowaniu, albo i nabytej już przyjaźni dla Szaropolskich. Wprawdzie mało go zajmowały antyki meblowe, wystawione przez Joachima, twierdził jednak, że mieszka tu, jak w raju, a powietrze jest poprostu kuracyjne. Zajmowały go najbardziej nowe spostrzeżenia etnograficzne: budowa chat, ubiory ludu — zresztą wszystko, czego dotąd nie znał. Szczególną też uwagę poświęcił instytucji „święconego“, które nazwał „nieustającą przekąską“, i objadał się z umiarkowaniem, jednak obficie, przez parę dni poświęconych spożywaniu ciast i mięs zimnych. To znowu, wyszedłszy w pole, stawał się lirycznym i z powodu tutejszych równin wspominał swój kraj cały pokryty niby zielonym kobiercem. Rozrzewniał go widok wiatraków; za mało tylko było mu tutaj kanałów i już projektował przeprowadzenie pięknej drogi wodnej od Znojna do miasta powiatowego, między rzeką, a jej dopływem. Kanał obsadzi się wierzbą koszykarską... Wogóle Holender nie wątpił o żadnej możliwości pysznego rozwoju Znojna. A gdy Joachim zauważył z uśmiechem, że kanał trochę drogo będzie kosztował. —

— Jak to? — zawołał van der Winder —

przecie złoży się nato wiele gmin okolicznych i państwo da subwencję. Rzecz wyraźnej użyteczności publicznej.

— Może kiedyś?... — bąknął Joachim i uwagi, które mu się na język cisnęły, przelknął, aby nie nazbyt uświadamiać przedsiębiorczego cudzoziemca o porządkach krajowych.

Joachim przybrał Holendra do swego audytora, zauważywszy jego zalety i ujęty przez ostentacyjną rewerencję, którą pomocnik Edwina okazywał stryjowi swego pryncypała. Ponieważ van der Winder szukał miejsca najstosowniejszego dla postawienia krochmalni, Joachim umyślił nakłonić go do oddalenia fabryki od dworu, co było kwestją sporną między stryjem a synowcem. Holender wziął skwapliwie pod rozwagę życzenie starszego pana, ale przestrzegając też sumiennie pożytku fabryki. Póty jednak szperał, aż wynalazł dobre miejsce dla krochmalni, dalsze od dworu, a bliższe od powiatowego miasta i przy głównym trakcie; fabryka miała być połączona telefonem z dworem. Edwin zgodził się na projekt, a Joachim był zachwycony pomysłowością dyrektora. Zatrzymano go też na dłużej w Znojnie, gdyż oprócz zmysłu praktycznego okazywał duże zalety towarzyskie, których nawet Edwin nie znał w tym stopniu, obcując z nim dotychczas tylko jak

z inteligentną maszyną. Van der Winder wytrzymywał triumfalnie próbę wiejskiego spółżycia, najskuteczniejszą do wzajemnego poznania się ludzi.

Wiosna udawała się coraz lepiej mieszkańcom starego dworu.

W parę dni po Wielkiejnocy Edwin pojechał do miasta powiatowego dla załatwienia interesów urzędowych i zakupów. Joachim pozostał w domu z Holendrem, a gdy zmierzch spędził obu z pola, gdzie jeden miał robotę dozorczą, drugi pomiarową, spotkali się przy wieczerzy, następnie zaś odkryli w sobie jeszcze jedno pokrewieństwo duchowe: obaj lubili namiętnie muzykę. Van der Winder grał biegle na fortepianie, a mając słuch dobry i pamięć, cytował, bez pomocy nut, których tu nie było, całe duże fragmenty dzieł muzycznych, dobierając je na poczekaniu. Tak rozplomienił Joachima, że stary zaczął śpiewać, gestykulować niby dyrektor orkiestry — i obaj z Holendrem wyprawiali od godziny muzykalny harmider tak zawzięcie, że nie usłyszeli, kiedy zajechał przed dom Edwin. Nawet gdy już wszedł do pokoju, nie przerwali swych popisów, świadczących o wielkiej erudycji i nie mniejszej zapalczywości.

Dopiero zimna postawa Edwina, który stanął

na uboczu, zwróciła ich uwagę — i zaprzestali koncertu.

— Nie lubisz muzyki zatwardziały techniku?
— odezwał się Joachim, nieostygły jeszcze z zapalów, odmłodzony, nieco barokowy w niezwyklej roli barytona.

— Owszem, ale nie w tej chwili.

— Wolałbyś lepszego wokalizatora? Rozumiem. Ale posłuchaj pana van der Winder'a — gra magistralnie.

— Wiem. Chciałbym jednak napić się herbaty.

— To słuszne. Chodźmy do jadalnego.

Przy herbacie i spóźnionej przekąsce Joachim i dyrektor towarzyszyli Edwinowi, który widocznie był przejęty jakimś zdarzeniem, lub wiadomością, bo nie dopisywała mu zwykła równość humoru.

— Mielicie już dzienniki poświęteczne?

— Jeszcze nie.

— To nie wiecie. Wojska nasze zajęły Wilno! Codzień bierzemy miasta, prowincje — pędzimy przed sobą bolszewików!

— To pięknie! — zawołał Joachim — czegoż więc ty?...

— W Wilnie bronili się ostatni miejscowi Żydzi. Gdy już weszliśmy w ulice, Żydzi strzelali do nas z dachów.

— I to dobrze. Bo nie obeszło się zapewne bez tego, żeby i Żyda jednego z drugim nie zmio-
tły z dachu nasze kule. A szczególnie to poży-
teczne, jako publiczna demonstracja, po czyjej
stronie walczą Żydzi i jak są dla nas usposobieni.

— Przedewszystkiem — ciągnął dalej Edwin
— to czyn, to nie manewr strategiczny, ale świe-
tna próba wartości naszego żołnierza. Przecie
Wilno wziął właściwie jeden szwadron jazdy!
W innem miejscu jeden oficer-zabijaka w sześć
koni zajął miasto i wypędził moskiewską załogę!
Macie tu gazety — czytajcie!

— Przeczytamy, przeczytamy... Ale opo-
wiedz najprzód, co słyszałeś poza wiadomości-
mi dziennikarskimi.

— Słyszałem aż nadto — rzekł Edwin gorzko.

Zauważyli ten ton obaj słuchacze i na chwilę
zamilkli. Poczem znowu przemówił Joachim:

— Powiedz szczerze, co ci się stało? — bo
przynosisz wieści radosne, a wyglądasz wcale
nieradośnie...

— Ha, namyślałam się. — Trzeba będzie za-
ciągnąć się do wojska...

— Jakto? ty? — — Skąd ci to nagle? —

— Stąd, że trzeba nareszcie brać udział
w czemś, co żyje, co się udaje, nie zaś grzęznąć
w rzeczach, które gniją i rozsypują się.

— No wiesz, to niezupełnie tak...

Ale nie zebrało się tym razem Joachimowi na wymowę, bo serce mu ścisnęła sroga troska. Odprowadzać Edwina od zamiaru wstąpienia do armji czynnej, tak świetnie sobie poczynającej — było nijako. Jednak, jeżeliby się zaciągnął, cóż będzie ze Znojnem, do którego zabrał się całą siłą? A bitwy są przecie nie na żarty! Niejeden ze znajomych w nich poległ.

Joachim udawał tylko Rzymianina. Właściwie miał czule, choć znékane, serce. Nienawidział wrogów, ale gorąco kochał przyjaciół — a przyjaciół miał już tak mało...

Edwin podtrzymał rozmowę:

— Widzę, że stryj przyjmuje mój projekt dość zimno. Tymczasem nic w nim niema niedorzecznego, ani ponurego. O pożytku wojskowości w obecnych czasach wywalczenia granic niema co długo mówić — jest oczywisty. Ja zaś mogę w tym zawodzie zużytkować niektóre swoje... właściwości. Mam dosyć zimną krew, znam dobrze konia. — Naturalnie wstąpię do jazdy. Brak mi techniki żołnierskiej — to prawda. Ale do wojny, jak nasza na wschodzie, potrzeba tego mało, niezbędnych zaś rzeczy nauczę się w ciągu tygodnia. Mnóstwo młodzieży, a nawet starszych, idzie na ochotnika i nie tylko, że dają sobie radę jako — tako, ale — biorą miasta! To jest wojna partyzancka, z której pozwalają

sobie dworować zawodowi strategicy, tymczasem wojna ta osiąga ogromne wyniki. I w takiej właśnie walce zalety żołnierza mają swe zastosowanie. W takiej walce można naprawdę coś pożytecznego osobiście wykonać.

— Dodać należy, że w takiej walce najłatwiej kula w łeb dostać — mruknął Joachim.

— Dlaczego? — odrzekł Edwin. — Gdy się jest sportowcem i człowiekiem przytomnym? —
— A muszę panów zapewnić, że nie mam romantycznego zamiaru szukania śmierci na polu chwały. Ale chcę nareszcie w rodzinnym kraju robić coś takiego, w czymby mi szczerze pomagali rodacy z szeregu i rodacy naczelni. Dostyć mam tej żmudnej walki z niedołęstwem współobywateli i zagadkowymi zamiarami rządzących!

Ożywił się Joachim:

— Zasadniczo doskonale cię rozumiem. Ale nie pojmuję jak doszedłeś nagle do projektu? —
Zacząłeś przecie pracę, która idzie sporzej, niż poprzednie, gdzie już usunęliśmy dużo przeszkód, a inne zostaną przewyciężone. Ta praca uda się lepiej, lub mniej dobrze, ale na marne pójść nie może.

— Mówi stryj o Znojni?

— O czymże by innym!

— A właśnie! — wybuchnął Edwin. — Znojno może się udać, lub nie udać, — lecz nie nam, bo wkrótce — nie będzie już nasze!

— Co pan szef opowiada?! — zawołał van der Winder.

— Czyś ty zwarzował?! — określił dosadniej swe wrażenie Joachim.

Edwin zaś przyglądał się przez chwilę minom stryja i dyrektora, pomyślał zapewne, że i sam musi wyglądać niepoważnie, dyskutując tak gorąco, bo zmusił się do kwaśnego uśmiechu i rzekł spokojniej:

— Poczekajcie. Chciałem odrazu podzielić się z wami tą wiadomością, ale tak zawzięcie muzykowaliście, że nie chciałem wywołać dysonan-su.

— No, już nie muzykujemy — mów zatem.

— Powoli, kochany stryju. — —

Opowiedział, że znalazł się w mieście w towarzystwie posłów sejmowych, będących jeszcze na ferjach, i wysłuchał ich zdań o reformie agrarnej, która ma być wniesiona niebawem po świętach. Wszyscy, chociaż ludzie odmiennych programów politycznych, przewidywali, że uchwalone zostanie wywłaszczenie większej własności na rzecz bezrolnych. Zapłacą więcej, lub mniej, stanie się to zaraz, lub trochę później, ale rzecz jest nieuchronna.

— Próbowalem dyskutować — mówił Edwin. Był tam jeden socjalista, który zaaplikował mi odwieczne komunały Marx'a, Lassalle'a, aż nawet Proudhon'a. Nie odpowiedziałem; i nie wiem właściwie, dlaczego tak gorąco obchodzi socjalistów proponowana reforma, będąca tylko przeniesieniem prawa własności z jednych rąk do drugih, zamianą wielkiej własności na małą...?

Domówił Joachim:

— Jest zarazem źródłem chaosu, który ułatwi różne pożytki proletokratom. Bo dzisiejszych naszych socjalistów trzeba nazywać tem, czem są — proletokratami.

— Być może. Jeden tam był tylko ich egzemplarz. Ale kilku włościan. Ci wszyscy, bez wyszukanej argumentacji, oświadczaali się za wywłaszczeniem obszarów ponad minimalną ilość morgów — kilkudziesięciu do paruset — i za rozdziałem nadmiaru między małorolnych i bezrolnych.

— To już jasne: — wtrącił znowu Joachim — odebrać ziemię wszystkim, którzy jej posiadają więcej, niż maksymalna działka chłopska i obdzielić nią chłopów, którzy ziemi nie mają, albo jej mają zamało. Program nieco kastowy, nieco brutalny, ale wypływający konsekwentnie z psychiki chłopu. Skoro panowie oddadzą, skoro

tak rozumują inteligenci, skoro prawo brać pozwoli — dlaczegóżby nie brać? —

— Ja mniej więcej tak samo objaśniam — ciągnął dalej Edwin. Ale najosobliwsze były w tem zebraniu głosy niby konserwatystów: większych ziemian, przemyslowców, prawników, ludzi spokojnych, kórzy tam liczebnie przeważali. Niektórzy z nich bronili gorliwie prawa własności, wyższej kultury rolnej, większej wydajności — a przecie nikt nie wątpi, że obszary dworskie lepiej są uprawne i więcej produkują, niż chłopskie. Takie rozwijali teorie notoryczni pravicowcy. Gdy jednak przychodziło do wniosku, czy proponowana reforma ma być przyjęta, czy nie — prawie wszyscy chowali teorie w zanadrze i rozkładając ręce, przypuszczali, że reforma przejdzie, bo taki już jest duch czasu.

— A co to jest: duch czasu? — syknął Joachim, przybierając swój wyraz twarzy satyryczny i wyzywający.

— No... nie wie stryj, co jest duch czasu? Proszę mnie nie gnębić — ja nie mówię od siebie, tylko powtarzam.

— Ja też odpowiadam tamtym panom. „Duch czasu“ należy do algebry retorycznej, niedopuszczalnej w obradach o sprawach obchodzących ogół, ani w żadnem ścisłem rozumowaniu.

Zupełnie jak osławiony „postęp“. To wyrazy puste, które dopiero napelnione jakąś treścią realną, coś ważą i znaczą. Jest postęp moralności, jest i kryminalistyki; postęp budowy i postęp rozpadania się; postęp zdrowia i paraliż postępowy. Tak samo w „duchu czasu“ umieścić można tyle znaczeń i tak sprzecznych, że samo określenie bez domówień nic nie znaczy. Umysły zaś płytkie, bierne, zbyt zapalne, wogóle nie samoistne odurzają się łatwo takimi luźnymi wyrazami i często nawet biorą je za pobudkę działań. Wtedy postęp i duch czasu nabierają treści, przechodząc w czyny, jednak gdyby rozłożyć te czyny na pierwiastki, znajdzie się w nich ogromna doza najpodlejszego kruszcu — owczego pędu.

— Nie można stryjowi nie przyznać słuszności, gdy coś sformuluje po swojemu — odrzekł Edwin pochlebnie. Więc w tym wypadku trzeba zapewne przypisać owczemu pędowi, że reforma rolna w formie, jak rzekłem, zostanie uchwalona przez izbę prawodawczą.

— Zwłaszcza, że w izbie są i wilki, które grożą, i psy, które oganiają stadko — dodał jeszcze Joachim.

Van der Winder przysłuchiwał się rozmowie, ułożywszy uśmiech i całą postać w stan grzecznej admiracji. Odezwał się nareszcie:

— Nie jestem w możności dyskutować z panami na tak wysokim poziomie teoretycznym. Ale mnie się zdaje, że obawy pana szefa co do wywłaszczenia są przedwczesne.

— Mówilem z wielu ludźmi, panie dyrektorze, nie tylko z posłami. Wszyscy przewidują w najbliższym czasie taką uchwałę.

— A gdyby przeszła uchwała, będzie niewykonalna.

— Na czem pan opiera to przypuszczenie?

— Nie umiem tego wyrazić tak dobitnie i zasadniczo, jak panowie. Lecz porównywan z moim krajem. W Holandji własność ziemska jest bardzo rozdrobniona, ale stało się to stopniowo, przez wieki. Mieliśmy i my naszych posiadaczy obszarów; dzisiaj jest bardzo niewiele. Tutaj zaś panowie chcą załatwić przez jedną uchwałę to, co mogą zrobić tylko wieki.

Joachim spojrzał bystro na Holendra.

— Trafia pan w samo sedno, panie dyrektorze. Proces rozdrabniania własności ziemskiej zaczął się u nas, nie tak dawno, jak w zachodniej Europie, jednak nie od wczoraj. Można dojść do przekonania, że proces ten należy poprzeć, wzmóc, przyspieszyć nawet. Ale obalać tak sobie, mimochodem, prawo własności, odważyła się dotąd tylko horda rosyjska, opanowana przez hersztów żydowskich.

— No, u nas proponowany jest wykup — zmodyfikował Edwin.

— Znamy ten pozór wykupu, obliczony tak stronniczo na korzyść obdarowanych, że równa się ruinie wydziedziczonych. Ale przedewszystkiem nie wolno gwałcić najświętszego prawa człowieka, prawa własności. Po tej drodze dochodzi się do zniechęcenia pracy i dorobku, do powrotu stosunków zwierzęcych, do zniweczenia społeczeństwa.

— Za wyjątkiem, gdy się wywłaszcza jednostki dla wyższych względów użyteczności publicznej — poprawił Edwin — dla budowy dróg, wyjątkowo dla celów wojennych...

— To zupełnie inna kategoria — rzekł Joachim. Na wywłaszczenie nieznacznych przestrzeni pod kolej żelazną lub inne użytki uznane przez rząd za nieodzowne, zgadzają się zwykle sami wywłaszczeni i są zato sprawiedliwie wynagradzani; zmusza się tylko rzadkie odporne jednostki. Ale ograbienie całej klasy, i to dzielniejszej, zasłużeńszej dla kraju, na korzyść innej, jest barbarzyńskim gwałtem. Wiem, że sofiści, broniący wywłaszczenia, mienią pożądanie ziemi przez bezrolnych przemożnym imperatywem społecznym i państwowym, dla którego wypełnienia poświęcić gotowi wszystko — nawet godziwość. Otóż dla zaspokojenia głodu ziemi poświęcić można bardzo wiele — oprócz godziwości. Istnieją

setne sposoby popierania parcelacji obszarów, wypróbowane w zachodniej Europie: banki parcelacyjne, nadanie bezrolnym prawa sprawiedliwego pierwokupu niektórych majątków, zachęcanie wszelkimi sposobami inicjatywy prywatnej do parcelacji, zamiast zakazu rozprzedawania obszarów na działki, o którym to zakazie już przebakują. — I tak dalej — wiecie to dobrze sami. Taka akcja prowadzona przez rząd krajowy silnie i konsekwentnie, może zmienić kraj obszarniczy w małorolny w ciągu połowy, czy całego stulecia. Można się spierać, czy to pożyteczne, czy nie — ale niema się naco oburzać. Szereg lat wyrobiłby, przy spółdziałaniu mądrego i uczciwego rządu, nowe warunki: nauczyłby chłopów prawdziwego rolnictwa, zamiast obecnej dłubaniny w roli; wzbudziłby w dzisiejszych posiadaczach wolę pozbycia się obszarów, bez której prawodawstwo wolnego narodu obejść się nie może. Ale jednym zamachem przewracać podstawy państwa i społeczeństwa, aby dogodzić niecierpliwemu krzykowi proletariatu rolnego — to pomysł ludzi lekkomyślnych i bezradnych.

Edwin wpatrywał się w stryja z wyrazistym uznaniem:

— Szkoda, że stryj nie jest posłem.

— Istotna szkoda! — zawtórował natychmiast van der Winder.

Na twarzy Joachima zaigrał uśmiech figlarny:

— Za dużo wiem; nie pasowałbym do wybranego grona.

Holender wziął to oświadczenie na serjo:

— Ależ właśnie dlatego, że szanowny pan tyle wie i tak gorąco myśli o pożytku ogólnym...

Więc i Joachim musiał wypowiedzieć się poważnie:

— Gdzieżby już mnie, schodzącemu zupełnie z widowni?... Nikt mnie nie zna — jakżebym nawet stawiał swą kandydaturę? — — To jest rola w przyszłości dla ciebie, Edwinie.

Edwin zamyślił się, ale nie odpowiedział.

Minęła północ. Rozeszli się mieszkańcy starego dworu do swych pokojów.

Joachim nie zasnął wcale w ciągu nocy. Wieczorne podniecenie muzyczne, w które, jak zgiełki i fałsze, wtargnęły wieści dające dużo do myślenia, powikłanie projektów, zaćmienie całej drogi w przyszłość — wszystko to srodze rozstroiło nerwy starego malkontenta. Mózg, chociaż nie zapadł w otchłań snu, wspominającego troskę dzienną z właściwą snom zmorową przesadą, pracował w ciemności bezradnie i beznadziejnie. Wywłaszczenie stało się prawdo-

podobniejszym, projekt wojskowy Edwina co-
raz bardziej niepokojącym. Sumienny myśliciel
oceniał jednak różność obu gróźb wiszących nad
jego skołataną głową: jedna byłaby klęską pu-
bliczną, druga — zamiarem szlachetnym, ale jak-
że niewczesnym!... Zdawał sobie też sprawę, ile
w obu tych przewidywaniach było troski jego
prywatnej. Znojno, to odzyskane, to osiągnięte,
choć pod koniec życia, jako skarb pokoju i ce-
lowości istnienia, mogłoby usunąć się mu z pod
nóg z powodu wywłaszczenia, lub feralnego ja-
kiegoś przypadku w wojskowej karierze Ed-
wina.

Bił się z ciężkimi myślami, leżąc w łóżku,
i oczekiwał świtu.

Świt opóźniał się. Pod koniec nocy usłyszał
Joachim szelesty poza oknami, rosnące w po-
brzęki o szyby i okapy, pomnożone wkrótce
przez urywaną czkawkę rynien — smutną me-
lopcę sloty. Kołysałaby go do snu, gdyby Joachim
chciał spać. On zaś przeciwnie oczekiwał dnia,
jako ulgi.

Zaczęła nareszcie sączyć się przez szyby mę-
tna poświata i wykształcać z mrocznej przestrze-
ni pokoju plamy coraz bardziej określone — już
i znajome — już powszednie. Ale nie było ra-
dości wiosennego poranka. Deszcz pluskał upor-
czywie po gontach i po blachach. Skoro tylko
rozwidniało dostatecznie, Joachim ubrał się i po-

szedł cicho szukać służby, bo dzwonki były dopiero w projekcie. Spały jeszcze Stefka i Józia, złudzone przez dzień szary, przypuszczając, że słońce nie wzeszło. Poobudzał je starszy pan i napędził do gotowania śniadania. Spostrzegł też z niejaką uciechą, że Holender już się rusza w swoim pokoju. Edwin zaś spał twardo, bo nawet chrapał.

Joachim dał znać o sobie Holendrowi, że jest już na nogach i wkrótce spotkali się w jadalni przy kawie.

— Dzień dobry — — choć w istocie dzień obrzydliwy. Nikt chyba dziś w pole nie wyjdzie. Deszcz się wzmaga i zanosi się na trzydniówkę, jak w jesieni.

— Wątpię, szanowny panie. A deszcz przecież potrzebny na zasiewy.

— Ej — grymasił Joachim — już byłoby go dosyć. Mamy w gospodarstwie jeszcze sporo sadzenia okopowych i flance w ogrodzie — — a i pan nie dokończył swych pomiarów.

— Zdąży się wszystko zrobić na czas — urągał van der Winder słocie swym nieodmiennie pogodnym humorem i przecierał apetycznie rąbkiem serwety wargi ułożone w ciup pośród rumianej pełni oblicza.

— Pewnie, że się zrobi... ale dla kogo? — w tem sęk.

— Pan dobrodziej mówi jeszcze... o tych obawach wywłaszczenia?

— Naturalnie. Taka zmora może przecie podciąć ręce i nogi człowiekowi.

— Ja już wczoraj ośmieliłem się wyrazić powątpiewanie...

— Wiem; pan sądzi, że to niewykonalne. Serdecznie chciałbym podzielać pańskie zdanie. Może niewykonalne, jako stałe urządzenie — ale na teraz, na tymczasem, jako triumf pomysłu, który się ubrdał naszym mężom stanu?... Przeżywamy okres najgorszych możliwości.

Van der Winder sklonił głowę przed krasomówstwem starego Szaropolskiego, ale widzieć było w jego oczach, dosyć upartych, pomimo uprzejmego wyrazu, że obstaje przy swem optymistycznym zapatrywaniu.

Po pauzie, wywołanej przez zaspokojenie pierwszego głodu, odezwał się van der Winder:

— Bardzo nie w porę wypada nam projekt pana Edwina wstąpienia do wojska.

Joachim był zupełnie tego samego zdania. Ale, czy ze względu, że rozmawiał, bądź co bądź, z cudzoziemcem, czy dla przygotowania zawczasu siebie i dyrektora do przykrej alternatywy, zaczął tłumaczyć synowca:

— Ja mu się nie dziwię. Wojskowość jest jedynym odłamek życia publicznego, który nam

się udaje i zmierza jasno w dobrą przyszłość. Mamy krew żołnierską. — —

Po chwili dodał, niby nawiasowo, ze źle ukrytą pychą:

— Ma pan: nasz pradziad, Stanisław Szaropolski, był także oficerem.

Holender uklon swój, pełen uszanowania, zwrócił tym razem do portretu wskazanego przez Joachima na ścianie. Ale dworskie maniery Holendra szły w parze z praktycznym rozsądkiem.

— Zaszczytne to powołanie — rzekł i pomilczał trochę. — — Jednak nasze zajęcia — pańskie, jako kierownika eksploatacji Znojna i moja skromna akcja pomocnicza — utknęłyby na martwym punkcie w razie nieobecności młodszego pana Szaropolskiego.

Gdy Joachim nie zaprzeczył, rozmowa zanikła, a do dalszych rozmyślań dogadywało tylko monotonne pluskanie deszczu za oknami.

Dopiero po dopiciu drugiej filiżanki odezwał się dyrektor:

— Ale kawa wyborna!

— Tyle naszego — odrzekł Joachim ironicznie, swoim zwyczajem.

— Czy szanowny pan mówi o stanie majątkowym swego synowca, postawionym na bardzo solidnych podstawach i obiecującym szybki rozwój?

— Ach nie! — skrzywił się Joachim — majątek to jedno, a zadowolenie z życia to jeszcze co innego. — —

Van der Winder, jako człowiek o mocnych nerwach i prostokątnej budowie duchowej, nie znał się na ironji, ani na niedomawianiach. Zaczął rozwijać pocieszające komunały o trudnym dorobku zaledwie oswobodzonego państwa, o siłach uśpionych, które nie omieszkają rychło zbudzić się w jutrzni wolności...

— Taka to jutrznia, jak dzisiejsza, zapłakana — odrzekł Joachim, wskazując na okna. Długo by o tem gadać, panie van der Winder. — — —

Wstali od stołu. Przeszli ostrożnie koło sypialnego pokoju Edwina, gdzie panowała jeszcze senna cisza. Ponieważ nie mieli tymczasem nic innego do czynienia, udali się na oszklony ganek, aby obserwować przekorną pogodę i wywróżyć, kiedy niebo zechce się ułaskawić.

Górne sita nie przestawały rościć obfitym natryskiem, w którym mokły młode liście kasztanów, płaczliwie obwisłe. Zemla, syta już deszczu, zasklepila swe pory ssące, utrzymując na powierzchni strumyki i jeziorka najeżone mirjadami kryształowych igieł migawkowo przepadających. Nie było wiatru, więc drzewa ociekały zlewą, zrezygnowane bez szemrania; tylko jurne listki bzów drgały raz po raz z oburzenia pod ciosami natrętnych kropel, a przyziemne

nowe flance kwiatów tonęły we łzach rozmazanych błotem. Nie dźwięczał w powietrzu żaden głos zwierzęcy. Ulewa grała koncert na arfie z miljona strun szklanych, a wtórował jej ochotczy stary dwór dudami rynień, brząkadłami dachów, rezonansem całego pudła.

— Ależ to bardzo wesołe! — zawołał van der Winder.

— Taak — odparł Joachim — zwłaszcza, że stoimy w oszklonej klatce i nie mokniemy jak te kaczki.

Sznur białych kaczek przeciągał właśnie przez trawnik kulawym marszem z okazalem zadowoloniem.

— A pan sądzi, że tym kaczkom nie dobrze? — cieszył się Holender.

— O ile mogę je zrozumieć, sądzę, że się radują. — —

— I ciepły deszcz, szaniowny panie! Pozwoli pan otworzyć okno?

Przez otwartą lukę wtargnął powiew upajający.

— Rzeczywiście ocieplilo się — przyznał Joachim, rozpogodzając twarz i rozwierając nozdrza.

Buchnął do wnętrza ganku zapach potężny — wody, kwiatów, ozonu — tęsknoty, ponęty,

pobudki — pełnia nut wonnych zespolonych w ogromny akord nawalny. Obaj mężczyźni pili chciwie przez chwilę u tego źródła odmłodzeń.

Wtem od pokoiów zaskrzypiała proza kroków Edwina, ubranego już kompletnie i nadspodziewanie pogodnego.

— Dzień dobry panom. — Że stryj tu marzy i rozmawia z chmurami, do tego już przywykłem. Ale że pan? — wstydz się, panie dyrektorze.

— Panie szefie... deszcz pada, nie mamy roboty — — napawamy się wonią poranka.

— A jednak dzisiaj trzeba skończyć pomiary fabryki na gruncie. Tak wyrachowałem.

— Dobrze. — Deszcz zdaje się ustawać.

— Gdyby nawet nie ustał. Wiosna się posuwa, a w połowie maja chcę zacząć budować.

— Doskonale; gotów jestem — wezmę tylko płaszczy gumowy.

— Za chwilę — po śniadaniu.

Joachim spojrzał na synowca z radosnem zdumieniem, a pytanie, które miał w oczach, było tak wymowne, że Edwin odpowiedział wprost na nie:

— Tak, stryju; zmodyfikowałem znacznie swe projekty. Wczoraj wieczorem pozwoliłem sobie na niecierpliwość, ale w nocy doszedłem

do przekonania, że to... nie po męsku. Jeżeliby powołano mój rocznik, albo kraj potrzebował pospolitego ruszenia, nie będę się ociągał ani godziny. Ale teraz nie pójdę na ochotnika.

Joachim milczał ze wzruszenia, a może z obawy, aby jakimś nieostrożnem słowem nie zniechęcić Edwina, który ciągnął dalej:

— Pozostaję, gdzie jestem i robię, com zaczął. Robię całą siłą. A jeżeli lekkomyślne kroki rządzących pozbawia mnie warsztatu i w dalszych konsekwencjach kraj popchną ku przepaści, no... to przypadną. Ale zanim przepadną, dużo upłynie wody, a z nią spłynąć może dużo obcesowych pomysłów uszczęśliwienia ludu, któremu ja życzę może lepiej, niż inni.

— Tak, tak, mój drogi — odezwał się nareszcie Joachim — kto kocha dzieło swoje rozpoczęte, nie wprowadza w planową rachubę ruiny tegoż dzieła, ani rychłej śmierci własnej; działa, bo działać musi z nakazu siły swej wewnętrznej. Żeby więcej w kraju takich ludzi, jak ty...

— Ej, stryju, są tacy sami, jest ich dużo, tylko ukrytych, nie zwołanych, rozproszonych.

— Szczególniej zaś niepowołanych do rządu.

Edwin przeczuwał zapewne dłuższą filipikę stryja, bo przerwał dość szorstko.

— Chodźmy do jadalnego; nie pilem jeszcze kawy.

Pomiędzy spiesznymi kaskami i łykami rzucał zdania urywane, mające widocznie na celu sprowadzenie rozmowy na poziom potoczny i wesoły.

— Gdyby lepsza była pogoda, moglibyśmy ze stryjem rozpocząć dialog... który to już? — — Zanurzylibyśmy nogi w strumieniu, jak czytałem w jednym dialogu Platona...

— Tyle z niego zapamiętałeś? — odciął się Joachim.

— Mniej więcej tyle. Zato z nauk stryja spaamiętałem dużo i skorzystałem. — — Myśmy już doprawdy wygadali cały tom teoryj?

— Tom nie bez pożytku, jak to raczyłeś przyznać.

— Z pewnością. Ale teraz mi już pilniej do praktyki. Panie dyrektorze, chodźmy do pomiarów.

Spojrzeli przez okno. Deszcz nie sfolgował; lał tak przekornie, jakby dla zniechęcenia wszelkich porywów do pracy polnej. Pomimo to Edwin Szaropolski ze swym wiernym pomocnikiem, okryci gumą, uzbrojeni w parasole, z zawiniętymi narzędziami mierniczemi, wychodzili w pole uśmiechnięci.

— Wiecie co — rzekł Joachim, nie przekraczając progu drzwi otwartych — to już doprawdy zbyt duża gorliwość; deszcz może przecie ustać około południa.

— A ja prawie wolę, stryju, że deszcz będzie trochę przeszkadzał. Nie lubię robót łatwych; człowiek przy nich zasypia. A ta przekora... żywiołów właśnie mnie podnieca.

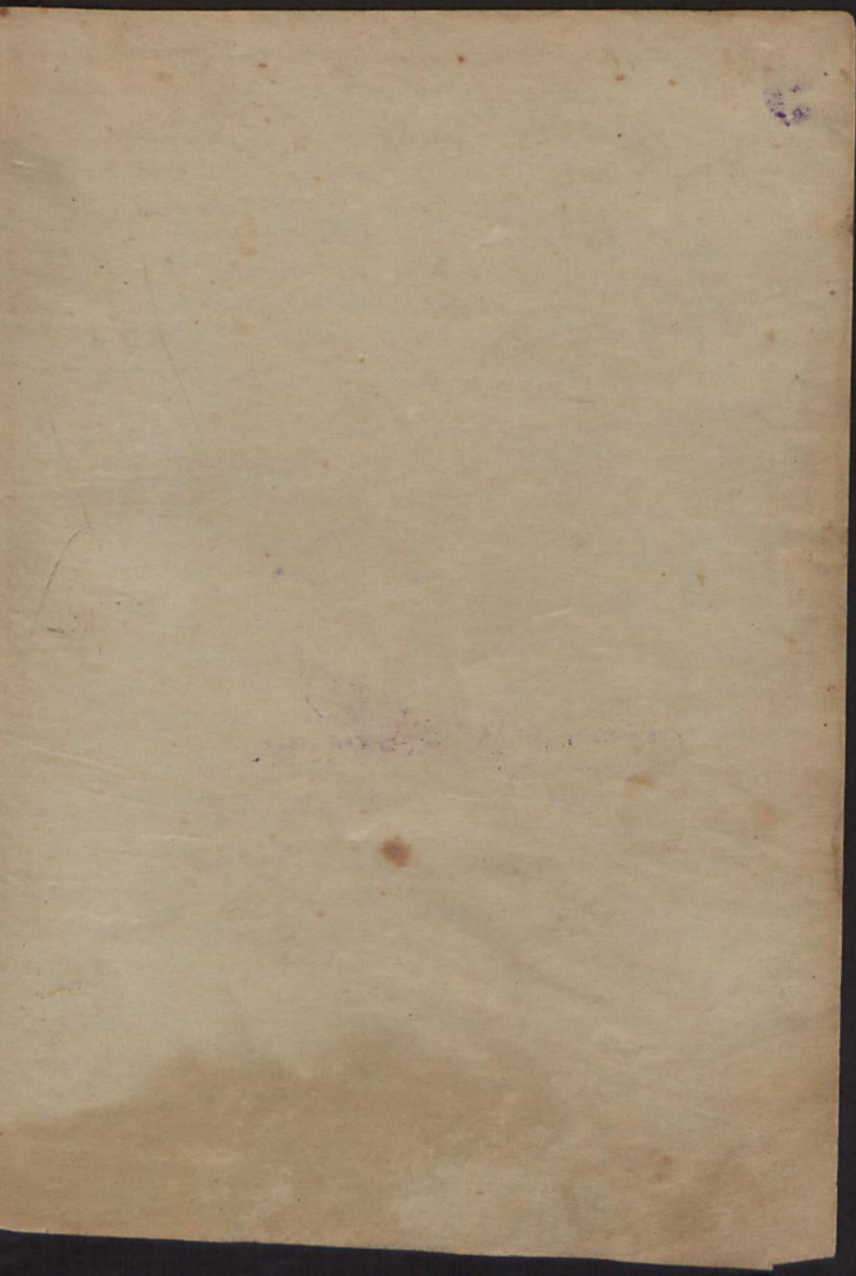
— Gorsza walka z przekorą ludzi — rzekł Joachim.

— Gorsza, ale i tę się wygra — odpowiedział Edwin.

KONIEC.

Warszawa, 3 maja 1921 r.





Księgozbiór BP



10098317

Zamość ul. Pereca 14
Biblioteka Publiczna

